

A woman in a red dress is running away from the viewer on a long wooden pier. The pier is flanked by dark wooden posts. In the background, a silhouette of a skyscraper, resembling the Chrysler Building, is visible against a white background. The overall scene is bathed in a warm, reddish-orange light.

GUILLAUME  
MUSSO

JUTRO

**Guillaume Musso**

**JUTRO**

*Miłość, gdy nie może iść, czołga się.*

**WILLIAM SEKSPIR**

CZĘŚĆ PIERWSZA  
Przypadkowe spotkania

**Dzień pierwszy**

**1**

**Pośród duchów**

*To nie w lustrze widzimy swoje prawdziwe odbicie, tylko w oczach innych.*

**TARUN J. TEJPAL**

**Uniwersytet Harvarda  
Cambridge  
19 grudnia 2011**

Aula pękała w szwach, ale panowała cisza.

Wskazówki na brązowej tarczy starego zegara ściennego wskazywały godzinę 14.55.

Profesor Matthew Shapiro kończył wykład z filozofii.

Siedząca w pierwszym rzędzie dwudziestodwuletnia Erika Stewart wpatrywała się w niego intensywnie. Dosłownie spijała słowa z jego ust i przytakiwała każdemu zdaniu, starając się bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę wykładowcy. Mimo obojętności, z jaką profesor przyjmował jej awanse, dziewczyna była z każdym dniem coraz bardziej nim zafascynowana.

Miał młodą twarz, krótko ostrzyżone włosy i lekki zarost. Nie można było zaprzeczyć, że emanował z niego urok, który wzbudzał poruszenie wśród studentek. Profesor nosił sprane dżinsy, skórzane buty i sweter z golfem, dlatego wyglądał bardziej jak student niż wykładowca, zwłaszcza w porównaniu z częścią kolegów—surowych i zasadniczych - których spotkać można było na terenie kampusu. W sumie jednak to raczej jego elokwencja niż przystojna twarz tak wszystkich zniewalała.

Matthew Shapiro był jednym z najpopularniejszych profesorów tego uniwersytetu, odkąd pięć lat temu zaczął wykładać w Cambridge. Studenci dowiadywali się o nim pocztą pantoflową i z każdym rokiem na jego zajęciach zjawiał się coraz liczniejszy tłum, aż w końcu musiano je przenieść do największej auli Sever Hall, gdy w tym trymestrze zapisało się na nie ponad osiemset osób.

**FILOZOFIA JEST NIEPOTRZEBNA,  
JEŚLI NIE WYZWAŁA UMYSŁU OD CIERPIENIA**

Cytat z Epikura zapisany na tablicy wyrażał myśl przewodnią wykładów Matthew.

Najbardziej zależało mu na tym, żeby jego zajęcia były przystępne, i nie obciążał studentów zawiłymi koncepcjami. Mówił o sprawach codziennych, zawsze zaczynał od przedstawienia konkretnego problemu z życia studenta: strach przed oblaniem egzaminu, zerwanie z ukochanym czy ukochaną, bezlitosne spojrzenia innych, sens studiowania... Po przedstawieniu problemu odwoływał się do nauk Platona, Seneki, Nietzschego czy Schopenhauera i jego talent oratorski sprawiał, że słynne postacie opuszczały na chwilę strony

podręczników i stawały się przyjaciółmi, zdolnymi udzielić ci pożytecznej i podnoszącej na duchu rady.

Inteligentnie i z humorem Matthew wprowadzał również do wykładów wiele elementów kultury masowej. Popularne filmy, piosenki czy komiksy - wszystko było pretekstem do filozofowania. Nawet na seriale telewizyjne patrzył łaskawym okiem. Doktor House był przykładem rozumowania eksperymentalnego, rozbitkowie z serialu Zagubieni dawali pretekst do refleksji na temat umowy społecznej, a męscy szowiniści w agencji reklamowej z serialu Mad Men zachęcali do dyskusji na temat ewolucji stosunków damsko-męskich.

Jeśli ta pragmatyczna filozofia uczyniła z niego gwiazdę kampusu, miała również stronę negatywną: wywołała zazdrość i irytację kolegów, którzy uważali, że Matthew jest powierzchowny. Na szczęście jego studenci jak dotąd wychodzili zwycięsko ze wszystkich egzaminów i konkursów.

Niektórzy sfilmowali nawet jego wykłady i wrzucili je na YouTube. Inicjatywa wzbudziła zainteresowanie dziennikarza z „Boston Globe”, który napisał na ten temat artykuł. Tekst przedrukował „New York Times” i w efekcie Shapiro został poproszony o napisanie „antypodręcznika” filozofii. Książka sprzedała się dobrze, ale młody profesor nie uległ presji rodzącej się sławy i był wciąż do dyspozycji swoich studentów. Niestety, tę piękną historię przerwało tragiczne wydarzenie: poprzedniej zimy Matthew Shapiro stracił żonę w wypadku samochodowym. Ta nagła śmierć go zdruzgotała. W dalszym ciągu prowadził zajęcia, ale już bez tak charakterystycznej dla niego pasji.

Erika zmrużyła oczy, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Od tego dramatycznego wydarzenia coś się w Matthew załamało. Rysy jego twarzy stały się surowe, spojrzenie utraciło blask, zagościł w nim smutek. A jednak mimo otaczającej go aury melancholii wciąż wydawał jej się niezwykle fascynujący. Przymknęła powieki i pozwoliła się nieść dźwiękowi niskiego, spokojnego głosu, który unosił się pod sklepieniem auli. Głos ten stracił nieco swego poprzedniego uroku, ale wciąż brzmiał kojąco. Przez szyby w oknach przenikały promienie słońca, rozgrzewając wielką salę i oświetlając środkowy rząd ław. Erika czuła się cudownie, kołysana niosącymi poczucie bezpieczeństwa tonami.

Jednak stan łaski nie trwał długo. Wkrótce ściągnął ją na ziemię dźwięk dzwonka ogłaszającego koniec wykładu. Nie śpiesząc się, zebrała swoje rzeczy i zaczęła, aż sala opustoszeje, żeby po cichu podejść do profesora Shapiro.

- Co pani tu robi, Eriko? - zapytał zdziwiony Matthew, gdy ją zauważył. - Przecież zaliczyła już pani te zajęcia w zeszłym roku. Nie musi pani przychodzić na moje wykłady.

- Przyszłam z powodu tego zdania Helen Rowland, które pan tak często cytuje.

Matthew zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

- „Najbardziej żałuje się szaleństw, których się nie popełniło, kiedy się miało okazję” - powiedziała Erika i zdobywając się na odwagę, wyjaśniła: - Nie chcę się znaleźć w takiej sytuacji, więc zamierzam popełnić szaleństwo. W przyszłą sobotę są moje urodziny i chciałam... chciałam zaprosić pana na kolację.

Matthew otworzył szeroko oczy i od razu postawił sprawę jasno: - Eriko, jest pani młodą inteligentną kobietą. Wie pani doskonale, że istnieje co najmniej dwieście pięćdziesiąt powodów, dla których pani odmówię.

- Ale ma pan ochotę się zgodzić, prawda?

- Niech się pani nie upiera, bardzo proszę!

Erika poczuła, jak się czerwieni ze wstydu. Wymamrotała słowa przeprosin i wyszła z auli.

Matthew westchnął i włożył płaszcz. Obwiązał szyję szalikiem i również wyszedł na teren kampusu.

\*

Z połączeniami zielonych trawników, majestatycznymi budynkami z czerwonej cegły, na których frontonach widniały łacińskie cytaty, Harvard miał w sobie szyk i ponadczasowość tradycyjnych anglosaskich uczelni.

Gdy tylko Matthew znalazł się na zewnątrz, skręcił sobie papierosa, zapalił go i szybko opuścił teren Sever Hall. Z torbą na ramieniu przeszedł przez Yard, wielki dziedziniec, którego troskliwie utrzymane trawniki przedzielone były kilometrami ścieżek prowadzących do sal wykładowych, bibliotek, muzeów i akademików.

Park skąpany był w pięknym jesiennym świetle. Od dziesięciu dni utrzymywała się wysoka jak na tę porę roku temperatura i świeciło słońce. Mieszkańcom Nowej Anglii trafiło się spóźnione, ale bardzo przyjemne babie lato. - Panie psorze! Uwaga!

Matthew odwrócił głowę i zobaczył lecącą w jego kierunku piłkę futbolową. Złapał ją w ostatniej chwili i posłał rozgrywającemu, który go ostrzegł.

Na wszystkich ławkach dziedzińca siedzieli studenci z laptopami na kolanach. Z trawników dobiegał śmiech i gwar ożywionych dyskusji. Tu bardziej niż gdzie indziej bezkonfliktowo mieszały się z sobą różne nacje - wielokulturowość była zdecydowanie uważana za walor. Szary i bordo, kolory słynnej uczelni, widniały dumnie na kurtkach, bluzach czy sportowych torbach: w Harvardzie poczucie przynależności do grupy zacierało wszystkie różnice.

Przechodząc przed Massachusetts Hall, monumentalnym gmachem w stylu georgiańskim, w którym mieściła się dyrekcja oraz akademik dla studentów pierwszego roku, Matthew zaciągnął się papierosem. Na schodach budynku stała panna Moore, sekretarka rektora, która rzuciła mu wściekłe spojrzenie i przywołała do porządku („Profesorze Shapiro, ile razy mam panu powtarzać, że palenie na terenie kampusu jest zabronione!"), dołączając jakiś truizm na temat szkodliwości tytoniu.

Matthew patrzył przed siebie, na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, tak jakby nie widział ani nie słyszał sekretarki. Przez moment kusiło go, by odpowiedzieć jej, że śmierć byłaby dla niego w tej chwili wybawieniem, ale opanował się i wyszedł z kampusu przez wielką bramę na Harvard Square.

\*

Harvard Square, na którym szumiało jak w ulu, był wielkim placem. Wokół niego mieściły się sklepy, księgarnie oraz różne małe restauracje i kawiarnie, gdzie studenci i profesorowie układali na nowo porządek świata lub kontynuowali przerwane zajęcia. Matthew pogrzebał w kieszeni i wyciągnął bilet miesięczny. Wszedł na przejście dla pieszych, żeby dostać się do stacji metra na linii Red, dzięki której można było przejechać przez centrum Bostonu w mniej niż kwadrans, kiedy na rogu Massachusetts Avenue i Peabody Street pojawił się nagle stary prychający chevrolet camaro. Matthew aż podskoczył i musiał się szybko cofnąć, żeby nie zostać rozjechanym przez jaskrawoczerwone coupe, które przyhamowało tuż przed nim z piskiem opon.

Szyba w oknie zjechała w dół i Matthew ujrzał rudą czuprynę April Ferguson, swojej lokatorki od czasu, gdy zmarła mu żona.

- Hej, przystojniaku, może cię podwieźć?

Warkot ośmiocylindrowego silnika nie pasował do tej „zdrowej" ekologicznie enklawy, po

której jeździły tylko rowery albo samochody o napędzie hybrydowym.

- Wolę wrócić metrem - wymówił się. - Prowadzisz tak, jakbyś była awatarem z gry wideo!

- Och, nie zgrywaj tchórza! Wiesz, że świetnie prowadzę!

- Nie podpuszczaj mnie. Moja córka straciła już matkę. Nie chciałbym, żeby została całkowitą sierotą w wieku czterech i pół lat.

- Dobrze już, dobrze... Nie przesadzaj. No, pośpiesz się, blokuję przez ciebie ruch!

Symfonia klaksonów przybrała na sile. Matthew westchnął i wślizgnął się na siedzenie chevroleta. Ledwo zapiął pas, samochód, łamiąc kilka przepisów kodeksu drogowego, wykonał przy dużej prędkości niebezpieczny zwrot, po czym z piskiem opon odjechał na północ.

- Boston jest w przeciwnym kierunku! - zaprotestował, kurczowo trzymając się drzwi.

- Robię mały objazd przez Belmont. To tylko dziesięć minut drogi stąd. I nie martw się o Emily. Poprosiłam opiekunkę, żeby została z małą godzinę dłużej.

- Nie uprzedzając mnie o tym? Uważaj, bo...

Młoda kobieta zadziwiająco szybko przerzuciła dwa biegi i gwałtownie przyśpieszyła, przez co słowa uwięzły Matthew w gardle. Kiedy samochód zaczął jechać normalnie, wręczyła mu teczkę z rysunkami.

- Wyobraź sobie, że być może znalazłam klienta na rycinę Utamaro -- oznajmiła przejęta.

April prowadziła na South End galerię specjalizującą się w sztuce erotycznej. Miała prawdziwy talent do wynajdywania rzadkich dzieł sztuki i sprzedawania ich z niezłym zyskiem.

Matthew zsunął gumki przytrzymujące okładkę teczek i zobaczył japońską rycinę troskliwie owiniętą kawałkiem materiału. Była to shunga\* z końca osiemnastego wieku przedstawiająca kurtyzanę z klientem, odbywających stosunek płciowy równie zmysłowy, co akrobatyczny. Dobitność sceny została złagodzona wdziękiem kreski i bogactwem wzorów na materiałach. Gejsza miała prześliczną twarz o niezwykle delikatnych rysach. Nic dziwnego, że taki rodzaj rycin wpłynął na sztukę i Klimta, i Picassa.

- Jesteś pewna, że chcesz się z nią rozstać?

- Dostałam propozycję nie do odrzucenia - odparła April, naśladując głos Marlona Brando z Ojca chrzestnego.

- Od kogo?

- Od jakiegoś wielkiego kolekcjonera z Azji, który zatrzymał się w Bostonie, żeby odwiedzić córkę. Najwyraźniej jest gotów do transakcji, ale będzie w mieście tylko jeden dzień. Podobna okazja może się szybko nie powtórzyć...

Chevrolet opuścił teren uniwersytetu i wjechał na trasę szybkiego ruchu, która ciągnęła się przez wiele kilometrów wzdłuż Fresh Pond - największego jeziora Cambridge - do Belmont, miasteczka na zachód od Bostonu. April wprowadziła adres do GPS-u, który skierował ją do sztywnej dzielnicy willowej, zamieszkaney przez majątne rodziny: obok szkoły okolonej szpalerem drzew znajdowały się wielki plac zabaw, park i boiska sportowe.

Był tu nawet lodziarz z wózkiem, jakby prosto z lat pięćdziesiątych. Mimo wyraźnego zakazu chevrolet wyprzedził autobus szkolny i zaparkował przy spokojnej uliczce biegnącej między domami.

- Idziesz ze mną? - spytała April, biorąc od niego teczkę. Matthew pokręcił głową.

- Wolę zaczekać w samochodzie.

- Postaram się załatwić to jak najszybciej - obiecała, spoglądając w lusterko wsteczne, żeby poprawić fryzurę. Zostawiła lok, który opadał i zasłaniał jej prawe oko, tak jak u Veroniki Lakę.

Potem wyjęła z torby szminkę i umalowała usta. Najwyraźniej stylizowała się na femme fatale, więc jeszcze zapięła ciasno przylegającą do wydekoltowanego T-shirtu czerwoną skórzaną kurtkę.

- Nie przesadzasz przypadkiem? - rzucił prowokująco.

- „Nie jestem zła, tak mnie po prostu narysowali” - odparła, naśladując głos Jessiki Rabbit z filmu Kto wrobił królika Rogera.

Potem wyprostowała swoje niebotycznie długie nogi w legginsach i wysiadła z samochodu.

Matthew patrzył, jak podchodzi do największego domu przy tej ulicy i dzwoni do drzwi.

W dziesięciopunktowej skali zmysłowości przyznałby jej najwyższą notę: miała idealne wymiary, talię osy, piękne piersi - ale to wcielenie męskich fantazji wołało kobiety. April wręcz obnosiła się z tym, że jest lesbijką.

Był to zresztą jeden z powodów, dla których Matthew zgodził się, żeby u niego zamieszkała: wiedział, że nie będzie między nimi żadnych dwuznacznych sytuacji. A poza tym April była zabawna, inteligentna i sprytna. Oczywiście, miała charakterek, często klęła i zdarzały jej się napady złości, ale jak nikt potrafiła przywołać uśmiech na twarz jego córeczki, a to dla Matthew było bezcenne.

Popatrzył na drugą stronę ulicy. Dwoje dzieci rozwieszało w ogródku świąteczne dekoracje pod czujnym okiem matki. To uświadomiło mu, że za niecały tydzień będzie Boże Narodzenie.

Wpadł w panikę. Bardzo bał się pierwszej rocznicy śmierci Kate, która zginęła dwudziestego czwartego grudnia 2010 roku, zmieniając jego życie w pasmo udręk.

Przez trzy pierwsze miesiące po wypadku cierpiał bez przerwy, każda sekunda niszczyła go bardziej od poprzedniej. Miał w duszy żywą ranę, jakby ukąsił go wampir, wysysając z niego całe życie. Wiele razy myślał o radykalnym rozwiązaniu: mógłby wyskoczyć przez okno, powiesić się, wypić koktajl środków nasennych, przyłożyć lufę do skroni i pociągnąć za spust.. Ale powstrzymywał się, wiedząc, że wyrządziłby krzywdę Emily. Nie miał po prostu prawa pozbawić dziewczynki ojca i zniszczyć jej życie.

Bunt, jaki odczuwał przez pierwsze tygodnie, ustąpił długiemu okresowi smutku. Życie zatrzymało się w miejscu, ogarnął go stan ciągłego znużenia, pogrążył się w rozpacz. Nie walczył, był przybity, zamknął się w sobie. Nie mógł się pogodzić ze stratą Kate. Nie widział dla siebie przyszłości.

Za radą April zdobył się jednak na wysiłek i zapisał do grupy wsparcia. Poszedł na zajęcia terapeutyczne, spróbował ubrać w słowa to, co odczuwał, i podzielić się z innymi swoim bólem, po czym nigdy więcej tam nie wrócił. Nie chciał narażać się na fałszywe współczucie, na wysłuchiwanie komunałów i lekcji życia. Odizolował się od ludzi. Przez całe miesiące czuł się jak własny duch błądzący bez celu.

Niemniej od kilku tygodni czuł się inaczej. Nie to, żeby wróciła do niego radość życia, ale miał wrażenie, że ból się powoli zmniejsza. Poranki po obudzeniu się nadal były trudne, lecz gdy w końcu lądował na uczelni, umiał zachować się tak jak kiedyś, prowadził zajęcia, uczestniczył w zebraniach, na których robiono plany na najbliższą przyszłość, z mniejszym niż dawniej zapałem, to prawda, ale odnosił wrażenie, że powoli łapie grunt pod nogami.

Nie była to w stu procentach odbudowa samego siebie, raczej stopniowe godzenie się z tym, co się wydarzyło. Przy tym wspierał się pewnymi conceptami, które wyklądał studentom. Stoickie przyjęcie wyroków losu, buddyjska akceptacja przemijania. Od tej pory nie oczekiwał zbyt wiele od życia, postrzegał je jako coś wyjątkowo niepewnego i nietrwałego, proces podlegający ciągłej ewolucji. Wszystko jest ulotne, zwłaszcza zaś szczęście. Nie należy uważać go za swoją własność, trwa czasem jedynie chwilę.

To dzięki drobiazgom - przechadzce z Emily w promieniach słońca, meczowi piłki nożnej z grupą swoich studentów czy udanemu żartowi April - wracał powoli do życia. Te drobne z pozoru zdarzenia pomagały mu trzymać cierpienie na dystans, odgradzić się tamą od jeziora smutku.

Ale jego kondycja psychiczna wciąż pozostawiała wiele do życzenia, bo cierpienie czyhało za każdym rogiem, gotowe rzucić mu się do gardła. Niewiele trzeba było, żeby wytrącić Matthew z równowagi i szarpnąć jego duszą. Napływała wówczas fala wspomnień. Jakaś kobieta w metrze używająca tych samych perfum co Kate albo w podobnym płaszczu, piosenka w radiu, która przypominała o szczęśliwych dniach, zdjęcie, które wypadło spomiędzy stronic książki...

Ostatnie dni były bardzo przykre i zapowiadały nawrót depresji. Zbliżająca się rocznica śmierci Kate, dekoracje bożonarodzeniowe i przedświąteczna gorączka - wszystko to zmuszało go do myślenia o zmarłej żonie.

Od tygodnia budził się w środku nocy z sercem łomoczącym w piersi, zlany potem, bo wciąż powracało do niego koszmarne wspomnienie ostatnich chwil jej życia. Matthew był świadkiem, jak Kate przewieziono do szpitala, w którym jej kolegom lekarzom nie udało się przywrócić akcji serca rannej. Widział, jak śmierć brutalnie zabiera mu ukochaną kobietę.

Byli doskonale szczęśliwi, ale głębokie wzajemne porozumienie trwało tylko cztery lata - ich historia dopiero się zaczęła, lecz nie było im dane jej przeżyć. Wierzył, że taka miłość, jaka go spotkała, zdarza się w życiu tylko raz. Myśl o tym była nie do wytrzymania.

Ze łzami w oczach zauważył, że bezwiednie obraca obrączkę, którą wciąż nosił na serdecznym palcu. Był spocony i serce waliło mu jak oszalałe. Opuścił szybę w drzwiach samochodu, poszukał środka uspokajającego w kieszeni džinsów i wsunął tabletkę pod język.

Lekarstwo rozpuściło się powoli, przynosząc mu ulgę. Chemia rozluźniła napięcie w kilka minut. Zamknął oczy, potarł powieki i głęboko odetchnął. Żeby zupełnie się uspokoić, potrzebował jeszcze papierosa. Wysiadł, zamknął samochód i przeszedł kilka kroków po chodniku, zanim zapalił, zaciągając się głęboko. Gdy do gardła dotarł gorzki smak nikotyny, Matthew poczuł się zdecydowanie lepiej. Serce również się uspokoiło. Zamknął oczy, wystawiając twarz na jesienny wiatr i słońce, które prześwitywało przez gałęzie drzew. Było zadziwiająco ciepło. Kilka chwil stał nieruchomo, po czym otworzył oczy. Na rogu ulicy zobaczył zbiegowisko. Zaciekawiony podszedł bliżej. Miał przed sobą typowy dla Nowej Anglii dom z drewnianym sidingiem, dachem jak katedra i zbyt dużą liczbą okien. Na trawniku od frontu zorganizowano garażową wyprzedaż - zjawisko charakterystyczne dla kraju, w którym mieszkańcy przeprowadzali się co najmniej piętnaście razy w życiu.

Matthew dołączył do ciekawskiej którzy oglądali różne przedmioty wyłożone na stu metrach kwadratowych trawnika. Sprzedaż prowadził mężczyzna w jego wieku, łysawy i w małych kwadratowych okularach, o ponurym wyrazie twarzy i rozbieganym wzroku. Od stóp do głów ubrany był na czarno, a surowość jego stroju przywodziła na myśl kwakra. Obok niego bawił się lateksową kością piaskowy shar pei.



Po trawniku kręciło się sporo ludzi, o tej porze dzieci wychodziły ze szkoły, innych wyciągnęła z domów ładna pogoda. Na stołach rozłożono różności: drewniane ramki, torby do golfa, kij baseballowy w komplecie z rękawicą, starą gitarę marki Gibson... Nieco dalej o płot opierał się rower BMX, tradycyjny prezent gwiazdkowy z lat osiemdziesiątych, a obok niego wrotki i deskorolka. Matthew przyglądał się przez kilka minut. Zauważył komplet zabawek, które przypomniały mu dzieciństwo: jo-jo z jasnego drewna, kostkę Rubika, „Hipcie obzartuchy”, mastermind, frisbee, wielką pluszową zabawkę wyobrażającą małego przybysza z kosmosu z filmu Stevena Spielberga ET i jakąś postać z Gwiezdných wojen.

Ceny były bardzo niskie - najwyraźniej sprzedający chciał pozbyć się jak najszybciej jak największej liczby przedmiotów. Matthew już odchodził, kiedy w oko wpadł mu laptop, MacBook Pro z piętnastocalowym ekranem. Nie była to ostatnia wersja tego modelu, ale poprzednia, a może nawet jeszcze wcześniejsza. Podszedł bliżej i przyjrzał się dokładnie komputerowi. Na aluminiowej obudowie były właściciel nakleił winylową nalepkę z rysunkiem w stylu Tima Burtona: seksowna Ewa trzymająca w dłoniach nadgryzione jabłko - logo słynnej marki. Na dole widniał podpis „Emma L.”, nie było wiadomo, czy to podpis autorki rysunku, czy poprzedniej właścicielki laptopa.

Dlaczego nie? - pomyślał, patrząc na etykietkę. Jego stary PowerBook wyzionął ducha pod koniec lata. Miał co prawda w domu pecet, ale potrzebował nowego laptopa. Od trzech miesięcy wciąż odkładał ten zakup na później.

MacBook kosztował czterysta dolarów. Matthew uznał, że to rozsądna cena. Dobrze się składało, bo w tym momencie nie był w najlepszej sytuacji finansowej. Pensję profesorską miał niezłą, ale po śmierci Kate za wszelką cenę chciał zachować dom w Beacon Hill, nawet jeśli nie za bardzo było go teraz na niego stać. Zdecydował się na lokatora, lecz nawet z tym, co płaciła mu April, miesięczne raty kredytu pochłaniały trzy czwarte jego dochodów i zostawało mu niewiele na życie. Musiał nawet sprzedać swój zabytkowy motocykl, triumpha z 1957 roku, z którego kiedyś był bardzo dumny.

Podszedł do sprzedawcy i wskazał palcem na maca.

- Ten laptop działa?

- Nie, to dekoracja... Jasne, że działa, gdyby nie działał, nie sprzedawałbym go za tę cenę! To stary sprzęt mojej siostry, ale sformatowałem twardego dysku i przeinstalowałem system. Jest jak nowy.

- Zgoda, biorę go - rzucił Matthew po chwili wahania. Pogrzebał w portfelu. Miał przy sobie tylko trzysta dziesięć dolarów. Zażenowany, próbował się targować, ale mężczyzna nie chciał zejść z ceny. Urażony Matthew wzruszył ramionami. Odwrócił się i zamierzał odejść, gdy usłyszał za plecami wesoły głos April.

- Poczekaj, to będzie prezent ode mnie! - zawołała, machając do sprzedawcy ręką.

- Nie ma mowy!

- Żeby uczcić sprzedaż mojej ryciny!

- Dostałaś kwotę, której zażądałaś?

- Tak, ale nie bez trudności. Facet myślał, że za tę cenę ma również prawo do przeciwiczenia tych pozycji Kamasutry z ryciny.

- „Wszystkie nieszczęścia mężczyzn spowodowane są tym, że nie potrafią zachować umiaru w sypialni”.

- Woody Allen?

- Nie, Blaise Pascal.

Sprzedawca wręczył mu komputer w oryginalnym markowym opakowaniu. Matthew podziękował skinieniem głowy, podczas gdy April płaciła. Potem szybko wrócili oboje do samochodu.

Matthew nalegał, by tym razem pozwoliła mu prowadzić. Kiedy tuż przed Bostonem utknęli w korku, nawet nie pomyślał, że ten zakup kompletnie odmieni jego życie.

\* Erotyczna rycina japońska, tworzona zazwyczaj techniką drzeworytu.

**Bar w restauracji Imperator  
Rockefeller Center, Nowy Jork  
18.45**

Bar w Imperatorze, usytuowany na szczycie Rockefeller Center, dominował nad miastem, ofiarowując klientom panoramiczny widok na Manhattan. Tradycja łączyła się tu z nowoczesnym designem, tworząc wyszukany wystrój wnętrza. Podczas generalnego remontu zachowano boazerie, stoliki w stylu art deco i klubowe skórzane fotele, dzięki czemu w barze panowała atmosfera rodem ze starego angielskiego klubu. Nie zakłócały jej bardziej współczesne elementy, na przykład długi świetlisty bar z matowego szkła, który biegł przez całe pomieszczenie.

Emma Lovenstein, o zgrabnej sylwetce i lekkim kroku, prześlizgiwała się między stolikami, podając wino, zapraszając na degustację i wyjaśniając w przystępny sposób pochodzenie i historię poszczególnych gatunków. Młoda sommelierka umiała przekazać klientom swój entuzjazm. Pełna wdzięku, nieprzesadna gestykulacja i szczerzy uśmiech - wszystko odzwierciedlało jej pasję i chęć podzielenia się nią z gośćmi.

Kelnerzy, gnąc się w ukłonach, wnieśli przedostatnie danie. - Nóżki wieprzowe zapiekane z parmezanem na kromce chleba! - zaanonsowała Emma, podczas gdy nad stołem uniósł się pomruk aprobaty.

Nalała każdemu z gości kieliszek czerwonego wina, starannie zasłaniając etykietkę, a potem przez kilka minut odpowiadała na pytania, udzielając wskazówek, które miały im pomóc rozpoznać wino.

- To morgon, Côte du Py, wino z regionu Beaujolais - wyjawiała w końcu. - Wino, którego pełny smak długo pozostaje w ustach, jest energiczne, pełne wigoru, a więc takie, w którym kwaśna nuta nie jest wadą, i czuć w nim aksamitny posmak truskawki i wiśni, doskonale komponujący się z „prostackim” charakterem nóżki wieprzowej.

To Emma wpadła na pomysł organizowania cotygodniowych spotkań w celu degustacji win, które dzięki szeptanej reklamie stawały się coraz popularniejsze. Idea byk prosta: ona proponowała degustację czterech win podawanych z czterema daniami wymyślonymi przez szefa restauracji Jonathana Lempereura. Każda taka impreza trwała godzinę, miała swój temat przewodni, poświęcony konkretnemu szczepowi lub winnicy, i była pretekstem do inicjacji enologicznej w lekkiej, zabawowej formie.

Sommelierka weszła za kontuar i dała znak kelnerom, prosząc o przyniesienie ostatniego dania. Skorzystała z krótkiej przerwy, żeby dyskretnie spojrzeć na ekran komórki, który migał. Kiedy przeczytała SMS wyświetlony na ekranie, ogarnęła ją panika.

*Cały ten tydzień jestem w Nowym Jorku.  
Może dziś wieczór zjemy razem kolację?*

*Stęskniłem się za Tobą.*

*Francois*

- Emma?

Głos asystenta przywołał ją do rzeczywistości. Otrząsnęła się i zwróciła do zebranych: - Na zakończenie dzisiejszej degustacji proponujemy państwu ananasa na płatkach magnolii z kulka lodów obsypanych pianką cukrową karmelizowaną nad żarem kominka.

Otworzyła kolejne butelki wina i rozlała do kieliszków. Wszyscy zaczęli bezskutecznie zgadywać, co też piją. Trzeba było zaczekać na wyjaśnienia Emmy.

- To jest wino włoskie, piemonckie, moscato d'Asti. Szczep pełen smaku, aromatyczny, delikatny, lekko gazowany i słodki. Wino pachnie różą, a jego maleńkie bąbelki subtelnie podkreślają świeżość ananasa.

Wieczór zakończył się serią pytań. Część z nich dotyczyła przebiegu kariery zawodowej Emmy, która chętnie odpowiadała, zręcznie ukrywając zmieszanie, ogarniające ją przy takiej okazji.

Urodziła się w skromnej rodzinie w Wirginii Zachodniej. Kiedy skończyła czternaście lat, jej ojciec, kierowca ciężarówki, zabrał rodzinę na zwiedzanie kalifornijskich winnic. Dla dorastającej dziewczynki było to jak bajka. Obudziło się w niej zainteresowanie i zapragnęła dowiedzieć się więcej na temat uprawy winorośli i produkcji wina. Znalazła swoje powołanie.

Zapisała się do szkoły hotelarskiej w Charlestonie, w której zajęcia z enologii stały na bardzo wysokim poziomie. Kiedy uzyskała dyplom, bez żalu opuściła rodzinne strony i wyjechała do Nowego Jorku. Zatrudniła się jako kelnerka w małej knajpce, szybko jednak została szefową sali w modnej restauracji w West Village, Pracowała wówczas nawet po szesnaście godzin na dobę, podając do stołów, pomagając gościom w wyborze wina i komponując drinki. Któregoś dnia w lokalu zjawił się wyjątkowy klient. Natychmiast rozpoznała swojego idola. Krytycy kulinarni nazywali go „Mozartem kuchni”. Jonathan Lempereur był szefem kuchni prestiżowej restauracji na Manhattanie, głośnego Imperatora, w opinii niektórych „najlepszej kuchni świata”. Do słynnego lokalu przyjeżdżali goście ze wszystkich kontynentów, a rezerwacji dokonywano z rocznym wyprzedzeniem. Tamtego dnia Lempereur jadł lunch ze swoją żoną. Byli incognito. Wówczas posiadał już restauracje na całym świecie. Wydawał się wyjątkowo młody jak na szefa podobnego imperium.

Emma znalazła w sobie dość odwagi, żeby do niego podejść. Wysłuchał jej z uwagą i bardzo szybko lunch zamienił się w rozmowę kwalifikacyjną. Sukces nie zawrócił Lempereurowi w głowie. Był wymagający, ale skromny, i wciąż szukał nowych talentów.

Płacąc za lunch, wręczył jej swoją wizytówkę ze słowami: - Czekam na panią jutro rano.

Następnego dnia podpisała umowę i została asystentką głównego sommeliera w Imperatorze. Przez trzy lata wspaniale jej się pracowało u Jonathana, który był niezwykle kreatywnym szefem kuchni, a przy tym doskonale orientował się, jak wielkie znaczenie ma dobór odpowiednich win do serwowanych w restauracji potraw. Emma realizowała swoje marzenia zawodowe. Niestety, przed rokiem rozpadło się małżeństwo Jonathana i francuski szef zrezygnował ze stanowiska. Lokal został sprzedany, ale chociaż to już nie Jonathan stał w fartuchu przy kuchni, restauracja pozostała wierna jego ideałom, a dania, które wymyślił, wciąż znajdowały się w karcie.

- Dziękuję bardzo za uwagę i mam nadzieję, że spędzili państwo miły wieczór -

powiedziała Emma na zakończenie degustacji.

Pożegnała się z uczestnikami spotkania, szybko podsumowała z asystentem wieczór, zebrała swoje rzeczy i poszła do domu.

\*

Wsiadła do windy. W kilka sekund znalazła się u stóp Rockefeller Center. Dawno już zrobiło się ciemno. Z ust wydobywała się para. Lodowaty wiatr hulający po placu nie odstraszył licznych gapiów, którzy napierali na barierki ślizgawki, chcąc sfotografować ogromną choinkę stojącą na środku.

Trzydziestometrowe drzewo ugięło się pod elektrycznymi girlandami i mnóstwem bombek.

Robiło ogromne wrażenie, choć nie na Emmie, która miała chandrę. Wiedziała, że to banalne, ale samotność najbardziej dokuczała jej w święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Podeszła do chodnika, poprawiła czapkę i ciasniej owinęła szyję szalikiem, wypatrując wolnej taksówki i nie za bardzo wierząc, że taką znajdzie. Niestety, zaczęły się godziny szczytu i wszystkie yellow cabs, które przejeżdżały ulicą, były zajęte. Zrezygnowana wmixowała się w tłum i ruszyła szybkim krokiem na róg Lexington Avenue i Pięćdziesiątej Trzeciej. Zbiegła do stacji metra, a po chwili wsiadła do pociągu linii E jadący do centrum. Tak jak było do przewidzenia, wagon był zatłoczony i Emma stała ściśnięta w tłumie pasażerów.

Mimo że trzęsło, wyciągnęła komórkę i przeczytała jeszcze raz SMS, którego treść znała już na pamięć.

*Cały ten tydzień jestem w Nowym Jorku.  
Może dziś wieczór zjemy razem kolację?  
Stęskniłem się za Tobą.  
Francois*

Wypchaj się, ty świni! Myślisz, że możesz mnie mieć na skinienie ręki! - zdenerwowała się w duchu, nie spuszczać oczu z ekranu.

Francois otrzymał w spadku dużą winnicę w Bordeaux, Spotkała go przed dwoma laty, gdy pojechała do Francji, chcąc zapoznać się z tamtejszymi szczepami. Nie ukrywał przed nią, że jest żonaty i ma dwoje dzieci, mimo to poszła z nim do łóżka. Przedłużyła pobyt we Francji i razem spędzili bajeczny tydzień, objeżdżając wszystkie ważniejsze winnice regionu: zrobili znaną trasę „Szlakiem Medoca” po słynnych zamkach, wokół których rosły nie mniej słynne szczepy, a potem drugą- „Szlakiem coteaux”, połączoną ze zwiedzaniem romańskich kościółków i archeologicznych wykopalisk, a także zamczysk i opactw Entre-Deux-Mers oraz średniowiecznej wioski Saint-Emilion... Później spotykali się w Nowym Jorku przy okazji podróży Francois w sprawach biznesowych. Spędzili nawet wspólnie tydzień na Hawajach. Były to dwa lata związku pełnego napiętości i zarazem toksycznego. Dwa lata oczekiwania na próżno. Za każdym razem, gdy się spotykali, Francois oznajmiał jej, że właśnie rozstaje się z żoną. Emma raczej w to nie wierzyła, ale tak bardzo się zaangażowała, że...

A potem, któregoś dnia, gdy mieli razem wyjechać na weekend, Francois wysłał jej wiadomość, że wciąż kocha żonę i że musi zakończyć ten romans. Wiele już razy w życiu Emma igrała z losem: wpadała w bulimię, w anoreksję, samookaleczała się. Gdy Francois z nią zerwał, znów otworzyła się przed nią przepaść. Ogarnęło ją niszczące uczucie głębokiej

puszki. Zasklepione rany otwały się na nowo, siateczka pęknięć pobiegła po całej duszy. . Nagle straciła wszelką nadzieję, wydało jej się, że życie to niekończąca się udręka. Niechby to się już wreszcie skończyło! Wystarczyło wejść do wanny i podciąć sobie żyły. Dwa głębokie cięcia ostrym nożem na lewej i prawej ręce. To nie miało być wołanie o pomoc, nie udawała. Bezpośrednią przyczyną tej dramatycznej decyzji był zawód miłosny, choć źródło bólu kryło się głębiej. Emma chciała umrzeć i udałoby jej się to, gdyby ten kretyń, jej brat, akurat w tym momencie nie wpadł do domu z pretensją, że do tej pory nie zapłaciła za ostatni miesiąc pobytu ojca w domu starców.

Kiedy Emma przypomniała sobie tę historię, przebiegł ją zimny dreszcz. Pociąg wjechał na stację przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, gdzie znajdował się terminal autobusowy. Większość pasażerów opuściła wagon i Emma wreszcie mogła usiąść. Ledwo opadła na ławkę, zawibrowała komórka.

Francois nie ustępował.

Błagam Cię, kochanie, odpisz! Daj nam jeszcze jedną szansę. Odezwij się, błagam! Tak bardzo mi Ciebie brak!

Twój Francois

Emma zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. Jej były kochanek miał naturę uwodziciela, a przy tym egoistycznego manipulatora. Potrafił tak wykorzystać swój urok, że uważała go za wspaniałego faceta o wielkim sercu i zawsze mu ulegała. Przy nim zupełnie traciła kontrolę nad sobą, a on z okrucieństwem wykorzystywał jej brak pewności siebie, nie wahał się rozdrapywać ran, chociaż wiedział, że Emma będzie cierpieć. Przede wszystkim zaś tak umiał żonglować faktami i przedstawić sytuację w korzystny dla siebie sposób, że wychodziła na neurotyczkę, a on na anioła.

Wyłączyła komórkę, żeby nie kusiło jej odpowiedzieć na SMS. Zbyt dużo wysiłku kosztowało ją wyzwolenie się spod jego wpływu. Nie mogła ponownie wpaść w pułapkę tylko dlatego, że czuła się samotna, a zbliżało się Boże Narodzenie.

Sama była swoim najgorszym wrogiem. Nie umiała żyć bez pasji. Pod pozorną ugodowością i bez troską kryły się impulsywność i rozchwianie emocjonalne. Gdy te dwie ostatnie cechy brały górę, Emma wpadała raz w stan głębokiej depresji, raz euforii.

Bardzo bała się porzucenia i utraty równowagi psychicznej, a w rezultacie powrotu na drogę samozniszczenia. Jej życie uczuciowe było pełne wewnętrznych konfliktów. Zawsze dawała zbyt dużo osobom, które na to nie zasługiwały. Różnym wstrętnym typom, jak na przykład Francois. Było w niej coś, czego ona sama nie rozumiała i nad czym nie panowała. Jakieś nieznane siły, rodzaj uzależnienia, pchały ją w ramiona mężczyzn, którzy nie byli wolni. Ślepo poszukiwała silnej zażyłości, wiedząc bardzo dobrze, że żaden z tych związków nie przyniesie jej ani poczucia bezpieczeństwa, ani stabilizacji, do których tak dążyła. Wciąż powtarzała ten sam błąd i choć tego nienawidziła, stawała się współniczką męskich niewierności, niszczyła małżeństwa, nawet jeśli było to wbrew jej zasadom moralnym i nie miało nic wspólnego z pragnieniami.

Na szczęście kilka miesięcy temu zdecydowała się poddać psychoterapii, co pozwoliło jej nabrać dystansu do siebie i wyciszyć nadmiar emocji. Teraz wiedziała, że musi trzymać się z daleka od ludzi, którzy mają na nią szkodliwy wpływ.

Metro dotarło do ostatniej stacji, World Trade Center. Była to dzielnica na południu miasta, zrujnowana przez zamach terrorystyczny. Dziś wciąż trwała odbudowa, wkrótce miało tu wyrosnąć wiele nowych wieżowców ze szkła i stali. Nowy Jork pokazuje, że jest silny i

potrafi się podnieść po dotkliwym ciosie, pomyślała Emma, wychodząc z podziemi po schodach w kierunku Greenwich Street. Szybkim krokiem doszła do skrzyżowania z Harrison Street i znalazła się na placu przed skupiskiem wysokich domów z brązowej cegły, powstałym na początku lat siedemdziesiątych, gdy TriBeCa była jeszcze terenem pełnym fabryk i magazynów. Wystukała kod i pchnęła obiema rękami ciężką żelazną bramę.

Bardzo długo adres 50 North Plaža oznaczał trzy czterdziestopiętrowe wieże mieszczące około setki mieszkań socjalnych. Dziś ceny mieszkań w tej dzielnicy poszybowały w górę i budynki miały być odnowione. Na razie hol, do którego weszła Emma, wyglądał ponuro i był bardzo zniszczony: odrapane ściany, mdłe oświetlenie, brud. Wyjęła listy ze skrzynki i jedną z wind wjechała na przedostatnie piętro, na którym znajdowało się jej mieszkanie.

- Clovis! - zawołała do psa, który gdy tylko przekroczyła próg, zaczął skakać z radości.

- Pozwól mi choć zamknąć drzwi - jęknęła, głaszcząc gęstą i twardą sierść na pofałdowanej skórze shar peia. Odstawiła torbę i zaczęła bawić się z psem. Bardzo lubiła jego zwartą, krzepką sylwetkę, mięsistą trufkę, poczciwe, głęboko osadzone oczy i lekko nadąsany wyraz pyska. - Ty przynajmniej będziesz mi zawsze wierny! - rzuciła i jakby w podzięcie podsunęła mu miskę z karmą.

Mieszkanie było małe - miało zaledwie czterdzieści metrów kwadratowych - ale urocze.

Jasny parkiet z surowych desek, ceglane ściany, wielkie okna, kuchnia otwarta na pokój, której punktem centralnym był bar z czarnego gresu z trzema stołkami ze szrotkowanego metalu. Co do „salonu”, wszędzie w nim znajdowały się półki z książkami ułożonymi według gatunków: powieści autorów amerykańskich i europejskich, eseje o kinie, przewodniki po winach i książki kucharskie. Budynek, w którym znajdowało się mieszkanie Emmy, miał sporo wad: instalacja wodno-kanalizacyjna była stara, wciąż skądś ciekło i zalewało ściany, po pralni biegały myszy, windy nieustannie się psuły, klimatyzacja nawalała, a ściany były tak cienkie, że drżały podczas burz i docierało przez nie wszystko, co działo się u sąsiadów.

Za to widok z okna był jedyny w swoim rodzaju, nic go nie zasłaniało, a daleka perspektywa na całą południową część Manhattanu, z rzędami oświetlonych budynków na nabrzeżach rzeki Hudson i pływającymi po niej statkami, zapierała dech w piersiach.

Emma zdjęła płaszcz i szalik, a potem kostium, który powiesiła na manekinie. Wślizgnęła się w stare džinsy i za duży T-shirt z emblematem drużyny Yankees i poszła do łazienki zmyć makijaż.

W lustrze zobaczyła swoje odbicie: twarz trzydziestodwuletniej kobiety o kasztanowych, lekko kręconych włosach, jasnozielonych oczach i wąskim nosie ozdobionym kilkoma piegami.

Gdy miała (bardzo) dobry dzień, można było dopatrzeć się w niej lekkiego podobieństwa do Kate Beckinsale lub Evangeline Lilly, ale dzisiejszy do nich nie należał.

Mimo to uśmiechnęła się żartobliwie do swego odbicia, bo już postanowiła, że choćby nie wiem co, nie podda się smutkowi. Zdjęła szkła kontaktowe, przez które piekły ją oczy, włożyła okulary krótkowidza i poszła do kuchni z zamiarem przyrządzenia sobie herbaty.

- Brr, ale tu zimno! - mruknęła pod nosem i podkręciła poziom ogrzewania, ale i tak sięgnęła po pled.

Czekając, aż woda się zagotuje, usiadła na stołku barowym i otworzyła laptop. Była bardzo głodna. Połączyła się ze stroną internetową japońskiej restauracji, która dostarczała posiłki do domu, i zamówiła zupę miso oraz zestaw sushi, maki i sashimi.

Odebrała e-mail potwierdzający zamówienie i sprawdziła godzinę dostawy, po czym dla

zabicia czasu zaczęła przeglądać pocztę. Bała się, że znajdzie w niej wiadomość od byłego kochanka. Na szczęście Francois się nie odezwał.

Znalazła za to enigmatyczną wiadomość od jakiegoś Matthew Shapiro.

Od mężczyzny, o którym nigdy dotąd nie słyszała.

I który miał odmienić jej życie...



*Gdy cierpienie jest rzeczą, którą zna się  
najlepiej, zrezygnować z niego jest bardzo  
trudno.*

**MICHELA MARZANO**

## **Boston**

### **Dzielnica Beacon Hill**

**20.00**

- Mama już nie wróci, prawda, tato? - spytała Emily, zapinając piżamę.
  - Nie, już nigdy nie wróci - potwierdził Matthew.
  - To niesprawiedliwe! - poskarżyła się dziewczynka drżącym głosem.
  - Masz rację, ale życie bywa niesprawiedliwe - odparł, tłumiąc zniecierpliwienie.
- Uniósł córeczkę z wysiłkiem i położył do łóżka.

Ciepły i przytulny pokój nie był utrzymany w jasnych, pastelowych kolorach jak większość pokoiw dzieciennych. Kiedy Matthew z Kate odnawiali dom, starali się odtworzyć oryginalny styl każdego pomieszczenia. Na tym piętrze rozbili ściankę działową i w powiększonej w ten sposób mansardzie wycyklinowali i wywoskowali stary parkiet, żeby odzyskał dawny połysk, po czym wyszukali na targach staroci meble w stylu retro: łóżko z surowego drewna, komodę patynowaną bielą ołowiową, fotel obity tkaniną z włókna konopnego, konia na biegunach i skórzaną skrzynię z mosiężnymi okuciami do przechowywania zabawek.

Matthew pogłaskał policzek Emily, rzucając na nią czułe spojrzenie, którym chciał ją uspokoić.

- Poczytać ci coś, kochanie?

Dziewczynka spuściła oczy i pokręciła głową ze smutkiem.

- Nie, tatusiu, dziękuję ci.

Matthew skrzywił się. Od kilku tygodni wyczuwał niepokój córeczki, tak jakby przekazał jej własny stres, i ta świadomość wywoływała w nim poczucie winy. W jej obecności robił wszystko, żeby ukryć cierpienie, ale nie bardzo mu się to udawało. Dziecko posiada szósty zmysł, który bezbłędnie identyfikuje tego rodzaju emocje. Mimo że za wszelką cenę starał się uspokoić, nie opuszczał go lęk, że po śmierci żony może stracić także córkę. Był przekonany, że wszędzie czai się zagrożenie, i przytłaczał Emily swoją opiekuńczością.

Tak naprawdę rola ojca go przerosła. Dziwna obojętność Emily w pierwszych tygodniach po śmierci Kate zupełnie wytrąciła go z równowagi. Dziewczynka zachowywała się tak, jakby nie rozumiała, że matka odeszła na zawsze. Psycholog ze szpitala wytłumaczyła mu jednak, że to zupełnie normalne zachowanie. Niektóre dzieci w obronie własnej świadomości odsuwały od siebie przykre wydarzenie, jakby dając sobie czas na odzyskanie sił, by się z nim zmierzyć.

Rozmowy na temat śmierci pojawiły się później. Przez kilka miesięcy Matthew jakoś się trzymał dzięki radom psycholog, komiksom i metaforom. Ale pytania Emily stawały się coraz bardziej konkretne, wprawiały go w zakłopotanie i powodowały, że zamykał się w sobie. Jak

czteropółletnie dziecko wyobraża sobie śmierć? Nie wiedział, jakich użyć słów, nie był pewien, co w tym wieku córka może zrozumieć. Psycholog uspokajała go, mówiła, że Emily z czasem zrozumie nieodwracalność śmierci matki. Według niej pytania dziewczynki były normalne, pomagały im przełamać milczenie, żeby temat nie stał się tabu, i w rezultacie pozwalały małej uwolnić się od strachu.

Jednak najwyraźniej Emily wciąż nie doznała tego wyzwalającego ukojenia. Przeciwnie, co wieczór, gdy szła spać, przeżywała te same lęki, zadawała te same pytania, które wymagały bolesnych odpowiedzi.

- Szybko do łóżka!

Zamyślona dziewczynka wślizgnęła się pod kołdrę.

- Babcia mówi, że mama jest w niebie... - zaczęła.

- Mama nie jest w żadnym niebie, babcia mówi bzdury! - przerwał jej Matthew, złościąc się w duchu na swoją matkę.

Kate nie miała rodziny. On sam bardzo wcześnie rozluźnił kontakty z rodzicami, parą egoistów, którzy po osiągnięciu wieku emerytalnego przenieśli się do Miami i niewiele ich obchodziła jego żaloba. Tak naprawdę nigdy nie lubili Kate, zarzucali jej, że przedkłada karierę nad życie rodzinne. Dość osobliwy zarzut, zważywszy, że to właśnie oni myśleli zawsze tylko o sobie. Co prawda w pierwszym miesiącu po śmierci Kate przyjechali do Bostonu, by pomóc mu w opiece nad Emily, nie trwało to jednak długo. Teraz dzwonili raz w tygodniu, dowiedzieć się, co słyhać i przy okazji naopowiadać wnuczce głupstw.

Poczuł, że ogarnia go coraz większa złość. Nie ma mowy, żeby zaakceptował tę religijną hipokryzję. On sam nie wierzył w Boga, nigdy w życiu nie był religijny, i na pewno śmierć jego żony niczego tu nie zmieni! Dogłębna znajomość filozofii uczyniła z niego ateistę, a Kate podzielała jego poglądy. Śmierć oznaczała kres wszystkiego. Nie było nic więcej, żadnego „potem”, tylko pustka, totalna i absolutna nicość. Nie mógł pozwolić, by jego matka mamiała mu córkę jakimiś bzdurnymi opowieściami o niebie, nawet jeśli miała dobre intencje i wierzyła, że ta iluzja uspokoi dziewczynkę.

- Jeśli mamy nie ma w niebie, to gdzie jest? - nie ustępowała Emily.

- Ciało mamy jest na cmentarzu, przecież o tym wiesz. Ale zgoda, jej miłość do nas nie umarła - przytaknął. - Jest wciąż w naszych sercach i w naszej pamięci. Możemy podtrzymywać to wspomnienie, często rozmawiając o mamie, myśląc o miłych chwilach, które spędziliśmy razem, oglądając zdjęcia i odwiedzając jej grób.

Emily pokręciła głową. Nie wyglądała na przekonaną.

- Ty też umrzesz, prawda? - spytała.

- Tak jak wszyscy... - Matthew kiwnął głową. - Ale...

- A kto się mną zajmie, jeśli ty umrzesz? - W głosie córki zabrzmiała panika.

Objął ją mocno i uściśnął.

- Kochanie, przecież nie umrę jutro! Obiecuję ci, że będę żył jeszcze co najmniej sto lat!

- powiedział, wiedząc, że nie dotrzyma tej obietnicy.

Jeszcze kilka minut siedział z córką, potem otulił ją kołdrą i zgasił światło, zostawiając włączoną lampkę nad łóżkiem. Ucałował dziecko ostatni raz, obiecał, że za chwilę zajrzy do niej April powiedzieć dobranoc, i wyszedł, zostawiając uchylone drzwi.

\*

Zszedł po schodach do salonu. Na parterze światło było przytłumione. Od trzech lat mieszkał w tym domu z czerwonej cegły na rogu Mount Vernon i Willow Street. Był to śliczny

townhouse z białymi masywnymi drzwiami i okiennicami z ciemnego drewna. Okna wychodziły na Louisburg Square. Wyjrzał na zewnątrz i popatrzył na migoczące światła zawieszane na ogrodzeniu parku. Kate przez całe życie marzyła, żeby mieszkać w sercu starego Bostonu. W zabytkowej enklawie z wiktoriańskimi domami ciągnącymi się wzdłuż ukwieconych uliczek, których brukowane chodniki oświetlało sączące się pomiędzy drzew światło latarni gazowych. Było to miejsce magiczne, odnosiło się wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał: domy zachowały staroświecki wdzięk. Na życie w tej okolicy nie mogli sobie pozwolić ani lekarz pracujący w szpitalu uniwersyteckim, ani wykładowca, który dopiero co spłacił pożyczkę zaciągniętą na studia. Jednak Kate nie dawała się łatwo zniechęcić. Miesiącami krążyła po wszystkich sklepach w dzielnicy, rozlepiając ogłoszenia. I wreszcie zdarzył się cud: ogłoszenie przeczytała jakaś starsza dama, która właśnie przenosiła się do domu seniora. Ta bogata bostonka nienawidziła agencji nieruchomości i sprzedając dom, w którym spędziła całe swoje życie, wolała obejść się bez pośrednictwa. Kate musiała się jej spodobać, gdyż, co znowu graniczyło z cudem, zgodziła się obniżyć cenę, pod warunkiem że młodzi zdecydują się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nawet z dużą zniżką cena posesji była niebotycznie wysoka, zadłużali się na całe życie, ale niesieni na skrzydłach miłości i wiary w przyszłość Matthew i Kate powiedzieli „tak”, wzięli kredyt na trzydzieści lat i odtąd każdy weekend spędzali ubrudzeni farbą i gipsem.

Mimo że żadne z nich do tej pory nie miało młotka w ręku, szybko stali się specjalistami od rur i kanalizacji, odnawiania parkietów i instalacji elektrycznych. Oboje czuli się niemal fizycznie związani ze starym domem, stał się on ich zaciszną przystanią, miejscem, w którym zamierzali wychować dzieci i w którym chcieli się wspólnie zestarzeć. Miał to być dla nich Shelter from the storm, jak śpiewał Bob Dylan - prawdziwe schronienie.

Ale teraz, gdy Kate umarła, jaki to wszystko miało sens? Dom przytłaczał go tysiącem wspomnień. Meble, wnętrze, nie mówiąc już o unoszących się wszędzie charakterystycznych woniach (zapachowe świece, potpourri, kadzidełka), wszystko to przywodziło mu na myśl Kate. Matthew cały czas wydawało się, że żona siedzi w sąsiednim pokoju.

Mimo to nie miał chęci ani odwagi, by się stąd wyprowadzić. W tym niepewnym okresie townhouse był jego jedynym stałym punktem odniesienia. Na szczęście nie cały dom zastygł we wspomnieniach. Ostatnie piętro żyło dzięki obecności April, która odnajmowała od niego wielką sypialnię, łazienkę, garderobę i skromne biuro. Piętro niżej znajdowały się sypialnia Matthew, sypialnia Emily oraz pokój zabaw, ponieważ od razu planowali z Kate następne dziecko... Parter został urządzony w stylu loftu: był tam wielki salon połączony z otwartą kuchnią.

Matthew otrząsnął się z odrętwienia i zamrugał, żeby pozbyć się tych bolesnych myśli.

Poszedł do kuchni, w której tak lubili jeść razem śniadania i kolacje, siedząc za barem i opowiadając sobie, co wydarzyło się w ciągu dnia. Wyjął z lodówki piwo, zdjął kapsel i wyłuskał z opakowania kolejną tabletkę leku uspokajającego, którą popił łykiem piwa. Koktajl piguła z coroną. Nie znał nic lepszego, żeby się ogłuszyć i szybko zasnąć.

- Hej, przystojniaku, uważaj z tymi mieszankami, to niebezpieczne! - wykrzyknęła April, schodząc po schodach. Przebrała się na wieczór, bo wychodziła. Jak zwykle wyglądała wspaniale. Stukała wysokimi obcasami i zadziwiająco naturalnie prezentowała się w ekscentrycznym, ale szykownym zestawie, który wzbudziłby zachwyt każdego fetyszysty: miała na sobie przezroczysty top obszty brązową lamówką, szorty z lakierowanej skóry, grube rajstopy i ciemny blezer z ćwiekami na rękawach.

Włosy upięła w kok, na twarz nałożyła perłowy podkład, który jeszcze bardziej podkreślał szminkę w odcieniu krwistej czerwieni.

- Nie chcesz pójść ze mną? - spytała. - Wybieram się do Gun Shot, nowego pubu w starym porcie. Podają tam smażony salceson, który jest naprawdę zabójczy! A ich mojito...

Teraz to najmodniejszy lokal w mieście, możesz tam spotkać najpiękniejsze dziewczyny!

- Nie zostawię Emily samej.

April machnęła ręką.

- Możemy poprosić córkę sąsiada, bardzo lubi bawić się w baby-sitter i chętnie się zajmie Emily.

Matthew pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby moja czteroipółletnia dziewczynka, przebudziwszy się w nocy, odkryła, że ojciec, zamiast z nią siedzieć, zalewa się mojito w jakimś barze dla lesbijek satanistek.

Zirytowana April pokręciła szeroką bransoletką w purpurowe esy-floresy.

- Gun Shot to wcale nie jest lesbijski bar! A poza tym mówię zupełnie serio, przydałoby ci się wyjść z domu, przewietrzyć się, spotkać innych ludzi. Powinieneś wreszcie pozwolić sobie na flirt, a może nawet na coś więcej...

- Jak mogę się znowu zakochać?! Moja żona...

- Dlaczego zaraz: zakochać się? - przerwała mu April. - Mówię o seksie, o beztróskim kontakcie fizycznym, przyjemności dla zmysłów! Mogę ci przedstawić którąś z moich koleżanek. To zabawowe dziewczyny i bez kompleksów.

Matthew popatrzył na nią jak na kosmitkę.

- Dobrze, nie nalegam - mruknęła, zapinając blezer. - Ale czy nigdy się nie zastanawiałeś, jakie byłoby zdanie Kate w tej sprawie?

- Nie rozumiem.

- Gdyby mogła cię widzieć z góry, co by pomyślała o twoim zachowaniu?

- Teraz ty? Nie ma żadnej „góry”!

- Nie w tym rzecz - odparowała April. - Kate na pewno chciałaby, żebyś się otrząsnął, ruszył z miejsca, żebyś przynajmniej dał sobie szansę na odnalezienie radości życia...

Matthew stracił cierpliwość.

- Jak możesz w ogóle mówić w jej imieniu? Nie znałaś mojej żony, nigdy jej nawet nie spotkałaś!

- Zgadza się - przytaknęła April. - Ale myślę, że w pewien sposób podoba ci się rola cierpiénika. Kultuwujesz swój ból, bo jest ostatnim ogniwem, jakie łączy cię z Kate...

- Przestań się wymądrzać tą psychologią z babskich piśmideł! - warknął Matthew, nie mogąc opanować gniewu.

Urażona April nic na to nie odpowiedziała i wyszła, trzaskając drzwiami.

\*

Matthew został sam. Usiadł na kanapie, wypił duszkiem piwo i położył się. Cholera jasna! - zaklął w duchu. Nie miał żadnej ochoty na seks, na pieszczoty czy pocałunki. Chciał być sam. Nie szukał zrozumienia ani pocieszenia. Pragnął zamknąć się w swoim cierpieniu, za jedynych towarzyszy niedoli mając prochy i ulubioną coronę.

Gdy tylko przymknął oczy, pojawiły się sceny, które widział już setki razy. Noc z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty grudnia 2010 roku. Kate miała dyżur do dziewiętej wieczór w Szpitalu Dziecięcym przy Jamaica Plain, który był filią MGH\*.

Zadzwoiła do niego pod koniec pracy.

- Kochanie, znów nawalił mi samochód. Stoi na parkingu szpitalnym. Jak zwykle miałeś rację. Muszę się wreszcie pozbyć tego grata!

- Sto razy ci mówiłem..

- Ale jestem tak przywiązana do tej mazdy! To mój pierwszy samochód. Kupiłam go jeszcze w studenckich czasach!

- Czyli ponad dziesięć lat temu, kochanie, a już wtedy nie był nowy.

- Postaram się wrócić metrem.

- Chyba żartujesz! O tej porze to niebezpieczne. Biorę motor i jadę po ciebie!

- Nie, nie, jest za zimno. Pada deszcz ze śniegiem. Lepiej nie przyjeżdżaj, Matt!

Nalegał, aż w końcu skapitulowała.

- No, dobrze, ale uważaj, błagam!

To były jej ostatnie słowa, potem się rozłączyła.

Matthew wsiadł na swojego triumpha. Kiedy wyjeżdżał z Beacon Hill, Kate udało się jednak uruchomić mazdę. Siedem minut po dziewiątej ciężarówka z dostawą mąki do piekarni w centrum miasta uderzyła w nią z impetem, gdy wyjeżdżała z parkinga szpitalnego.

Samochód Kate uderzył w mur okalający szpital, obrócił się i wylądował na dachu.

Niestety, rozpędzona ciężarówka wjechała na chodnik, przygniatając całym swoim ciężarem niedużą mazdę. Kiedy Matthew dotarł do szpitala, strażacy starali się właśnie wyciągnąć Kate, uwięzioną w powyginanej karoserii. Ponad godzinę później udało im się w końcu przewieźć ją do MGH, gdzie zmarła jeszcze tej samej nocy wskutek odniesionych ran.

Kierowca ciężarówki wyszedł z kolizji bez szwanku. Badania toksykologiczne, którym został poddany po wypadku, wykazały obecność marihuany w jego organizmie, ale podczas przesłuchania zeznał, że w momencie zderzenia Kate telefonowała i wymusiła pierwszeństwo.

Jego wersję potwierdziły nagrania z kamery przemysłowej umieszczonej przy wjeździe na parking.

\*

Matt otworzył oczy i usiadł na kanapie. Nie wolno mu się załamywać! Musi pamiętać o Emily. Wstał i zaczął szukać zajęcia. Może poprawić prace studentów? Albo obejrzeć mecz koszykówki w telewizji? A potem jego wzrok padł na torbę, w której znajdował się laptop zakupiony okazji kilka godzin wcześniej.

Usiadł przy drewnianym blacie kuchennego baru, wyjął komputer z kartonu i włączył do kontaktu, jeszcze raz spoglądając na dziwną nalepkę na aluminiowej obudowie. Ewa z jabłkiem?

Otworzył laptop. Do ekranu przyklejono żółtą samoprzylepną karteczkę. Najwyraźniej facet organizujący wyprzedaż zapisał mu kod dostępu do konta administratora. Matthew włączył urządzenie i wystukał hasło wprowadzające na stronę główną.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie: tło ekranu, znajome ikonki.

Wprowadził swoje dane, żeby połączyć się z internetem, i przez kilka minut przeglądał programy, chcąc się upewnić, że potrafi otworzyć wszystkie aplikacje: edytor tekstu, nawigację, pocztę, menedżer obrazów... włączając ten ostatni program, niespodzianie znalazł serię fotografii.

Dziwne... - pomyślał. Przecież sprzedawca zapewnił go, że sformatował twardy dysk.

Wcisnął klawisz, żeby włączyć pokaz slajdów. Na ekranie zaczęły się przesuwać zdjęcia, prawdopodobnie z wakacji. Widoki jak z pocztówek, turkusowe morze, deski surfingowe wbite w biały piasek, jakaś obejmująca się para w magicznym świetle zachodzącego słońca.

Hawaje? Wyspy Bahama? Malediwy? - zastanowił się Matthew, wyobrażając sobie szum fal i wiatr muskający włosy. Na następnych zdjęciach morze zostało zastąpione zielenią, pojawiły się wzgórza, zamki, winnice i placyk w jakiejś wiosce. Francja albo Toskania, pomyślał Matthew. Zaintrygowany odkryciem zatrzymał tryb wyświetlania slajdów i zaczął klikać na poszczególne fotografie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Poza danymi technicznymi przy opisie każdego zdjęcia widniało zdanie: „Wykonane przez: emma.lovenstein@imperatornyc.com”.

„Emma Lovenstein”... Natychmiast skojarzył to imię i nazwisko z podpisem na rysunku przyklejonym do obudowy komputera: „Emma L.”. Pewnie tak nazywała się poprzednia właścicielka. Zaznaczył wszystkie zdjęcia i przesunął je do Kosza. W chwili gdy miał kliknąć, żeby usunąć je definitywnie, zawahał się. Na wszelki wypadek zredagował krótką notkę:

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:** *Zdjęcia*

*Dobry wieczór, Pani Lovenstein,  
jestem nowym właścicielem Pani MacBooka.*

*Na twardym dysku zostało kilka Pani zdjęć.*

*Przesłać Pani te fotografie, czy też mogę je skasować?*

*Czekam na odpowiedź.*

*Pozdrawiam*

*Matthew Shapiro*

\* Massachusetts General Hospital - szpital uniwersytecki w Bostonie.

**Strangers in the Night**

*Nie wierze, że życie w pojedynkę ma  
jakikolwiek sens. Nikt z nas nie jest  
kompletny sam w sobie.*

**VIRGINIA WOOLF**

**Od:** Emma Lovenstein

**Do:** Matthew Shapiro

**Temat: Re:** Zdjęcia

*Drogi Panie,*

*chyba pomylił Pan adres. Rzeczywiście mam MacBooka, ale  
nigdy go nie sprzedałam. Zdjęcia, o których pan pisze, nie mogą być moje ;-)*

*Pozdrawiam*

*Emma*

*Emma Lovenstein*

*Zastępca głównego sommeliera*

*Imperator*

*30 Rockefeller Plaza New York, NY 10020*

**2 minuty później:**

*Rozumiem. Przepraszam za pomyłkę.*

*Milego wieczoru.*

*Matthew*

*PS. Pracuje Pani w Imperatorze? Może kiedyś się  
spotkaliśmy? Świętowałem tam z żoną pierwszą rocznicę  
naszej znajomości.*

**45 sekund później:**

*Naprawdę? Kiedy to było?*

*1 minuta później:*

*Trochę ponad cztery lata temu. Dwudziestego dziewiątego  
października.*

**30 sekund później:**

*To musiało być w takim razie na kilka tygodni przedtem, zanim zaczęłam tu pracować.  
Mam nadzieję, że mile wspomina*

*Pan naszą restaurację.*

**1 minuta później:**

*Oczywiście, to świetny lokal! Pamiętam nawet niektóre dania:*

*żabie udka w karmelowym sosie, grasicca z truflami,  
ciasteczko beżowe z puddingiem ryżowym...*

**30 sekund później:**

*A wina? Sery?*

**1 minuta później:**

*Z pewnością Panią rozczaruję, Emmo, ale jeśli mam być  
szczerzy, to nigdy nie piję wina i nie jadam serów...*

**1 minuta później:**

*Nie wie Pan, co Pan traci! Jeśli znów nas Pan odwiedzi,  
polecę Panu kilka dobrych win! Czy mieszka pan w  
Nowym Jorku, Matthew?*

**30 sekund później:**

*Nie, w Bostonie. W Beacon Hil .*

**20 sekund później:**

*To przecież bardzo blisko! Proszę przywieźć do nas żonę  
na piątą rocznicę!*

**3 minuty później:**

*To niemożliwe... Moja żona nie żyje.*

**1 minuta później:**

*Tak mi przykro. Proszę mi wybaczyć!*

**1 minuta później:**

*Nie mogła Pani o tym wiedzieć, Emmo.  
Miłego wieczoru.*

\*

Matthew zerwał się z krzesła i odszedł od baru, na którym stał komputer. Oto, na co się narażał, wdając się w internetowe dyskusje z nieznajomymi! Co mu przyszło do głowy, żeby prowadzić ten surrealistyczny dialog?

E-mailowa korespondencja zirytowała go i nagle poczuł głód. Wszedł do części kuchennej, otworzył lodówkę. Była pusta. Normalne, westchnął w duchu, przecież sama się nie zapełni.

Zajrzał do zamrażalnika, znalazł jakąś pizzę i wsadził do mikrofalówki. Nastawił minutnik i wrócił do komputera. Na ekranie zobaczył nową wiadomość od Emmy Lovenstein...

\*

- Ależ ze mnie kretyńka! - zrugła samą siebie Emma. - Tylko skąd miałam wiedzieć, że jego żona nie żyje? - próbowała się usprawiedliwić.

Komputerowy dialog obudził jej ciekawość. Wrzuciła w Google hasło: „Matthew Shapiro + Boston”. A nuż coś znajdzie? Pierwsze rezultaty odesłały ją na oficjalną stronę Uniwersytetu Harvarda. Zaintrygowana kliknęła na pierwszy link i na ekranie ukazał się krótki życiorys



jednego z wykładowców na wydziale filozofii.

Najwyraźniej jej tajemniczy korespondent prowadził zajęcia na tej prestiżowej uczelni. Do życiorysu profesora dołączono zdjęcie. Gdyby mu wierzyć, Shapiro był przystojnym brunetem w wieku około czterdziestu lat o szlachetnym uroku Johna Cassavetesa. Emma wahała się przez chwilę, po czym jej palce pobiegły po klawiaturze:

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

*Jadł Pan już kolację, Matthew?*

\*

Matthew zmarszczył brwi. Nie podobała mu się ta ingerencja w jego życie osobiste. Jednak odpowiedział natychmiast:

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

*Jeśli już musi Pani wszystko wiedzieć, odgrzewam pizzę w mikrofalówce.*

**30 sekund później:**

*No, dobra, Matthew! Niech Pan zostawi tę zamrożoną pizzę.*

*Oto, co proponuję Panu w zamian:*

*Czy zna Pan Zellig Food, te wielkie delikatesy przy Charles Street?*

*Mają tam wspaniałą wybór serów i wędlin. Jeśli ma*

*Pan ochotę na wieczór dla smakoszy, niech Pan tam pójdzie i kupi któryś ze smakowitych kozich serów, na przykład ich specjalność - kozi ser z figami lub z wasabi.*

*Wiem, ta kompozycja może dziwić, ale jeśli popije Pan to białym sauvignon znad Loary - sancerre lub pouilly*

*fume - wszystko zgra się doskonale! Radziłabym również skosztować tamtejszego pasztetu w cieście*

*z dodatkiem foie gras i pistacji, który świetnie pasuje do aksamitnego posmaku burgunda Côte de Nuit.*

*A jeszcze jeśli znajdzie pan gevreys-chambertin rocznik 2006...*

*To tylko moje sugestie, ale zobaczy Pan, będzie to Panu bardziej smakowało niż mrożona pizza.*

*Emma*

**PS.** *Sprawdziłam w internecie: Beacon Hill dzieli od Zellig Food tylko krótki spacer, ale niech się Pan pośpieszy, delikatesy są czynne do dwudziestej drugiej.*

Matthew rozrzewnił się, patrząc na ekran: już od dawna nikt się tak o niego nie troszczył!

Ale chwilę potem zreflektował się i oburzył. Jakim prawem jakaś Emma Lovenstein pozwala sobie narzucać mu, jak ma spędzić wieczór?!

Zirytowany przełączył się z poczty na Google i wystukał: „Emma Lovenstein + sommelier” i wcisnął klawisz „enter”. Wybrał pierwszą propozycję wyszukiwarki - był to internetowy artykuł czasopisma „Wine Spectator” z ubiegłego roku, zatytułowany Dziesięć młodych talentów z przyszłością, który kreślił portrety nowego pokolenia sommelierów.

Co ciekawe, większość młodych talentów była płci żeńskiej. Emmę znalazł na przedostatnim miejscu. Obok krótkiej informacji zobaczył zamazane zdjęcie zrobione w supernowoczesnej piwniczce z winami restauracji Imperator. Nacisnął na zoom - nie było wątpliwości: młoda specjalistka od win z artykułu była tą samą osobą, co kobieta, którą widział na zdjęciach z wakacji znalezionych na twardym dysku laptopa. Ładna brunetka o pogodnym spojrzeniu i figlarnym uśmiechu.

Dziwne... dlaczego odpisała, że to nie jest jej laptop? Wstydziła się czegoś? Poczula się zakłopotana? Ale w takim razie dlaczego kontynuowała rozmowę?

Dzwonek minutnika zasygnalizował, że pizza jest gotowa.

Zamiast wstać i podejść do mikrofalówki, Matthew zadzwonił do sąsiadów z pytaniem, czy ich córka, Elizabeth, może posiedzieć przy Emily przez pół godziny? Bo on, Matthew, musi wyskoczyć na chwilę coś kupić w Zellig Food, który jest czynny do dwudziestej drugiej...

\*

## **Boston**

### **Dzielnica Back Bay**

#### **1.00**

Pub wibrował w rytm basów jakiegoś przeboju electro dance. April z trudem przecisnęła się przez tłum kłębiący się w lokalu i wyszła na zewnątrz, na papierosa. Oj, chyba jestem na lekkiej bani... - pomyślała, potykając się o krawężnik. Rześkie nocne powietrze dobrze jej zrobi. Za dużo alkoholu, tańca i podrywania. Podciągnęła ramiączko stanika i spojrzała na zegarek. Było bardzo późno. Zadzwoniła po taksówkę i grzebiąc w torbie w poszukiwaniu zapalniczki, włożyła do ust papierosa.

- Tego szukasz? - Usłyszała głos za plecami. Odwróciła się i zobaczyła młodą blondynkę o promiennym uśmiechu, Julia, dziewczyna, którą pożerała oczami przez cały wieczór i która na to w ogóle nie reagowała. Krótkie włosy z rozjaśnionymi kosmykami, żywe spojrzenie, wdzięczna sylwetka sylfidy, pantofle na niebotycznych obcasach... Totalnie w jej guście.

- Zostawiłaś zapalniczkę na kontuarze - odezwała się dziewczyna, pstrykając i zapalając zapalniczkę z masy perłowej i różowej laki. April nachyliła się nad płomieniem. Zahipnotyzowana bladą cerą, zmysłowymi ustami i delikatnymi rysami tej, która stała naprzeciw, poczuła, jak rodzi się w niej intensywne pożądanie.

- W środku jest taki hałas, że nawet nie można porozmawiać! - rzuciła Julia. - Tak, faktycznie. Jestem już za stara na tę muzykę! - zażartowała April. Nagle jakiś samochód w pobliżu zamrugał reflektorami.

- To moja taksówka! - powiedziała April, wskazując na wóz, który zatrzymał się przed pubem.

- Jeśli chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć... Julia przez chwilę udawała, że się waha. Wiedziała, że wszystko zależy od niej.

- Zgoda, to miło z twojej strony! Mieszkam niedaleko, na Pembroke Street. Ulokowały się na tylnym siedzeniu taksówki. Gdy samochód zjeżdżał z nabrzeża Charles River, Julia oparła głowę na ramieniu April, która miała straszliwą ochotę ją pocałować, jednak nie podjęła żadnej próby, skrępowana nachalnym spojrzeniem kierowcy. Nie myśl, że będziesz miał tu kino za darmo! Spojrzała mu znacząco w oczy widoczne w lusterku wstecznym. Jazda trwała

krótko, po niecałych pięciu minutach samochód zatrzymał się w połowie uliczki obsadzonej po obu stronach drzewami.

- Może wpadniesz na drinka? - rzuciła Julia jakby od niechcienia. - Jedna z moich dawnych koleżanek z uczelni przysłała mi napój na bazie miąższu aloesu, coś specjalnego, robi go sama. Na pewno będzie ci smakował! April uśmiechnęła się lekko. Była zachwycona zaproszeniem. W ostatniej jednak chwili zawahała się. Poczowała głuchy niepokój, który wydawał się silniejszy od pożądania. Julia faktycznie wpadła jej w oko, ale April martwiła się o Matthew. Kiedy wychodziła z domu, sprawiał wrażenie wyjątkowo przygnębionego. Żeby tylko nie zrobił jakiegoś głupstwa... Z pewnością było to absurdalne, lecz nie mogła przestać o tym myśleć. Widziała siebie wracającą do domu i znajdującą Matthew zwisającego bezwładnie z górnej belki albo nieprzytomnego po połknięciu całego opakowania środków nasennych.

- Z przyjemnością bym do ciebie wpadła, ale teraz nie mogę... - wymamrotała.

- Trudno, rozumiem - burknęła Julia oschle, urażona.

- Nie, zaczekaj, daj mi numer swojego telefonu, może mogłybyśmy... Za późno. Ładna blondynka już zatrzasnęła za sobą drzwi. Cholera jasna! - zaklęła w duchu April i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją na róg Mount Vernon i Willow Street.

Wciąż nie opuszczał jej niepokój. Znała Matthew dopiero od roku, ale bardzo się do niego i do małej Emily przywiązała. Martwiło ją jego nieszczęście, ale zupełnie nie wiedziała, jak mu pomóc. Matthew tak uwielbiał swoją żonę, że April nie wyobrażała sobie, w jaki sposób jakaś inna kobieta mogłaby, choćby na krótko, znaleźć miejsce w jego sercu. Kate była wyjątkowo błyskotliwa, piękna, młoda, miała dobre serce... Kto może rywalizować z kardiochirurgiem o wyglądzie modelki? Samochód podjechał pod townhouse. April zapłaciła i wysiadła. Delikatnie, starając się nie robić hałasu, otworzyła drzwi wejściowe. Myślała, że Matthew będzie chrapał, rozwalony na kanapie, ogłuszony tym swoim koktajlem z piwa i środków uspokajających. Zamiast tego siedział sobie spokojnie, wpatrzony w ekran nowego laptopa, kiwał głową w rytm jakiejś jazzowej melodii, a na twarzy miał figlarny uśmiech.

- Już wróciłaś? - zdziwił się. - Nie cieszysz się na mój widok? - rzuciła, oddychając z ulgą. Spojrzała na blat w części kuchennej, na którym stały odkorkowane butelki z winem, resztki jakichś najwyraźniej wybornych serów i napoczęty kawałek pasztetu w cieście.

- Widzę, że niczego sobie nie odmawiamy? Byłeś na zakupach? Wydawało mi się, że nie chciałeś nigdzie wychodzić.

- Miałem już dość mrożonek! - usprawiedliwiał się niezręcznie. April spojrzała na niego z powątpiewaniem i podeszła bliżej.

- Przynajmniej korzystasz ze swojej nowej zabawki - odezwała się zaczepnie i zajrzała mu przez ramię. Matthew szybko opuścił klapę laptopa. Skrępowany starał się ukryć zdjęcia odzyskane z kosza na pulpicie, które sobie wydrukował. Ale April była szybsza.

- Ładniutka! - osądziła, przyglądając się zdjęciom Emmy.

- Kto to jest?

- Sommelierka z renomowanej nowojorskiej restauracji.

- A ta muzyka? Myślałam, że nie lubisz jazzu.

- To Keith Jarrett, Koln Concert. Czy wiedziałaś, że muzyka może mieć wpływ na degustację wina? Badania dowiodły, że niektóre utwory jazzowe stymulują te części mózgu, które pozwalają lepiej docenić zalety grarids crus. Niesamowite, prawda?

- Pasjonujące! Dowiedziałaś się tego od swojej nowej koleżanki?

- To nie jest żadna moja koleżanka, nie wygłupiaj się, April. Wyciągnęła oskarżycielsko

palec.

- Przez ciebie straciłam okazję mojego życia! Martwiłam się, że siedzisz tu sam i głupie myśli chodzą ci po głowie.

- Dzięki za troskliwość, ale o nic nie prosiłem...

- Myślałam, że jesteś w depresji! - odparła podniesionym tonem.

- Na granicy samobójstwa! A tymczasem wracam i widzę, że zabawiasz się na całego w degustację grands crus z jakąś babą poznaną w internecie!

- Zaraz, zaraz, czyżbyś była zazdrosna?! Piękna właścicielka galerii naląła sobie kieliszek wina. Minęło kilka minut, nim się uspokoiła.

- No, dobra! Co to za kobieta? Matthew trochę się dąsał, w końcu jednak zgodził się opowiedzieć o wydarzeniach tego wieczoru od momentu, gdy w nowym laptopie znalazł zdjęcia poprzedniej właścicielki, aż do tego dziwnego dialogu, który się między nimi wywiązał. Przez prawie trzy godziny wymienili mnóstwo e-maili na nieskończenie wiele tematów. Okazało się, że oboje uwielbiają Cary'ego Granta, Marilyn Monroe, Billy'ego Wildera, Gustava Klimta, Wenus z Milo, Śniadanie u Tiffany'ego, i film Sklep za rogiem. Roztrząsali odwieczne spory, kto jest lepszy: Beatlesi czy Stonesi, Audrey czy Katharine Hepburn, Red Sox czy Yankees, Frank Sinatra czy Dean Martin... Nie zgodzili się w sprawie Między słowami, według Matthew film był przereklamowany, Emma zaś uważała, że to absolutne dzieło sztuki. Zastanawiali się wspólnie, które z opowiadań Stefana Zweiga jest najlepsze, który z obrazów Edwarda Hoppera porusza ich najbardziej, która piosenka z płyty Unplugged Nirvany jest najlepsza. Każde z nich wysuwało swoje argumenty, żeby rozstrzygnąć, czy Dziwne losy Jane Eyre przewyższają Dumę i uprzedzenie, czy czytanie powieści na tablecie jest równie przyjemne, jak przewracanie stron drukowanej książki, czy Off the Wall jest lepsze od Thrillera, czy Mad Men są w tym momencie najlepszym serialem, czy akustyczna wersja Layli była tak samo dobra jak oryginalna, czy Get Yer Ya-Yas Out! jest najlepszym nagraniem z koncertu na żywo, czy...

- Dobra, dobra, wystarczy, już rozumiem - przerwała mu April.

- A poza tym? Czy uprawialiście cyberseks?

- No wiesz?! - obruszył się.

- Po prostu dyskutowaliśmy.

- Jasne, jasne... Matthew pokręcił głową. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

- A skąd wiesz, że to naprawdę ta ładna brunetka? —spytała April.

- W internecie bardzo często ludzie podają się za kogoś innego. Być może od trzech godzin zupełnie nieświadomie gadasz z jakimś osiemdziesięcioletnim grubasem...

- Chcesz mi zepsuć wieczór...

- Wprost przeciwnie, jestem zadowolona, że wreszcie zdecydowałaś się wyjść ze skorupy, ale nie chcę, żeby spotkało cię rozczarowanie i żebyś zaangażował się w związek z kimś, kto posługuje się fałszywą tożsamością.

- A co w takim razie radzisz?

- Postaraj się jak najszybciej z nią spotkać. Dlaczego nie zaprosisz jej do restauracji?

Matthew pokręcił głową.

- Zgłupiałaś? To o wiele za wcześnie! Jeszcze sobie pomyśli, że...

- Nic sobie nie pomyśli! Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Dziś tak to się odbywa. Widać, że od dawna z nikim się nie spotykałaś! Zaskoczony Matthew nie wiedział, co odpowiedzieć.

Czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Nie chciał przyspieszać naturalnego biegu spraw ani ulegać impulsom. W końcu tak naprawdę nie znał tej Emmy Lovenstein. Ale musiał przyznać, że coś między nimi zaiskrzyło, obojgu najwyraźniej sprawiła przyjemność długa wymiana zdań, podczas której na kilka godzin oderwali się od szarej codzienności. Podobała mu się również ta powieściowa strona ich spotkania, rola, jaką w niej odegrał przypadek albo być może... przeznaczenie.

- Zaproś ją jak najszybciej! - powtórzyła April.

- Jeśli chcesz, zaopiekuję się Emilią. - Powstrzymała ziewnięcie i spojrzała na zegarek. - Zbyt dużo wypiałam! Idę się położyć - oznajmiła i pomachała mu ręką na dobranoc. Matthew odwzajemnił jej gest i nie odrywał od niej wzroku, gdy wchodziła po schodach na górę. Kiedy tylko został sam, podniósł klapę laptopa i natychmiast uderzył w odpowiedni klawisz, żeby odświeżyć stronę z e-mailami.

Od Emmy nie przyszło nic nowego. Czyżby się znudziła?... Może April miała rację. Nie powinien zwlekać z zaproszeniem.

Postanowił wyjaśnić wszystko od razu.

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:** *Zaproszenie*

*Czy jest Pani wciąż gdzieś tam blisko, Emmo?*

**1 minuta później:**

*Jestem już w łóżku, Matthew, ale mam laptop przy sobie.*

*Ściągnęłam Paoski Antypodręcznik do filozofii i właśnie go połykam.*

*Nie miałam pojęcia, że Ciceron oznacza po łacinie ciecierzycę;-)*

Jakby pchany niewidzialną siłą, Matthew odważył się na coś, czego normalnie nigdy by nie zrobił.

**45 sekund później:**

*Mam dla Pani propozycję, Emmo. Znam taką włoską knajpkę w East Vil age, Le Numero 5, na południe od Tompkins Square Park. Restaurację tę prowadzą Vittorio Bartoletti z żoną, którzy są moimi przyjaciółmi*

*z dzieciostwa. Jem u nich kolację za każdym razem, gdy jadę do Nowego Jorku, przeważnie żeby wziąć udział w konferencjach organizowanych przez Morgan Library.*

*Nie wtem, co jest warta ich karta win, ale jeśli lubi Pani arancini po boloosku, lasagne z pieca, tagliatelle*

*w potrawce i sycylijskie cannoli, szczerze polecam to miejsce.*

*Czy zgodziłaby się Pani zjeść tam ze mną kolację?*

**30 sekund później:**

*Będę zachwycona, Matthew! Kiedy wybiera się Pan do Nowego Jorku?*

**30 sekund później:**

*Następna konferencja ma być piętnastego stycznia, ale może moglibyśmy spotkać się*

wcześniej? Dlaczego nie jutro?

O dwudziestej?

\*

Jutro...

Jutro!

JUTRO!

Emma miała ochotę skakać po łożku. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Słyszałeś, Clovis? (Prze)przystojny, (prze)inteligentny facet zaprasza mnie na kolację!

Wpadłam w oko seksownemu profesorowi filozofii! - wykrzyknęła radośnie do psa, który drzemał na podłodze przy łożku. Mimo że trzeba było czegoś więcej, żeby naprawdę poruszyć shar peia, zareagował kurtuazyjnym krótkim warknięciem.

Emma była w siódmym niebie. Niespodziewanie spędziła wspaniały wieczór! Kilkoma e-mailami Matthew Shapiro rozjaśnił jej myśli, aż znów poczuła się pewna siebie. A jutro wieczorem zobaczy go żywego, z krwi i kości! Z tym że jutro wieczorem... Och, jutro wieczorem powinna być w pracy!

Zdenerwowana usiadła na łożku i o mało nie przewróciła filiżanki z werbeną. To była zła strona pracy w restauracji: zajęte wieczory. Pozostało jej co prawda kilka niewykorzystanych dni urlopu, ale nie mogła prosić o wolne tak bez uprzedzenia. Procedura administracyjna była skomplikowana, a w gastronomii w grudniu wszyscy chodzą jak w kieracie.

Zamyśliła się na chwilę i zdecydowała, że nie będzie się przejmować. Poprosi koleżankę, żeby wzięła za nią zastępstwo. Skomplikowane, ale nie niemożliwe. . W żadnym wypadku nie może przegapić tej randki, jak by powiedziała jej babcia.

Uśmiechnęła się i wystukała ostatni e-mail tego wieczoru:

**Od:** Emma Lovenstein

**Do:** Matthew Shapiro

**Temat: Re:** Zaproszenie

Zgoda, Matthew, zorganizuję wszystko tak, żeby mieć jutro wolne.

Dzięki za przyjemny wieczór.

A więc do jutra!

Dobrej nocy.

**PS.**

Uwielbiam i lasagne, i arancini, i cannoli!

## Dzień drugi

### 5

## Pomiędzy nimi dwojgiem

*Nawet odgrywając siebie samego, trzeba się  
umalować*

STANISŁAW JERZY LEC

### Nazajutrz

#### Boston

12.15

Matthew zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach.

W nocy padało, ale za to teraz uliczki Beacon Hill tonęły w słońcu. Nad Louisburg Square unosił się zapach poszycia leśnego, pomarańczowe światło podkreślało jesienne barwy parku. Matthew zarzucił torbę na ramię, włożył aerodynamiczny kask, wsiadł na rower i pogwizdując, ruszył w kierunku Pinckney Street. Już od dawna nie czuł się tak lekko! Cały rok żył jakby w zaświatach, a tego ranka obudził się z jasnym umysłem. Przez trzy godziny prowadził zajęcia na uniwersytecie i nawet pożartował sobie ze studentami. Jak wspaniale było znów pracować z młodymi ludźmi w takiej atmosferze! Miał wrażenie, że uwolnił się od żelaznej pięści, która ścisnęła mu żołądek. Ulice tętniły życiem, a on, tak jak kiedyś, czuł, że jest częścią tego świata. Oszołomiony przyspieszył i zręcznie pokonał duży zakręt w kierunku Brimmer Street. Wiatr owiewał mu twarz. Na poziomie Public Garden jeszcze przyspieszył: pochyliwszy się nad kierownicą, niemal stopił się w jedno z rowerem. Przecinał powietrze, chłonąc upajające wrażenie wolności. Rozkoszował się chwilą. Wzdłuż parku jeszcze bardziej podkręcił tempo i mknął siłą rozpędu aż do chwili, kiedy musiał skrócić w prawo, żeby dostać się na Newbury Street. Pełna modnych kawiarni, galerii sztuki i butików, ta szeroka ulica była jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc w Back Bay. Przy ładnej pogodzie w porze lunchu ogródki kafejek pękały w szwach. Matthew przypiął rower przed eleganckim domem z ciemnobrązowego piaskowca. Na parterze znajdowało się Bistro 66, knajpka, w której umawiał się z April, gdy jedli razem lunch. Wypatrzył wolne miejsce na zewnątrz, dał znak kelnerowi i szybko usiadł przy stoliku. Wyciągnął z torby nowo nabyty laptop i połączył się z Wi-Fi restauracji. Wszedł na stronę Delta Airlines i kilkoma kliknięciami zarezerwował sobie lot do Nowego Jorku na godzinę siedemnastą piętnaście, co pozwoli mu wylądować na JFK o dziewiętnastej. Akurat, żeby zdążyć na kolację z Emmą. Od razu zadzwonił też do Le Numero 5. Odebrała jego przyjaciółka Connie. Bardzo dawno się nie widzieli. Connie, gdy usłyszała jego głos, nie posiadała się z radości. Miała mu do opowiedzenia mnóstwo rzeczy, ale była to godzina lunchu, w dodatku jeden z kelnerów zachorował. Przyjęła jego rezerwację i ucieszyła się na perspektywę spokojnej rozmowy jeszcze tego samego wieczoru.

- Czy to miejsce jest zajęte, młody człowieku? Matthew rozłączył się i puścił oko do April.

- Wprost przeciwnie, jest wolne, czeka na panią. April usiadła pod zawieszonym wysoko promiennikiem ciepła, który ogrzewał taras, i kiwnęła ręką na kelnera, żeby zamówić kieliszek pinot gris i paszteciki z krabami.

- A ty co zamówiłeś?

- Małą porcję sałatki Cezar i niegazowaną wodę.  
- Przeszedłeś na dietę?  
- Nie, oszczędzam się na wieczór. Idę na kolację do restauracji.  
- Poważnie? Czyżbyś zaprosił tę twoją piękną sommelierkę? Gratulacje, jestem z ciebie dumna! Kelner przyniósł im zamówione napoje. April uniosła kieliszek i stuknęli się z Matthew.  
- Co zamierzasz włożyć? - spytała zaniepokojona.  
Matthew wzruszył ramionami.  
- Nie wiem, specjalnie się nie zastanawiałem. Myślę, że zostanę w tym, co mam na sobie.  
April zmarszczyła brwi i zlustrowała go od stóp do głów.  
- W tych za szerokich obwisłych portkach? W tej starej bluzie z kapturem, w conversach, jakie noszą nastolatki, i w paramilitarnej kurtce? Chyba żartujesz! Nie mówiąc już o tym, że z tą brodą i gęstą czupryną wyglądasz jak neandertalczyk.  
- Nie przesadzaj!  
- Wcale nie przesadzam! Zastanów się chwilę. Ta młoda kobieta pracuje w renomowanej restauracji na Manhattanie. Codziennie widzi biznesmenów, ludzi świata sztuki i mody, ludzi eleganckich, wyrafinowanych, ubranych jak spod igły. Weźmie cię jeszcze za jakiegoś prostaka lub przygłupiego studenta.  
- Nie zamierzam udawać kogoś, kim nie jestem!  
April zbyła ten argument machnięciem ręki.  
- Chcę ci tylko uświadomić, że do pierwszego spotkania trzeba się przygotować. Wygląd zewnętrzny jest bardzo ważny. O wszystkim decyduje pierwsze wrażenie.  
Matthew się zirytował.  
- „Kochać kogoś za wygląd to jak kochać książkę za okładkę”\*.  
- och, daj spokój z tymi twoimi cytatami! Sam zobaczysz wieczorem..  
Matthew westchnął i twarz mu sposepniała. Skręcił sobie papierosa, ale zwalczył pokusę zapalenia go i po kilku chwilach odezwał się do April: - Dobrze, czy mogłabyś w takim razie coś mi doradzić?

## Nowy Jork

13.00

- Lovenstein, zwariowała pani?! - ryknął Peter Benedict, główny sommelier Imperatora, popychając przezroczyście drzwi piwnicy z winami. Podszedł szybkim krokiem do Emmy, która wkładała butelki do metalowej skrzynki.

- Z jakiej to okazji zdecydowała pani sama o zakupie tych win?! - krzyczał, wyciągając w jej kierunku kartkę. Emma rzuciła okiem na dokument. Był to rachunek wystawiony na kremowym firmowym papierze, z nagłówkiem strony internetowej sprzedającej wino wyjątkowych crus, za trzy butelki:

*Domaine de la Romanee Conti, 1991*

*Ermitage Cuvee Cathelin, J.L. Chave, 1991*

*GraacherHimmelreich, Auslese, Domaine J.J. Pri m, 1982*

Legendarny wspaniały burgund, wyjątkowy, doskonałej wprost jakości syrah, i wreszcie



aksamitny w smaku riesling o bogatym, harmonijnym aromacie.

Trzy grands crus, doskonałe roczniki. Trzy najlepsze wina, jakie kiedykolwiek Emma miała w ustach. Ale to wcale nie ona je zamówiła!

- Zapewniam pana, szefie, że nie mam z tym nic wspólnego.

- Proszę ze mnie nie drwić, Lovenstein! Zamówienie jest podpisane przez panią, a rachunek przeszedł przez konto Imperatora.

- To niemożliwe!

Blady ze złości Benedict ciągnął litanie pretensji:

- Właśnie rozmawiałem ze sprzedawcą, który potwierdził, że butelki zostały dostarczone do restauracji.

Proszę mi je natychmiast pokazać!

- Niech pan posłucha... To najwyraźniej jakaś pomyłka, nic poważnego. Trzeba tylko...

- Nic poważnego?! Rachunek na ponad dziesięć tysięcy dolarów?!

- To rzeczywiście duża suma, ale...

- Proszę robić, jak pani uważa, Lovenstein, ale żądam, żeby do wieczora ten rachunek zniknął z konta restauracji! - wrzasnął ponownie Benedict i wycelował w nią palec.

- Jeśli nie, to do widzenia pani! - zagroził.

Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się i opuścił podziemie.

Emma stała nieruchomo przez kilka sekund, zaszokowana tym gwałtownym atakiem.

Benedict był sommelierem starej szkoły, który uważał, że w piwnicy z winami nie ma miejsca dla kobiet. Słusznie obawiał się swojej podwładnej: Jonathan Lempereur, zanim odszedł, mianował Emmę szefową sommelierów. Powinna była zastąpić Benedicta na początku tego roku, ale udało mu się odwołać ten awans u nowej dyrekcji. Od tej chwili miał tylko jeden cel: przyłapać młodszą koleżankę na zawodowym błędzie i pozbyć się jej raz na zawsze. Emma patrzyła na rachunek, drapiąc się po głowie. To prawda, że Peter Benedict był zgorzkniały i mściwy, ale nie wydawał jej się na tyle sprytny, żeby uknuć tak skomplikowany spisek. W takim razie kto złożył zamówienie? Ta lista win nie jest przypadkowa, o wszystkich trzech mówiła ona sama tydzień wcześniej podczas spotkania z dziennikarzami z „Winę Spectator”, który przygotowywał portrety przedstawicieli młodego pokolenia sommelierów. Zaczęła sobie przypominać: spotkanie odbyło się w biurze prasowym Imperatora, a rozmowie przysłuchiwał się... Romuald Leblanc!

Zdenerwowana Emma szybkim krokiem opuściła piwnicę i pojechała windą na poziom recepcji. Bez uprzedzenia weszła do biura prasowego i zażądała rozmowy ze stażystą, który zajmował się konserwacją komputerów. Wpadła jak burza do wskazanego pokoju i zamknęła drzwi.

- Teraz sobie pogadamy, okularniku! Zaskoczony tym wtargnięciem Romuald Leblanc aż podskoczył przed ekranem komputera. Nieco otyły chłopak miał tłuste włosy obcięte jak pod garnek i bladą twarz, a na nosie wielkie kwadratowe okulary w grubych oprawkach. Ubrany był w dziurawe džinsy i nie pierwszej czystości bluzę z kapturem, spod której wystawał T-shirt z napisem „Marvel”. Na gołych stopach nosił japonki.

- Dzień dobry, panno... eee... Lovenstein - odezwał się tonem zawadiackiego Francuzika.

- Cieszę się, że mnie poznajesz. To dobry początek - rzuciła, podchodząc bliżej i patrząc na niego groźnie. Zerknęła na ekran komputera. - Czy restauracja płaci ci za to, żebyś się ślinił, oglądając gołe baby? - Eee... Nie, proszę pani, ale teraz mam przerwę.

Zażenowany Francuz skulił się na krześle. Żeby choć trochę odzyskać rezon sięgnął po

napoczęty baton czekoladowy leżący na biurku, i odgryzł kawałek.

- Przestań żreć, karaluchu jeden! - zrugła go Emma, wyciągając z kieszeni rachunek.

Pomachała mu kartką przed nosem.

- To twoja sprawka?!

Chłopak przygarbił się jeszcze bardziej i spuścił oczy. Emma nie ustępowała.

- Słyszałeś moją rozmowę z dziennikarzem, prawda? Romuald milczał. Emma podniosła głos.

- Posłuchaj, kretynie, nie mam zamiaru stracić pracy! Możesz nie odpowiadać, ale w takim razie zażadam, by dyrekcja wezwała policję i będziesz się tłumaczył w komisariacie! Chłopak zeszywniał, jakby poraził go prąd.

- Nie, bardzo panią proszę! To prawda, zaintrygowała mnie pani, gdy opowiadała o tych winach, i strasznie chciałem ich spróbować!

- Chciałeś spróbować win po trzy tysiące dolarów za butelkę, ty idioto?! Masz chyba we łbie wodę zamiast mózgu! W jaki sposób w ogóle udało ci się je zamówić?

Romuald wskazał ruchem głowy na ekran monitora.

- Nic łatwiejszego! Wasze komputery i cały system w ogóle nie są zabezpieczone! Włamanie się do księgowości zajęło mi około dwudziestu sekund. Emma poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Otworzyłeś butelki?

- Nie, są tu! - odpowiedział, wstając z krzesła. Podeszedł do metalowej szafki i wyciągnął skrzyneczkę z jasnego drewna, zawierającą trzy cenne roczniki. Chwała Bogu, westchnęła w duchu Emma, oglądając dokładnie każdą butelkę. Były nietknięte. Natychmiast zadzwoniła do dostawcy i wyjaśniła mu, że ktoś włamał się na konto klientów Imperatora. W zamian za wycofanie wystawionego rachunku zaproponowała zwrot zamówienia na własny koszt. Gdy rozmówca się zgodził, poczuła ogromną ulgę: nie straciła pracy! Przez chwilę stała nieruchomo. Zaraz jednak przypomniała sobie czekające ją wieczorne spotkanie i znów się zdenerwowała. Zęby dodać sobie otuchy, spojrzała na swoje odbicie w szybie, ale to tylko zwiększyło irytację. Wyglądała okropnie: zniszczone, matowe, dawno niepodcinane włosy... Wątpliwe, żeby spodobała się Matthew Shapiro. Westchnęła i nagle przypomniała sobie o obecności stażysty.

- Posłuchaj, muszę zameldować personalnemu, co zrobiłeś. To bardzo poważna sprawa.

- Błagam panią, niech pani mu nic nie mówi - wykrztusił chłopak i rozplakał się.

- Płacz, nie będziesz tyle siusiał! - fuknęła, niemniej wręczyła mu chustkę do nosa i cierpliwie czekała, aż przestanie jęczeć.

- Ile masz lat, Romualdzie?

- Szesnaście i pół.

- Skąd jesteś?

- Z Beaune, na południe od Dijon. To jest...

- Wiem, gdzie jest Beaune. Niektóre z najlepszych francuskich win pochodzą z twojego regionu. Od jak dawna pracujesz w Imperatorze?

- Od dwóch tygodni...

- Chłopak zdjął okulary i przetarł oczy.

- Ciekawi cię to, co robisz? Romuald pokręcił głową i wskazał na swój komputer.

- To jedyna rzecz, która mnie naprawdę interesuje.

- Komputery? Co więc robisz w tej restauracji? Romuald opowiedział Emmie, że

przyjechał tu ze swoją dziewczyną, która po maturze wybrała się do Nowego Jorku, żeby pracować jako au pair.

- I dziewczyna cię zostawiła - skwitowała Emma, domyślając się zakończenia tej historii. Zawstydzony chłopak kiwnął głową.

- Czy twoi rodzice w ogóle wiedzą, że jesteś w Stanach? - Tak, ale na razie mają ważniejsze sprawy na głowie - odparł wymijająco.

- Jak ci się w ogóle udało znaleźć zatrudnienie? Nie masz pozwolenia na pracę, jesteś niepełnoletni...

- Załatwiłem sobie wizę tymczasową, dodając sobie parę lat. „Załatwiłem sobie wizę”.

Nic dziwnego, że boi się policji i nie chce zwracać na siebie uwagi dyrektora administracyjnego.

Emma popatrzyła na chłopaka z mieszaniną fascynacji i współczucia.

- Gdzie nauczyłeś się włamywać do komputerów? Romuald wzruszył ramionami.

- To nic trudnego, kiedy człowiek trochę się na nich zna. Ponieważ Emma zaczęła się dopytywać o szczegóły, opowiedział jej kilka anegdot ze swego życia. Kiedy miał trzynaście i pół roku, spędził kilka godzin w areszcie za to, że rozprowadził w sieci pirackie tłumaczenie ostatniego tomu Harry 'ego Pottera. Później włamał się do dziennika elektronicznego swojego liceum i dla zabawy poprawił swoje oceny oraz rozesłał głupie wiadomości na adresy poczty e-mailowej rodziców. W czerwcu ubiegłego roku kilkoma kliknięciami znalazł tematy matury z nauk ścisłych, żeby dać je w prezencie swojej dziewczynie, w końcu na początku lipca włamał się na chwilę na konto prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego na Facebooku. Ten uczniowski żart nie spodobał się ochronie głowy państwa.

Władze zdołały go namierzyć. Dostał wyrok w zawieszeniu oraz zakaz zbliżania się do komputerów. Słuchając go, Emma wpadła nagle na niesamowity pomysł.

- Siadaj! - poleciała, wskazując chłopakowi krzesło przy biurku.

Posłuchał i poruszył myszką, by włączyć uśpiony komputer. Emma przysunęła sobie stółek i usiadła obok niego.

- Spójrz mi w oczy, Romualdzie! — zażądała. Zdenerwowany chłopak włożył okulary i popatrzył na Emmę, ale bardzo szybko opuścił wzrok.

- Pani jest... bardzo ładna - wymamrotał.

- Nie, wyglądam okropnie, ale ty możesz temu zaradzić - oznajmiła, wyciągając ręce w stronę klawiatury. Wystukała adres internetowy pewnego salonu fryzjerskiego. Na ekranie, na jasnym, pozbawionym wzorów tle zaczęły tańczyć błyszczące litery:

***Akahiko Imamura***

***Airstyle***

- Akahiko Imamura to Japończyk, który zrewolucjonizował świat fryzjerski - wyjaśniła.

- To jedyny liczący się fryzjer na Manhattanie, mistrz stylizacji i koloryzacji. Angelina Jolie, Annę Hathaway, Cate Blanchett... największe gwiazdy czeszą się właśnie u niego. A podczas Fashion Week wszyscy kreatorzy marzą, aby zajmował się ich modelkami na pokazach.

Podobno to prawdziwy czarodziej, a ja bez czarów nie mogę się pokazać na mojej wieczornej randce... Tyle że na wizytę w jego salonie czeka się co najmniej dwa miesiące, taka jest kolejka. Romuald od razu zrozumiał, do czego Emma zmierza. Już zaczął wystukiwać na klawiaturze odpowiednie hasła, żeby włamać się do systemu rezerwacji.

- Imamura ma trzy salony w Nowym Jorku - ciągnęła Emma, podczas gdy chłopak w

zawrotnym tempie uderzał w klawisze.

- Jeden w Soho, jeden w Midtown i jeszcze jeden w Upper East Side.

- Dziś po południu będzie w Upper East Side. - Romuald pokazał jej listę umówionych klientek. Zaintrygowana Emma przybliżyła się do ekranu.

- To jest taki sam system jak ten, którego używamy do rezerwacji stolików w Imperatorze - wyjaśnił młody Francuz.

- Czy możesz zamienić nazwiska na liście?

- No pewnie, inaczej po co bym to wszystko robił? Na którą panią umówić?

- Jeśli to możliwe, na siedemnastą.

- Bułka z masłem!

Romuald wpisał nazwisko Lovenstein w miejsce innej klientki, nie zapominając wysłać do tej ostatniej zawiadomienia o przeniesieniu wizyty na późniejszy termin. Emma nie wierzyła własnym oczom.

- Brawo, Callahan! -- Z entuzjazmem pocałowała go w policzek.

- Ty też jesteś czarodziejem!

Okrągła twarz Romualda poczerwieniała.

- To było bardzo proste! -- odparł skromnie.

- Na pierwszy rzut oka tego nie widać, ale łebski z ciebie chłopak - powiedziała Emma, otwierając drzwi, żeby wrócić do swojego biura.

- Oczywiście nikomu ani słowa, capitoi

\*

## **Boston**

### **Sklep Brooks Brothers**

**15.30**

- Wyglądasz naprawdę bardzo elegancko - stwierdziła April. - Ten klasyczny krój pasuje ci najbardziej: podkreślona linia ramion, wąski pas, ale marynarka ani nie za ciasna, ani nie za obszerna. To szykowne i ponadczasowe.

Matthew przyjrzał się swemu odbiciu w dużym lustrze, które stało w tym luksusowym sklepie. Gładko ogolony, z krótko ostrzyżonymi włosami, w idealnie skrojonej marynarce...

Był nie do poznania.

Od jak dawna nie miałem na sobie garnituru? - zastanowił się w duchu. Odpowiedź pojawiła się w jednej chwili, przykra jak odgłos trzaskających drzwi: od dnia ślubu.

- Daj mi szansę, a zmienię radykalnie swoje gusty! - rzuciła April, zapinając mu guzik marynarki.

Zmusił się do uśmiechu w podzięcie za wszystko, co dla niego robiła.

- Jeszcze tylko prosty wełniany płaszcz i jedziemy na lotnisko! - zawyrokowała, spoglądając na zegarek.

- O tej godzinie są zawsze korki, a nie możesz się spóźnić! Zapłacili, a potem wsiedli do chevroleta April, kierując się na lotnisko Logana. Matthew milczał przez całą podróż. W miarę jak mijał dzień, czuł, że jego entuzjazm maleje. Opadły go wątpliwości. Obecnie spotkanie z Emmą Lovenstein nie wydawało mu się już tak dobrym pomysłem jak poprzedniego wieczoru. Jeśli się zastanović, ta pochopna decyzja, podjęta na dodatek po spożyciu alkoholu i lekarstw, właściwie nie miała sensu. Nie znał w ogóle tej kobiety. Oboje dali się ponieść urokowi krótkiej wymiany e-maili. Spotkanie w świecie rzeczywistym mogło

się skończyć wyłącznie rozczarowaniem, i to dla obojga.

Chevrolet zjechał w kierunku parkingu dla odprowadzających. April zatrzymała się na chwilę przed wejściem do terminalu. Objęli się na pożegnanie.

- Dobrze wiem, o czym myślisz, Matt.

- April starała się dodać mu otuchy.

- Boisz się, żałujesz swojej decyzji. Błagam cię jednak, idź na to spotkanie!

Matthew kiwnął głową, zatrzasnął drzwi samochodu, wyjął z bagażnika torbę, pomachał przyjaciółce i wszedł do budynku. Szybkim krokiem przeszedł przez wielką halę prosto do stanowiska odpraw i kontroli bezpieczeństwa. Po chwili siedział w sali odlotów. Kiedy podnosił się z fotela, żeby stanąć w kolejce pasażerów wchodzących na pokład samolotu, nagle ogarnęły go zwątpienie i strach.

Oblał się zimnym potem. W głowie miał gonitwę myśli, z których jedna zaprzeczała drugiej.

Przed oczami stanęła mu twarz Kate, ale postanowił odrzucić wyrzuty sumienia, więc zamrugał, żeby obraz znikł, i wręczył stewardesie kartę pokładową.

\*

## **Sklep Bergdorf Goodman**

### **Piąta Aleja**

**16.15**

Lekko zagubiona Emma chodziła między stoiskami wielkiego nowojorskiego domu towarowego. Wszystko ją tu onieśmielało: od budynku z białego marmuru po piękne niczym modelki sprzedawczynie. W głębi duszy była przekonana, że tego typu sklep - w którym nie wypada pytać o cenę, a klienci, nawet jeśli tylko chcą coś przymierzyć, powinni być piękni, bogaci i pewni siebie - jest nie dla niej. Dziś jednak czuła się na siłach przewyciężyć onieśmielenie. Mimo że było to irracjonalne, bardzo wierzyła w sens czekającego ją spotkania. Tej nocy prawie nie spała, rankiem zaś wstała wcześniej i ponad godzinę przeglądała szafę, żeby znaleźć ubranie, które podkreśliłoby jej urodę. Przymierzyła mnóstwo zestawów, pełna wątpliwości, aż wreszcie wybrała kostium, w którym wyglądała zupełnie nieźle: ciemnobrązowy top haftowany miedzianą nitką i bardzo efektowną wysoką w talii wąską spódnicę z czarnego jedwabiu. Do kompletu potrzebowała jeszcze porządnego płaszcza, ponieważ ten, który miała, był okropny, stary i wyglądał jak szmata! Wszedłszy do sklepu, od razu spostrzegła cudo z brokatu. Dotknęła miękkiego jedwabiu przetykanego złotą i srebrną nitką.

Płaszcz był tak piękny, że nie śmiała nawet go przymierzyć. - Czym mogę pani służyć? -- spytała sprzedawczynie, widząc jej zainteresowanie.

Emma postanowiła przymierzyć płaszcz. Wyglądała świetnie, jednak kosztował dwa tysiące siedemset dolarów. Na to szaleństwo absolutnie nie mogła sobie pozwolić. Owszem, miała niezłą pensję, ale to przecież Manhattan, gdzie wszystko jest koszmarnie drogie. Przed wszystkim zaś lwią część jej wynagrodzenia pochłaniały cotygodniowe sesje psychoanalizy, niezmiernie dla niej ważne. Psychoterapeutka Margaret Wood przyszła Emmie z pomocą, gdy było bardzo źle. Nauczyła ją, jak ma się chronić, jakie wznosić tamy, żeby nie zatonać w oceanie strachu, lub - gorzej - szaleństwa. Tymczasem teraz z własnej woli narażała się na niebezpieczeństwo! Przywołała na pomoc rozsądek i wyszła z kabiny. - Dziękuję, ale nie!

Zadowolona, że nie uległa pokusie, skierowała się w stronę wyjścia. Jeszcze tylko zajrzy

do działu z butami. Aż jęknęła z zachwytu na widok pantofelków Briana Atwooda z różowej skóry. Wystawiona para miała jej rozmiar. Wsunęła stopę do buta i nagle poczuła się jak Kopciuszek. Pantofle były wykonane z postarzonej wężowej skóry, mieniły się na liliowo i miały niebotycznie wysokie obcasy. Dzięki takim szpilkom każdy strój stawał się najelegantszy na świecie. Zapominając o swoim postanowieniu niekupowania niczego, Emma wyjęła kartę kredytową, żeby zapłacić za to senne marzenie, które kosztowało tysiąc pięćset dolarów. Idąc do kasy, wróciła jeszcze do stoiska z odzieżą i kupiła brokatowy płaszcz. Bilans tego wypadu na zakupy wyglądał tak, że półtoramiesięczna pensja ulotniła się z jej konta w kilka minut. Gdy Emma wyszła ze sklepu, zaskoczył ją chłód panujący na dworze. Zadrzała, otuliła się szalem i pochyliła głowę, żeby osłonić się przed wiatrem, ale uderzenie zimna było zbyt gwałtowne. Lodowaty powiew paraliżował ją, prawie nie czuła skóry twarzy, zdrętwiały jej ręce i nogi. Z oczu pociekły łzy, policzki zaczęły piec. Nie miała siły iść dalej, więc złapała taksówkę. Podała kierowcy adres salonu fryzjerskiego, prosząc go, by po drodze zatrzymał się przy Rockefeller Center, gdzie zostawiła portierowi w Imperatorze torbę ze starym płaszczem i butami. Salon Akahiko Imamury zajmował wielką świetlistą przestrzeń w samym sercu Upper East Side: ściany salonu były pomalowane na beżowo, półki wykonano z jasnego drewna, dekoracji dopełniały wielkie skórzane kanapy i przezroczyście konsole, na których stały wazony ze storczykami. Emma podała swoje nazwisko w recepcji, a hostessa sprawdziła listę klientek na iPadzie. Najwyraźniej akcja Romualda się powiodła, bo wszystko było w porządku. Gdy Emma czekała na „mistrza”, jego asystent umył jej włosy, masując przez dłuższą chwilę skórę głowy. Dzięki dotykowi jego zręcznych palców Emma zupełnie się rozluźniła. Zapomniała na chwilę o nadmiernych wydatkach, o rozgorączkowaniu i o kłopotach. Poddała się całkowicie zmysłowemu komfortowi tego luksusowego miejsca. Po chwili do pomieszczenia wszedł sam Imamura i wbijając spojrzenie w podłogę, uklonił się jej. Emma wyjęła z torebki zdjęcie Kate Beckinsale wycięte z jakiegoś pisma.

- Czy może pan uczesać mnie w tym stylu? - spytała. Imamura nawet nie spojrzał na zdjęcie. Zamiast tego długo wpatrywał się w twarz klientki, po czym wymamrotał coś po japońsku do swego asystenta, specjalisty od koloru. Następnie chwycił nożyczki i zaczął ciąć. Po zakończeniu operacji, która trwała około dwudziestu minut, do Emmy podszedł kolorysta, odważnie aplikując jej kasztanową farbę na całej długości włosów. Gdy minął odpowiedni czas, Imamura osobiście spłukał Emmie włosy i powrócił do obcinania. Następnie pasmo po paśmie nawinał włosy na grube wałki, wysuszył, zdjął wałki i palcami zaczął modelować fryzurę. Rezultat okazał się zdumiewający. Włosy Emmy zostały upięte w elegancki kok.

Wyrafinowane cięcie i uczesanie uwydatniły delikatne rysy jej twarzy. Nareszcie było widać jasne oczy, całość emanowała kobiecością. Emma przysunęła się bliżej do lustra, zafascynowana swoim nowym wyglądem. Kilka nieposłusznych pasemek wysunęło się z koczka, dzięki czemu fryzura sprawiała wrażenie bardzo naturalnej. Kolor zaś był po prostu doskonały! Wyglądała lepiej od Kate Beckinsale! Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie! Uszczęśliwiona wyszła z salonu i złapała taksówkę, żeby udać się do East Village. W samochodzie wyciągnęła z torby kosmetyczkę i podkreśliła różem kości policzkowe, powieki musnęła złotym cieniem, a na wargi nałożyła koralową szminkę. Gdy pchnęła drzwi restauracji Le Numero 5, tego małego włoskiego bistro na południe od Tompkins Square, była minuta po dwudziestej.

\*

Samolot linii Delta lot numer 1816 wylądował na Lotnisku Kennedy'ego z kilkuminutowym

opóźnieniem. Matthew siedzący blisko ogona nerwowo popatrzył na zegarek. Była dziewiętnasta osiemnaście. Gdy tylko wysiadł, rzucił się w kierunku taksówek.

Czekał około dziesięciu minut. Podał kierowcy adres restauracji i tak jak na filmach, obiecał mu godziwy napiwek za dowiezienie go na czas. W Nowym Jorku również było wyjątkowo ciepło jak na grudzień. Wieczorem nadal tętnił ruch uliczny, choć nie aż tak wielki, jak Matthew to sobie wyobrażał. Dość szybko opuścili Queens i przez Williamsburg Bridge wjechali w uliczki East Village. Trzy minuty po dwudziestej samochód zatrzymał się przed Le Numero 5.

Matthew wziął głęboki oddech. Był punktualnie. Może nawet będzie pierwszy! Zapłacił za kurs i wysiadł. Czuł zdenerwowanie, ale jednocześnie przyjemną ekscytację. Znów głęboko odetchnął, żeby się trochę uspokoić, i pchnął drzwi włoskiej restauracji. Musiał wyjść.

\* Cytat przypisywany Laurze Conan (1845—1924) kanadyjskiej pisarce tworzącej w języku francuskim.

## Przypadkowe spotkania

*Czas jest absolutnym władcą człowieka, jego stwórcą i zabójcą; daje mu to, co sam chce, a nie to, o co człowiek prosi.*

**WILLIAM SZEKSPIR**

### Restauracja Le Numero 5

Nowy Jork

20.01

Emma z bijącym sercem weszła do restauracji i zbliżyła się do kontuaru, za którym stała ładna młoda kobieta o zachęcającym uśmiechu.

- Dobry wieczór pani, jestem tu umówiona z Matthew Shapiro, miał zarezerwować stolik na dwie osoby.

- Naprawdę? Matthew jest w Nowym Jorku?! To wspaniale! - wykrzyknęła młoda kobieta i spojrzała na listę rezerwacji. Nazwiska Matthew na niej nie było.

- Pewnie zadzwonił na komórkę mojego męża, Vittoria. Ten ma zawsze głowę w chmurach... Zapomniał mnie zawiadomić. Ale to nie szkodzi. Zaraz znajdę dla was doskonałe miejsce na półpiętrze! - oznajmiła, odchodząc od kasy. Emma zauważyła, że kobieta jest w ciąży, nawet dość zaawansowanej. - Czy zabrać pani płaszcz? - Dziękuję, nie.

- Jest wspaniały! - Biorąc pod uwagę, ile kosztował, jestem zadowolona, że przynajmniej zwraca uwagę! Wymieniły porozumiewawcze uśmiechy.

- Nazywam się Connie! - przedstawiła się właścicielka restauracji.

- A ja Emma, bardzo mi miło! - Proszę pójść za mną. Ruszyła w stronę drewnianych schodów prowadzących na półpiętro do niedużej salki ze sklepionym sufitem. Connie wskazała Emmie stolik przy balustradzie, z widokiem na główną salę.

- Ma pani ochotę na aperitif? Zapraszam panią! Jest tak zimno, może kieliszek grzanego wina?

- Dziękuję, raczej zaczekam na Matthew.

- Doskonale! - Connie wręczyła Emmie kartę i odeszła.

Emma rozejrzała się dokoła. W lokalu panowała przytulna, kameralna atmosfera, czuło się tu pozytywne vibracje. Na karcie małym drukiem wyjaśniono, że nazwa Le Numero 5 została wybrana na cześć Joego DiMaggio, legendarnego baseballisty grającego z tym właśnie numerem dla Yankees. Na ścianie z czerwonej cegły wisiało jego zdjęcie z Marilyn Monroe, jakby zrobiono je z okazji ich wizyty w restauracji. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale od strony promocyjnej pomysł był doskonały.

Emma spojrzała na zegarek: cztery minuty po dwudziestej.

\*

### Restauracja Le Numero 5

Nowy Jork

20.04



- Matthew! To dopiero niespodzianka! - wykrzyknął Vittorio na widok przyjaciela stojącego w drzwiach restauracji.

- Vittorio! Jakże się cieszę! Mężczyźni objęli się i uścisnęli. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz do Nowego Jorku?

- Dzwoniłem dziś rano do Connie. Nie ma jej?

- Nie, została w domu. Paul ostatnio wciąż choruje na zapalenie ucha!

- Ile on już ma? Rok?

- Skończy w przyszłym miesiącu.

- Masz jego zdjęcie?

- Jasne, spójrz, jaki jest duży!

Vittorio wyjął z kieszeni portfel, a z portfela wyciągnął zdjęcie pyzatego bobasa.

- No, kawał chłopaka! - Matthew się uśmiechnął.

- Tak, to dzięki okruchom pizzy, których mu dosypuję do butelki z mlekiem! - zażartował Vittorio, spoglądając na listę rezerwacji.

- Ach, widzę, że poprosiłeś Connie o nasz słynny stół dla zakochanych! To dopiero! Mam nadzieję, że twój gość to jakaś piękna kobieta!

- Daj spokój, Vittorio... - mruknął Matthew zażenowany. - Jeszcze jej nie ma?

- Nie, stół jest pusty. Chodź, zaprowadzę cię. Masz ochotę na aperitif?

- Nie, dzięki, zaczekam na Emmę.

## **Restauracja Le Numero 5**

**Nowy Jork**

**20.16**

Matthew Shapiro, najwyraźniej rodzice nie nauczyli pana, że punktualność jest cnotą królów, pomyślała Emma, spoglądając na zegarek.

Z półpiętra miała doskonały widok na drzwi wejściowe. Za każdym razem, gdy się otwierały, spodziewała się ujrzeć w nich Matthew i za każdym razem spotykał ją zawód.

Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Znow zaczął prószyć śnieg. Puszyste płatki wirowały w powietrzu, srebrząc się w świetle latarni ulicznych. Emma westchnęła i wyciągnęła z torby smartfon, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś wiadomości. Ekran był ciemny. Po chwili wahania postanowiła wysłać e-mail. Kilka krótkich zdań, tak by nie było widać, że się niecierpliwi.

*Drogi Matthew,*

*dotarłam do Numero 5. Czekam przy stoliku.*

*Pizza z karczochami, parmezanem i rukolą pachnie bosko!*

*Niech się Pan pośpieszy. Umieram z głodu!*

*Emma*

\*

## **Restauracja Le Numero 5**

**Nowy Jork**

**20.29**

- Twoja wybranka daje na siebie czekać! - rzucił Vittorio, podchodząc do stolika na

półpiętrze.

- Na to wygląda... - zgodził się Matthew.

- Nie chcesz do niej zadzwonić?

- Nie znam jej numeru telefonu.

- Nie martw się. To Manhattan. Wiesz, że my, nowojorczy, mamy elastyczne poczucie punktualności...

Matthew zaśmiał się nerwowo. Ponieważ nie mógł zadzwonić, wysłał do Emmy wiadomość, że jest już w restauracji.

*Droga Emmo,*

*mój przyjaciel Vittorio pragnie poczęstować*

*Panią toskańskim winem.*

*To sangiovese produkowane przez niewielką winnicę*

*niedaleko Sieny. Vittorio może bez kooca rozprawiać o*

*włoskich winach, uważa je za najlepsze na świecie.*

*Proszę przyjść jak najszybciej i utrzyć mu nosa!*

*Matt*

## **Restauracja Le Numero 5**

**Nowy Jork**

**20.46**

Emma czuła się upokorzona. Co za drań z tego faceta! Trzy kwadransy spóźnienia i ani słowa usprawiedliwienia! Mógł przecież wysłać jej e-mail albo zadzwonić do restauracji i przeprosić!

- Czy chce pani, żebym zatelefonowała do niego na komórkę? - zaproponowała Connie, widząc jej zmieszanie.

- Tak... Proszę zadzwonić...

- wymamrotała Emma. Connie wystukała numer Matthew, ale odpowiedziała jej poczta głosowa.

- Niech się pani nie martwi, na pewno przyjdzie! To chyba przez ten śnieg...

Ciche „bip” zasygnalizowało nadejście e-maila. Emma spojrzała na ekran telefonu. Było to zawiadomienie o niedostarczeniu poczty z powodu nieistnienia użytkownika o takim adresie.

Dziwne... - pomyślała Emma.

Sprawdziła adres i wysłała wiadomość ponownie.

Ta również nie doszła.

\*

## **Restauracja Le Numero 5**

**Nowy Jork**

**21.13**

- Myślę, że ona już nie przyjdzie! - rzucił Matthew, biorąc z ręki Vittoria butelkę z piwem.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć... - Jego przyjaciel westchnął.

- La donna e mobile, ąalpiuma al vento\*...

- Tak to można określić... - Matthew również westchnął. Wysłał dwa nowe e-maile do

Emmy, ale w dalszym ciągu nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Popatrzył na zegarek i wstał.

- Możesz mi zamówić taksówkę na lotnisko? - poprosił.

- Jesteś pewien, że nie chcesz przespać się u nas?

- Nie, dzięki! Tak mi przykro, że zająłem ci najlepszy stolik. Ucałuj ode mnie Connie.

Było wpół do dziesiątej, gdy Matthew wyszedł z restauracji. Jazda na lotnisko zajęła mu czterdzieści minut. W taksówce potwierdził rezerwację biletu w internecie, wybierając przedostatni lot tego dnia. Samolot wystartował punktualnie i wylądował w Bostonie dwadzieścia trzy minuty po północy. O tej godzinie na lotnisku nie było żadnego ruchu. Matthew od razu złapał taksówkę i był w domu przed pierwszą. Kiedy otwierał drzwi, April już spała. Zajrzał do sypialni córki, żeby upewnić się, że dziewczynka mocno śpi, i poszedł do kuchni. Nalał sobie szklankę wody i machinalnie włączył laptop, który został na blacie w kuchni. Sprawdzając e-maile, spostrzegł nową wiadomość od Emmy Lovenstein. Wiadomość, której nie było w telefonie.

## **Restauracja Le Numero 5**

**Nowy Jork**

**21.29**

Emma zamknęła za sobą drzwi restauracji i wsiadła do taksówki zamówionej przez Connie. Wiatr ucichł, ale za to zaczął porządnie sypać śnieg. Chodnik i jezdnia pokrywały się białą nietopniejącą warstwą. Emma starała się odsunąć negatywne myśli, lecz gniew ją obezwładnił. Czuła się upokorzona, zdradzona. Miała do siebie pretensję, że znów dała się nabrać mężczyźnie, że uwierzyła w jego słodkie słówka, że kolejny raz okazała naiwność dziecka. Gdy taksówka dotarła pod adres 50 North Plaža, Emma zesłała do podziemnej kondygnacji budynku. Znajdowała się tu wspólna pralnia, która teraz wyglądała pusto, smutno i przerażająco. Emma sunęła szarymi korytarzami o wyblakłych ścianach w kierunku pomieszczenia, w którym stały kubły na śmieci - najciemniejszego i najbardziej obscurnego w całym domu. Była tak wściekła, że wyłamała obcasy w obu pantoflach i wrzuciła je do metalowego kubła. Śliczny płaszcz podarła gołymi rękami i również cisnęła do śmieci. Zapłakana wsiadła do windy i pojechała do mieszkania. Otworzyła drzwi, nie zwracając uwagi na powitalne szczeknięcia psa, szybko zrzuciła z siebie ubranie i weszła pod lodowaty prysznic. Znów czuła nieodpartą chęć zadania sobie bólu, zwrócenia przeciw sobie całej tej złości, która ją ogarnęła. Tak bardzo cierpiała, że przestała panować nad emocjami. To było straszne i wyczerpujące. Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie potrafiła najpierw odczuć ogromną radość, a potem wpaść w tak głęboki smutek? Szczękając zębami, wyszła z oszklonej kabiny, otuliła się szlafrokiem, wyjęła z apteczki fiolkę z proszkami nasennymi, połknęła jeden i poszła się położyć. Mimo to wcale nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji, aż w końcu zrezygnowana zaczęła desperacko wpatrywać się w sufit. Było jasne, że jest zbyt zdenerwowana, by pograżyć się we śnie. Około pierwszej w nocy dała za wygraną. Włączyła laptop, żeby wysłać ostatni list do mężczyzny, który tak zepsuł jej wieczór. Wściekła podniosła czarną klapę ozdobioną naklejką przedstawiającą ładną stylizowaną Ewę.

\*

Matthew, bardzo przygnębiony, przeczytał wiadomość od Emmy.

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

**Temat:** *Sukinsyn*

*Choć udawał Pan, że jest inaczej, nie ma Pan w*

*sobie żadnej kurtuazji ani nie grzeszy dobrym wychowaniem.*

*Proszę do mnie więcej nie pisać i nie wysyłać mi żadnych wiadomości.*

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat: Re:** *Sukinsyn*

*Ależ o czym Pani mówi, Emmo?!*

*Czekałem na Panią w tej restauracji cały wieczór! I wysłałem*

*do Pani dwa e-maile, na które nie raczyła Pani odpowiedzieć.*

*Tak, niech się Pan ze mnie naigrawa do woli! Spodziewałam się, że zada Pan sobie nieco*  
*trudu i wymyśli jakieś fałszywe usprawiedliwienie:*

*zimno, śnieg..,*

*Wybór zostawiam Panu.*

*Jaki śnieg? Nie rozumiem, o co Pani chodzi, Emmo?*

*To przecież Pani wystawiła mnie do wiatru!*

*Byłam w tej restauracji, Matthew! Czekałam na*

*Pana cały wieczór!*

*I nie dostałam od Pana żadnego e-maila!*

*To znaczy, że pomyliła Pani restauracje!*

*Niemożliwe! W East Vil age jest tylko jedna restauracja, która nazywa się Le Numero 5.*  
*Rozmawiałam nawet z Pana przyjaciółką Connie, żoną Vittoria.*

*Nieprawda! Connie nie było dziś w restauracji!*

*Ależ oczywiście, że była! To ładna brunetka z krótkimi*

*włosami, w ciąży, co najmniej ósmy miesiąc!*

*Głupstwa Pani mówi! Minął już prawie rok,*

*odkąd Connie urodziła dziecko!*

Matthew zawahał się przez moment, zanim kliknął, żeby wysłać odpowiedź.

Ich wymiana e-maili zaczynała przypominać rozmowę głuchych. Emma wydawała się pewna swoich racji, lecz przecież to, co pisała, nie miało żadnego sensu. Plotła głupstwa.

Matthew przetaił oczy. Ten śnieg, a potem ciąża Connie... - pomyślał i zmarszczył brwi.

Zaczął przeglądać jeden po drugim wszystkie listy od Emmy. Nagle spostrzegł coś, co go zaskoczyło. Przez głowę przebiegła mu szalona myśl.

*Jaki mamy dziś dzieło, Emmo?*

*Dobrze Pan wie: dwudziesty grudnia!*

*Którego roku?*

*Doskonale, niech Pan się dalej naigrawa...*

*Proszę mi odpowiedzieć, który mamy rok?*

To wariat, pomyślała Emma, a jej palce, ułożone na klawiaturze, zadrżały. Dla spokoju sumienia przejrzała jednak e-maile od Matthew. Wszystkie były z grudnia, ale 2011 roku! Napisał je dokładnie tego samego dnia, lecz rok później!

\*

Przerażona, wyłączyła komputer.

Musiało minąć kilka dobrych minut, zanim uświadomiła sobie ten niesamowity fakt.

Żyła w roku 2010.

Matthew - w 2011!

I z jakiegoś powodu, który trudno było wyjaśnić, mogli się porozumiewać za pośrednictwem laptopa.

## CZEŚĆ DRUGA

### Paralele

#### Dzień trzeci

7

### Paralele

*Lek nie może się obyć bez nadziei,  
a nadzieja - bez leku.*

**BARUCH SPINOZA**

**Nazajutrz  
21 grudnia**

Wstając z łóżka następnego ranka, i Emma, i Matthew nerwowo rzucili się do komputera, żeby sprawdzić pocztę, i oboje odczuli ulgę, nie znajdując żadnej nowej wiadomości.

- Tato, czy pójdziemy dziś rano wybrać prezenty pod choinkę? - spytała Emily, wbiegając pędem do kuchni i rzucając mu się na szyję.

Matthew posadził ją na stołku obok siebie.

- Najpierw mówi się: „Dzień dobry” - zwrócił jej uwagę.

- Dzień dobry, tatusiu! - wymamrotała, przecierając oczy. Matthew schylił się, żeby ją pocałować, ale nie ustępowała.

- Pójdziemy obejrzyć prezenty, tato? Obiecałeś...

- Dobrze, kochanie. Pójdziemy do sklepów, żebyś mogła wszystko obejrzyć i napisać do Świętego Mikołaja.

Ach, ta tradycja ze Świętym Mikołajem, pomyślał. Czy należało w ogóle podtrzymywać w Emily tę wiarę? Nie wiedział, co ma w tym względzie postanowić. Nie lubił okłamywać córki, a z tego punktu widzenia porzucenie wiary w Świętego Mikołaja stanowiło krok naprzód w kierunku dorosłego życia i racjonalnego myślenia. Z drugiej jednak strony może jeszcze na to za wcześnie. Po śmierci Kate Emily przeżyła ciężki rok. Niewykluczone, że wiara w coś cudownego będzie miała zbawienny wpływ na jej psychikę. Postanowił więc nie rozwiewać jej złudzeń i odkryć przed nią ten wielki sekret za rok.

- Kto chce jogurt z płatkami zbożowymi? - rozległ się wesoły głos schodzącej po schodach April.

- Ja, ja! - wykrzyknęła Emily, zeskakując z taboretu i biegnąc ucałować April.

Dziewczyna złapała ją w biegu i przytuliła. - Idziesz z nami do sklepu z zabawkami? - spytała Emily.

- April dzisiaj pracuje - rzucił Matthew. - Przecież dziś niedziela - zauważyła dziewczynka.

- To ostatni weekend przed świętami - wyjaśniła April.

- Galeria jest ostatnio otwarta codziennie, żeby dorośli też mogli sobie znaleźć prezenty, ale zaczynam dopiero w południe, więc teraz mogę z wami pójść.

- Fantastycznie! A możesz mi zrobić kakao z piankami cukrowymi?

- Jeśli tylko tata nie ma nic przeciwko temu... Matthew się nie sprzeciwił. April puściła do niego oko i włączyła radio, przygotowując śniadanie.

- No i jak wypadł twój wieczór? - spytała.

- Kompletne fiasko! - wymamrotał, wsuwając do ekspresu kapsułkę z kawą.

Popatrzył na Emily. Bawiła się iPadem, eliminując kolejne zielone świnki w grze Angry Birds. Matthew ściszył głos i opowiedział April swoją nieprawdopodobną przygodę.

- Dziwna sprawa - zgodziła się April.

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Nic. Zapomnieć o wszystkim, mając nadzieję, że ta kobieta nigdy już do mnie nie napisze.

- Uprzedzałam cię, że flirtowanie w internecie może być niebezpieczne!

- No wiesz? Jesteś bezczelna! Przecież ta wyprawa do restauracji w Nowym Jorku to był twój pomysł!

- Podsunęłam ci go specjalnie, żebyś nie żył złudzeniami...

Przyznaj zresztą, że to było zbyt piękne, by mogło okazać się prawdziwe: kobieta, która ma takie samo poczucie humoru jak ty, której podobają się dokładnie te same rzeczy co tobie i która tak szybko zdobyła twoje zaufanie...

- Tak, powinienem być ostrożniejszy - stwierdził Matthew.

April, jakby chciała jeszcze bardziej rozdrapać rany i podsycić jego niepokój, opowiedziała mu o przestępstwach w internecie. Były to straszne historie łatwowiernych osób, które sądziły, że spotkały idealnego partnera, po czym okazywało się, że padły ofiarą oszustwa, mającego na celu oskubanie ich z pieniędzy. - Albo ta dziewczyna to prawdziwa wariatka, albo kłamczucha, a w obydwu przypadkach jest pewne, że zanim się z tobą skontaktowała, zebrała o tobie informacje, inaczej nie wciągnęłaby cię w pułapkę tak łatwo! Albo jest to ktoś, kto cię bardzo dobrze zna i działa pod pseudonimem.

Może któraś z moich studentek? - pomyślał Matthew. Nagle przypomniał sobie dramatyczne wydarzenie, które miało miejsce rok wcześniej w Emmanuel College, na katolickim uniwersytecie w Bostonie. Jedna ze studentek, myśląc, że rozmawia przez Skype'a ze swoim chłopakiem, zgodziła się rozebrać i pieścić swoje ciało przed kamerą. Tymczasem z drugiej strony siedział ktoś zupełnie inny, kto włamał się na jego profil. Drań nagrał całą scenę i zaczął szantażować dziewczynę. Zażądał dużej sumy pieniędzy, grożąc, że udostępni wideo w sieci. Chcąc pokazać, że nie żartuje, wysłał w nocy fragmenty filmu do niektórych jej znajomych z listy kontaktów. Poniżona i zdruzgotana konsekwencjami swojego zachowania dziewczyna powiesiła się we własnym pokoju. Znalaziono ją dopiero rano. Na samo wspomnienie tej tragedii Matthew przeszedł dreszcz, wzdłuż kręgosłupa popłynęła mu strużka zimnego potu. Jak mogłem być tak nieostrożny! - jęknął w duchu. Właściwie wolałby, żeby jego interlokutorka okazała się tylko oszustką, ale niestety, sprawiała wrażenie chorej psychicznie. Ktoś, kto wierzy, że żyje w roku 2010, podczas gdy jest 2011, z pewnością musi być bardzo chory, a więc potencjalnie niebezpieczny! Matthew próbował sobie przypomnieć, jakie tematy poruszali w listach. Podał jej swoje nazwisko i adres, powiedział również, że pracuje na uniwersytecie. Wiedziała, że ma czteroipółletnie dziecko, że we wtorki i czwartki rano biega w pobliskim parku, że jego córka chodzi do szkoły Montessori, że stracił żonę i w jakich okolicznościach... Ona wie wszystko, zdenerwował się. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby mu zaszkodzić albo zjawić się na progu i wszcząć awanturę. Albo żeby wyrządzić krzywdę Emily... Tyle o sobie opowiedział, teraz miał wrażenie, iż naraził się na ogromne niebezpieczeństwo. Nie, to paranoja! - zaczął sobie perswadować. Z pewnością już nigdy więcej nie usłyszy o Emmie, a ta nieprzyjemna przyгода niech będzie dla niego nauką na przyszłość. Odstawił na tacę filiżankę, którą podała mu April, i postanowił zapomnieć raz na

zawsze o całej historii.

- Chodź, kochanie, siadaj, twoje kakao jest gotowe! - zawołał córkę.

\*

- Uśmiechnijcie się!

Godzinę później April robiła zdjęcie Emily i Matthew przed wejściem do Toys Bazaar, jednego z najbardziej znanych sklepów z zabawkami.

Toys Bazaar, mieszczący się na rogu Copley Square i Clarendon Street, był bostońską świątynią zabawek. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem panowała tu świąteczna atmosfera, organizowano przedstawienia, grała muzyka, rozdawano cukierki... Emily podała jedną rączkę tacie, drugą April. Po obu stronach wahadłowych drzwi stali portierzy przebrani za bohaterów filmu Gdzie mieszkają dzikie stwory i częstowali wchodzących lizakami. Już pierwsze stoiska wzbudziły zachwyt całej trójki. Na piętrach wystawiano sprzęt high-tech (były tam konsole, zabawki reagujące na głos, gry elektroniczne), ale parter przejęły w posiadanie zabawki tradycyjne: pluszaki, klocki drewniane i lego, lalki...

Emily otwierała szeroko oczy na widok pluszowych zwierząt naturalnej wielkości.

- Ale to mięciutki! - wykrzykiwała oczarowana, głaszcząc sześciometrową żyrafę.

Niezaprzeczalnie było to miejsce magiczne. Wszyscy odwiedzający przynosili się z powrotem w czasy słodkiego dzieciństwa. April wpadła w zachwyt na widok imponującej kolekcji lalek Barbie, a Matthew nie mógł oderwać wzroku od ogromnej kolejki elektrycznej z kilkudziesięcioma metrami torów wijących się w górę i w dół. Pozwolił Emily biegać między stoiskami jeszcze przez kilka minut, a potem przykucnął przy niej, żeby ich twarze znalazły się na tym samym poziomie.

- No, dobrze, znasz reguły: możesz wybrać dwa prezenty, ale takie, żeby zmieściły się w twoim pokoju.

- Więc żyrafa odpada... - Emily zagryzła wargi.

- Widzę, że się rozumiemy, kochanie.

Dziewczynka podeszła do April i przez dłuższy czas wybierały pluszowego misia spośród setek misiów zalegających na półkach. Matthew, z roztargnionym wyrazem twarzy, wkroczył na salę, gdzie wystawiono metalowe modele zestawów konstrukcyjnych Meccano, a potem zamienił kilka słów z magikiem, który robił sztuczki przed schodami. Nawet odszedłszy nieco dalej, nie spuszczał oczu z córeczki, szczęśliwy, że dziewczynka ma tyle radości. Jednak te chwile szczęścia budziły w nim ból i tęsknotę za Kate. To niesprawiedliwe, że nie mogą być tu razem.

Wracał właśnie do córki i April, kiedy zadzwonił telefon. Na ekranie pojawił się numer Vittoria Bartolettiego. Matthew odebrał, próbując przekrzyczeć panujący w sklepie harmider.

- Cześć, Vittorio!

- Dzień dobry, Matt! Gdzie ty w ogóle jesteś, w przedszkolu?

- Zakupy świąteczne, stary!

- Może wolisz oddzwonić?

- Daj mi dwie minuty!

Pomachał do April i pokazał jej na migi, że idzie na papierosa, a potem udał się na pobliski Copley Square. Plac ten, obrośnięty drzewami i z fontanną pośrodku, znany był z pełnej kontrastów zabudowy. Wszyscy turyści fotografowali ten sam widok: łuki, portyki i witraże kościoła Trójcy Świętej, odbijające się w lustrzanych szybach Hancock Tower, najwyższego drapacza chmur w całym mieście. W tę słoneczną niedzielę przyszło tu mnóstwo



ludzi, ale mimo to było spokojniej niż w sklepie. Matthew usiadł na ławce i zadzwonił do przyjaciela.

- Cześć, Vittorio, jak tam Paul i jego zapalenie ucha?

- Lepiej, dzięki! A ty jak się czujesz po tym dziwnym wieczorze?

- Już o nim zapomniałem.

- W takim razie muszę ci przypomnieć, bo właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Dziś rano opowiedziałem wszystko Connie i była bardzo zakłopotana.

- Naprawdę?

- Otóż nagle coś sobie przypomiała. Mniej więcej rok temu, któregoś wieczoru, gdy nie było mnie w restauracji, przysłała młoda dziewczyna, która utrzymywała, że jest z tobą umówiona. Czekala na ciebie przeszło godzinę, ale ty się nie zjawiłeś.

Matthew poczuł, jak robi mu się gorąco.

- Dlaczego Connie nic mi nie powiedziała?

- To było zaledwie kilka dni przed wypadkiem. Connie zamierzała ci powiedzieć, ale wobec śmierci twojej żony to stało się nieważne. Szczerze mówiąc, nawet zapomniała, dopiero dziś rano, kiedy relacjonowałem jej wczorajsze wydarzenia...

- Wiesz, jak wyglądała ta kobieta?

- Według Connie była z Nowego Jorku, około trzydziestki, ładna, elegancka... Connie z małym są u jej matki, ale poprosiłem, żeby zadzwoniła do ciebie dziś po południu. Sama więcej ci o tym opowie.

- Czy możesz sprawdzić dokładną datę tej wizyty?

- Jestem w samochodzie, jadę do restauracji. Spróbuję odnaleźć tę rezerwację. Connie pamięta, że tego samego wieczoru wpadł do nas na kolację jej kuzyn z Hawajów.

- Dzięki, Vittorio! Czekam na twój telefon. To naprawdę ważne.

\*

## **Nowy Jork**

### **Restauracja Imperator**

#### **Lunch**

Dłoń Emmy lekko drgnęła, gdy nalewała białe wino do kryształowych kieliszków.

- Proszę państwa, karmelizowane żabie udka, do których podajemy bób podsmażany z czosnkiem i okruchami piernika, doskonale komponują się z winem z doliny Rodanu: Condrieu, rocznik dwa tysiące ósmy, szczep viognier. - Emma odchrząknęła. Nie tylko dłonie jej drżały. Właściwie ledwo trzymała się na nogach. Wczorajszy wieczór zupełnie wytrącił ją z równowagi. W nocy prawie nie spała i cały czas bolał ją brzuch. - Szybko wyczują państwo orzeźwiający smak condrieu, zrównoważony, ale ostry. To wino aromatyczne, żywiołowe, o silnym zapachu kwiatów.

Emma zakończyła obsługiwanie gości i dała znak swojemu asystentowi, że potrzebuje przerwy. Zakręciło jej się w głowie, szybko więc wyszła z sali i zamknęła się w toalecie.

Czuła się tak, jakby miała gorączkę, była złana potem, w uszach słyszała ciągłe brzęczenie, które wwiercało jej się w czaszkę. Paliła ją zgaga. Dlaczego czuła się tak źle? Dlaczego konała ze zmęczenia? Potrzebowała snu. Kiedy była znużona, dopadała ją gonitwa myśli. Złe wspomnienia nie dawały spokoju, zaczynała żyć w świecie dziwnych i przerażających wyobrażeń. Poczwała gwałtowny skurcz żołądka. Nachyliła się nad muszlą klozetową i

zwróciła śniadanie. Ponad minutę stała pochyłona, starając się odzyskać oddech. Cała ta historia e-maili z przyszłości przyprawiała ją o dreszcze. Teraz jest przecież grudzień dwa tysiące dziesiątego roku! Nie mogła korespondować z facetem, który żyje rok później! Albo Matthew Shapiro jest chory umysłowo, albo żywi wobec niej wrogie zamiary. W obydwu przypadkach czuła się zagrożona, ona i jej zdrowie psychiczne. Miała dość ciągłego wiązania się z wariatami! Tym razem miarka się przebrała! W ostatnich miesiącach jej stan się ustabilizował, lecz teraz znów ogarniała ją panika. Powinna zażyć coś na uspokojenie albo porozmawiać ze swoją terapeutką, ale nawet Margaret Wood w tym momencie zawiodła, ponieważ wyjechała na święta do Aspen.

Cholera! - zaklęła Emma w myśli.

Wyprostowała się i przejrzała w lustrze, oparta obiema dłońmi o brzeg umywalki. Strużka śliny uczepiła się jej warg. Emma wytarła ją papierowym ręcznikiem i przemyła twarz chłodną wodą. Powinna się uspokoić. Ten człowiek nie może jej nic zrobić! Jeśli ponownie spróbuje się z nią skontaktować, wystarczy, że zignoruje jego e-maile. A jeżeli będzie naciskał, zgłosi to policji. Gdyby natomiast chciał się zbliżyć do niej fizycznie, już ona dobrze wie, jak się bronić. Zawsze nosi w torebce paralizator. Różowy niczym cukierek, wyglądał bardziej na gadżet erotyczny niż na broń, ale był diabelnie skuteczny.

Uspokojona Emma odetchnęła głęboko, poprawiła włosy i wróciła do pracy.

\*

## **Boston**

- Czy mogę dostać bułkę z homarem i frytki? - poprosiła Emily.
- A co byś powiedziała na sałatkę zamiast frytek? - zasugerował córce Matthew.
- Dlaczego? Frytki są smaczniejsze!
- Okay - ustąpił. - Ale w takim razie rezygnujesz z deseru. Zgoda?
- Zgoda - przytaknęła dziewczynka, nieudolnie starając się puścić do ojca oko.

Matthew zamówił dania i zwrócił kelnerowi menu. Siedzieli na tarasie Bistro 66 przy Newbury Street. Po wizycie w sklepie z zabawkami April zostawiła ich i poszła do swojej galerii. Matthew był szczęśliwy, wciąż widząc iskiereki w oczach córki. Zapytał, o jakie prezenty zamierza poprosić w liście do Świętego Mikołaja. Emily wyjęła iPad ze swojego miniplecaka i zapytała, czy nie prościej byłoby wysłać zamówienie e-mailem, ale Matthew się nie zgodził. Nie podobało mu się, że technologia wdziera się we wszystkie dziedziny życia, a dziś uznał to za szczególnie irytujące. Gdy kelner przyniósł zamówioną bułkę z homarem, zadzwonił telefon. To był Vittorio. Connie jeszcze nie wróciła, ale przeszukał archiwa i znalazł dokładną datę wizyty tamtej młodej kobiety.

-- Wczoraj minął od tego dnia równo rok: to było dwudziestego grudnia dwa tysiące dziesiątego!

Matthew zamknął oczy i westchnął. Senny koszmar trwał!

- To nie wszystko! - ciągnął Vittorio. — Wyobraź sobie, że mam nagranie, na którym ją widać!

- Kogo?

- Tę kobietę!

- Żartujesz!

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. W listopadzie zeszłego roku dwukrotnie włamano się nocą

do naszej restauracji...

- Pamiętam, myślałeś, że to sprawka braci Mancinich.

- No tak. Oni nigdy nie zaakceptowali nas jako konkurencji, ale w końcu nie udało mi się tego dowieść. W każdym razie i policja, i nasz agent ubezpieczeniowy polecili nam wyposażyć lokal w kamerę przemysłową. Przez mniej więcej trzy miesiące chodziła na okrągło. Zachowałem wszystkie filmy z monitoringu na komputerze.

- I znalazłeś nagranie z dwudziestego grudnia? - Właśnie! Mam też dziewczynę. Ona jedna przysłała wówczas sama.

- To niesamowite, Vittorio! Możesz mi przysłać to nagranie?

- Już ci wysłałem, stary. Sprawdź e-maile. Matthew rozłączył się i wyjął laptop z torby. Połączył się z internetem za pośrednictwem Wi-Fi restauracji. Nadal żadnych wiadomości od Emmy Lovenstein, ale za to dotarł już e-mail od Vittoria. Wideo było dość ciężkie i ładowało się przez dłuższą chwilę.

- Tato, mogę dostać suflet czekoladowy?

- Nie, kochanie, była umowa: bez deseru. Skończ bułkę.

Matthew wyświetlił wideo na całym ekranie. Film, co było do przewidzenia, okazał się nieostry i ziarnisty, jak to nagrania z kamer przemysłowych. Fragment wybrany przez Vittoria trwał niecałe dwie minuty. Kamera została umieszczona wysoko w rogu sali głównej. Zegar cyfrowy na pasku w dolnej części ekranu pokazywał dwudziestą zero jeden, gdy do restauracji weszła młoda, elegancko ubrana kobieta. Przez chwilę rozmawiała z Connie, po czym znikła z kadru. W tym miejscu nagranie zostało ucięte. Kolejna sekwencja zaczynała się półtorej godziny później, a dokładnie o dwudziestej pierwszej dwadzieścia dziewięć. Widać było wyraźnie, jak ta sama kobieta opuszcza w pośpiechu Numero 5. Potem obraz się zamazał i film się skończył. Matthew odtworzył go jeszcze raz i nacisnął „pauzę”, żeby zatrzymać nagranie w chwili, gdy młoda kobieta przekraczała próg restauracji. Nie miał żadnych wątpliwości. Rzecz kompletnie zwariowana, ale to faktycznie była Emma Lovenstein,

-- Włóż płaszcz, kochanie, idziemy! Matthew wyjął z kieszeni trzy banknoty dwudziestodolarowe, położył je na stoliku, po czym wyszli, nie czekając na resztę.

\*

- April, muszę pilnie coś załatwić! Pożycz mi samochód i posiedź z Emily godzinkę lub dwie, dobrze?

Z córką na rękach Matthew wpadł do galerii. Ściany głównej sali były obwieszane japońskimi rycinami erotycznymi i fotografiami wykonanymi w domach publicznych na początku dwudziestego wieku. Na środku pomieszczenia stały posążki afrykańskie o jednoznacznej wymowie, obok zaś wystawiono pokrowce na penisy i nowoczesne rzeźby przedstawiające ogromne fallusy. Nawet jeśli to miejsce nie miało nic wspólnego z sex-shopem, asortyment nie nadawał się dla oczu osób pruderyjnych ani dzieci. Matthew przebiegł więc przez salę, żeby Emily jak najszybciej znalazła się w bezpiecznym miejscu, czyli w biurze April.

- Będiesz grzeczna i poczekaasz tu na mnie, dobrze, kochanie?

- Nie! Chcę do domu!

Matthew wyjął iPad z plecaczka córki i zapytał: - Włączyć ci jakiś film? Może Arystokratów? Albo Lisa i psa?

- Nieee, to jest głupie! Chcę zobaczyć Grę o tron!

- Nie ma mowy! To nie jest serial dla małych dziewczynek.

Emily spuściła głowę i rozplakała się. Matthew zaczął masować sobie skronie. Dopadła go okropna migrena. Córka była zmęczona, cały ranek biegała po Toys Bazaar. Powinna teraz spać w swoim łóżku, a nie oglądać serial dla dorosłych w tej wyuzdanej galerii.

Nadbiegła April.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócę z nią do domu!
- Dzięki! Nie będzie mnie najwyżej półtorej godziny.
- Co to za pilna sprawa?
- Wszystko ci potem opowiem, obiecuję!
- Uważaj na mój samochód, dobrze? - poprosiła April, rzucając mu klucze.

\*

Matthew podszedł do chevroleta April, zaparkowanego pod wysokimi drzewami Commonwealth Avenue. Trasą, którą zwykle jeździł do pracy, wyjechał z Back Bay przez most przerzucony nad rzeką w okolicy Massachusetts Avenue i dodał gazu, kierując się ku Cambridge. Minął uczelnię, objechał Fresh Pond i przez kilka kilometrów jechał w kierunku Belmont.

Musi odnaleźć mężczyznę, który sprzedał mu laptop. W GPS-ie został adres klienta April, co pozwoliło mu łatwo odnaleźć ulicę z eleganckimi domami w niewielkiej dzielnicy willowej. Tym razem zaparkował dokładnie przed domkiem wyłożonym drewnianym sidingiem, z dachem zwieńczonym jak w katedrze. Przy bramie przywitało go warczenie beżowego shar peia, którego pamiętał z dnia wyprzedaży. Pies o pomarszczonej skórze, która okrywała go jak zbyt duży płaszcz, stał na straży, gotowy do skoku.

- Clovis! Do nogi! - krzyknął właściciel, stając w progu.

Gdy mężczyzna szedł po trawniku, Matthew zauważył przy dzwonku nazwisko: Lovenstein.

- Słucham pana?

Tak, to był facet, który sprzedał mu używany laptop. Surowy wygląd, kwadratowe okulary, garnitur przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Dzień dobry, panie Lovenstein, znajdzie pan dla mnie kilka chwil?

- A o co chodzi?

- Dwa dni temu podczas wyprzedaży zorganizowanej tu, przed domem, sprzedał mi pan laptop.

- Zgadza się, poznaję pana, ale uprzedzam: żadnych reklamacji.

- Nie o to chodzi... Chciałbym zadać panu kilka pytań. Mogę wejść do środka?

- Nie. O co chciał pan zapytać?

- Mówił pan, że to laptop pana siostry.

- Hm... - burknął Lovenstein.

Ta lakoniczna reakcja nie zniechęciła Matthew, który wyjął z kieszeni płaszcz wydrukowane przez siebie zdjęcia.

- Czy to ona?

- Tak, to Emma. Skąd pan ma te zdjęcia?

- Zostały na twardym dysku. Jeśli pan chce, prześlę je panu e-mailem.

Lovenstein skinął głową w milczeniu.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie jest teraz Emma? Bardzo chciałbym z nią porozmawiać.

- Chciałby pan z nią porozmawiać?

- Tak, to sprawa osobista. I ważna.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe.

- Dlaczego?
- Emma nie żyje.

*Strach zniszczył więcej rzeczy na tym świecie, aniżeli zbudowała radość.*

**PAUL MORAND**

- Już jako nastolatka moja siostra była zagubiona i smutna. Z czasem to się tylko pogłębiło. Określiłbym jej charakter jako niestabilny.

Głos Daniela Lovensteina brzmiał ciężko i głucho. Matthew tak długo nalegał, aż w końcu mężczyzna zgodził się zaprosić go do domu i opowiedzieć mu historię siostry.

- I te zmienne nastroje - ciągnął.

- Potrafiła być najszcześliwsza na świecie, pełna entuzjazmu, snująca nowe plany, żeby zaraz potem widzieć wszystko w czarnych kolorach.

Okresy euforycznych stanów stawały się coraz krótsze w porównaniu z dniami depresji. W ostatnich latach byłem prawie pewien, że Emma cierpi na zaburzenia osobowości. Przez kilka miesięcy mogłem mieć wrażenie, że wszystko z nią w porządku, ale potem niezmiennie następował kryzys, za każdym razem gorszy od poprzedniego.

Przerwał i wypił łyk herbaty. Siedzieli naprzeciw siebie w pikowanych fotelach. Smutny, zimny pokój pogrążony był w półmroku, wyglądało, jakby nawiedzał go regularnie duch Emmy.

- Z równowagi psychicznej wytrącały ją zwłaszcza romanse - oświadczył Daniel Lovenstein z goryczą. - Emma zbyt szybko dawała się zauroczyć, rozczarowania były więc bardzo bolesne. Czego nie przeżyliśmy z nią przez te wszystkie lata! Ataki hysterii, próby samobójcze, samookaleczanie się, regularne pobyty w szpitalu psychiatrycznym... Nigdy oficjalnie żaden lekarz nie zdiagnozował u niej choroby dwubiegunowej, ale nie miałem wątpliwości, że to właśnie to.

Im dłużej zwierzał się brat Emmy, tym gorzej Matthew się czuł. Odnosił wrażenie, że David wciąż ma żal do siostry. Ale ile było prawdy w tym, co mówił? Nie wahał się wysuwać hipotez, które nigdy nie zostały potwierdzone medycznie. Teraz pochylił się nad stołem i chwycił zdjęcia Emmy, które Matthew położył tam przed chwilą.

- Kilka miesięcy temu, w lecie, Emma ponownie nawiązała kontakt z jednym ze swoich dawnych kochanków. Z nim właśnie! - Wskazał palcem mężczyznę na zdjęciu. - To Francuz, nazywa się Francois Giraud i jest spadkobiercą znanej bordoskiej winnicy. Moja siostra już wcześniej wiele przez niego wycierpiała. Ale znów okazała się naiwna, uwierzyła, że jest zdecydowany odejść od żony. To oczywiście była nieprawda i Emma ponownie targnęła się na swoje życie, tym razem jednak skończyło się źle i...

David przerwał, bo shar pei zaczął nagle szczekać.

- To pies Emmy, prawda? - spytał Matthew.

- Tak. To Clovis. Moja siostra była do niego bardzo przywiązana. Ciągle powtarzała, że to jedyna istota, która jej nigdy nie zdradziła.

Matthew przypomniał sobie, że w e-mailach, które wymienili, Emma rzeczywiście tak określiła swojego psa.

- Nie chciałbym wracać do tych bolesnych wspomnień, panie Lovenstein, ale... Jakie były okoliczności śmierci Emmy?

- Rzuciła się pod pociąg w White Plains, piętnastego sierpnia. Z pewnością odbyło się to pod wpływem lekarstw, których się nałykała. W każdym razie w mieszkaniu wszędzie wałały się opakowania po benzodiazepinie, środkach nasennych i różnych innych świństwach... - Poruszony bolesnymi wspomnieniami Lovenstein wstał nagle, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. - Dlaczego tak panu zależało, żeby porozmawiać z moją siostrą? – spytał odprowadzając Matthew do drzwi.

Nie chcąc zdradzić prawdziwego powodu, Matthew zadał mu kolejne pytanie: - Czemu zorganizował pan tę wyprzedaż jej rzeczy osobistych?

Lovenstein spojrział na niego poruszony do głębi i odpowiedział gwałtownie: - Żeby skończyć raz na zawsze z przeszłością! Żeby odciąć się od Emmy! Wspomnienia mnie wykańczają, spalają od środka. Nie chcę wciąż rozpamiętywać tego, co było, bo minione lata za bardzo dały mi się we znaki!

Matthew pokiwał głową.

- Rozumiem - mruknął, wychodząc na zewnątrz.

Ale tak naprawdę wcale tego nie rozumiał, wiedział bowiem, że nie da się wygrać z przeszłością. Wspomnienia to nie kurz, który można usunąć jednym ruchem miotły!

Zamieszkują w podświadomości, czyhając na chwilę nieuwagi, żeby zaatakować nas z podwójną siłą.

\*

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:** Porozmawiajmy

**Data:** 21 grudnia 2011 - 13.45

*Droga Emmo,*

*jeśli siedzi Pani przy komputerze,*

*czy może się Pani odezwać?*

*Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym,*

*co się dzieje między nami.*

*Matt*

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:**

**Data:** 21 grudnia 2011 - 13.48

*Emmo,*

*rozumiem, że jest Pani zaniepokojona i poruszona!*

*Ja też się boję, ale myślę, że musimy o tym porozmawiać.*

*Bardzo proszę, niech się Pani odezwie!*

*Matt*

\*

Kliknął, wysyłając drugi e-mail. Podenerwowany czekał przez niekończącą się minutę na odpowiedź Emmy. Po rozmowie z Lovensteinem wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Bostonu, ale po kilku kilometrach zatrzymał się w knajpce Brand New Day przy nabrzeżu rzeki Charles. Urządzono ją w starym chromowanym wagonie restauracyjnym i wpadali tu zarówno przygodni klienci, jak i studenci Harvardu zgłodniałi po treningu wioślarskim.

Matthew usiadł na obitej skajem kanapie, wyciągnął laptop i podłączył się do sieci. Nigdy jeszcze nie czuł się tak wytracony z równowagi, nigdy też jego świat do tego stopnia nie zachwiał się w posadach. Miał w ręku coraz więcej dowodów: data wysyłanych e-maili, nagranie dostarczone przez Vittoria, informacje od brata Emmy... Wszystko to kazało mu uwierzyć w rzecz nieprawdopodobną: dzięki kupionemu okazjnie laptopowi mógł porozumiewać się ze zmarłą, która otrzymywała jego wiadomości, gdy jeszcze żyła. Czyli rok wcześniej. Jak to możliwe?! Nie umiał tego wyjaśnić, ale już teraz widział kilka zasad rządzących tą sytuacją. Wyjął pióro i notes, który zawsze trzymał w kieszeni, i zapisał kilka spostrzeżeń.

**1. Emma Lovenstein dostaje moje e-maile dokładnie rok wcześniej.**

**2. Laptop, który kupilem na wyprzedazy, jest naszym jedynym możliwym środkiem porozumiewania się.**

Uniósł głowę znad notesu i chwilę myślał nad drugim punktem. Fakty mówiły same za siebie: Emma nie otrzymała e-maili, które wysłał do niej z telefonu, a on nie dostał tych, które ona wysłała mu ze swojego smartfona. Dlaczego?

Przeanalizował sytuację. Skoro Emma nie żyła od kilku miesięcy, wiadomości, które do niej wysłał, ale nie z komputera, musiały trafić do skrzynki, do której obecnie nikt już nie zagląda. Logiczne. Ale co działo się z pocztą, którą Emma wysłała mu w dwa tysiące dziesiątym roku ze swojego telefonu? Logika podpowiadała, że powinien był odebrać te e-maile w przeszłości, gdy tymczasem w ogóle nie pamiętał, żeby w grudniu rok wcześniej przyszły do niego jakiegokolwiek wiadomości podpisane „Emma Lovenstein”.

Rzecz jasna, dostawał dużo e-maili, ale przecież by zapamiętał! Zaczął gorączkowo szperać w pamięci i znalazł powód: w grudniu dwa tysiące dziesiątego roku zmienił dostawcę usług internetowych, a więc i adres poczty elektronicznej. Ten, na który pisała Emma, wówczas jeszcze po prostu nie istniał! Ta nieco pokrętna logika wyводу, ale przecież rzucająca nowe światło na wydarzenia ostatnich dni, trochę go uspokoiła. Zanotował kolejne uwagi:

**3. Dziś, w grudniu son roku, nie mam żadnej możliwości fizycznego kontaktu z Emmą (niestety ona nie żyje).**

**4. Ale odwrotna sytuacja jest możliwa!**

Zaczął się zastanawiać nad tą ostatnią hipotezą. „Emma 2010”, gdyby chciała, mogłaby w każdej chwili wsiąść do samolotu lecącego do Bostonu i spotkać się z „Matthew 2010”.

Pytanie, czyby to zrobiła? Raczej nie, przecież w ogóle nie odpowiada na jego e-maile.

Nerwowo zerknął na ekran laptopa. Nadal żadnej wiadomości od Emmy. Spróbował myśleć tak jak ona, kobieta inteligentna, lecz niestabilna emocjonalnie. Nietrudno było odgadnąć, że czuje się słaba, przestraszona i zdezorientowana całą tą sytuacją. On widział nagranie przesłane przez Vittoria i rozmawiał z jej bratem, miał więc dowody, że to się działo naprawdę. Emma nie dysponowała taką wiedzą. Zapewne sądziła, że osoba, która do niej pisze, jest niespełna rozumu, i dlatego nie odpowiadała na listy. Powinien znaleźć sposób, by ją przekonać, że to wszystko jest prawdą. Ale jaki?

Wyjrzał przez okno. Sporo osób uprawiało jogging na ścieżce biegnącej wzdłuż rzeki, od czasu do czasu przemykali między nimi rowerzyści, a nieco dalej łódki przecinały taflę wody.

Słychać było krzyki dzikich gęsi i uderzenia wiosł.

Lokal powoli pustoszał. Na sąsiednim stoliku Matthew zauważył gazetę zostawioną przez jakiegoś klienta. Był to dzisiejszy „New York Times”. Wziął ją do ręki i w tym samym



momencie wpadł na pewien pomysł. Za pomocą kamery w laptopie sfotografował dziennik tak, żeby widoczna była data, i wysłał zdjęcie do Emmy.

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

*Emmo,*

*oto dowód, że żyję w 2011 roku.*

*Czekam na sygnał od Pani.*

*Matt*

## **Nowy Jork**

Emma przejrzała pocztę i kliknęła na załącznik. Powiększyła zdjęcie i pokręciła głową. Co to za problem przerobić datę w Photoshopie. To żaden dowód, idioto! - pomyślała.

## **Boston**

Rozległ się grzmot. Niebo nagle pociemniało, na knajpkę zwały się strugi deszczu. W kilka minut lokal zapełnił się ludźmi uciekającymi przed ulewą. Wpatrzony w ekran laptopa Matthew niczego nie zauważył. Wciąż nie dostał odpowiedzi. Najwyraźniej zdjęcie nie wystarczyło, żeby przekonać Emmę. Musi znaleźć coś innego, i to szybko. Wszedł na stronę „New York Timesa” i zaczął szukać w archiwach. Kilka kliknięć i natrafił na upragnioną informację. Tym razem Emma Lovenstein nie będzie mogła go zignorować.

\*

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

*Jeszcze raz zawracam Pani głowę, Emmo.*

*Chociaż Pani milczy, jestem pewien,*

*że siedzi Pani przed komputerem. . .*

*Lubi Pani sport? Koszykówkę?*

*Jeśli tak, wie Pani z pewnością,*

*że dziś (myślę o Pani „dziś”)*

*rozgrywany jest bardzo ważny mecz:*

*nowojorscy Knicks kontra Celtics z Bostonu.*

*Proszę włączyć radio lub telewizję,*

*a dostarczę dowodu, na który*

*Pani czeka...*

*Matt*

Serce Emmy zadrżało. Po każdym liście od Matthew czuła się, jakby zgniatało ją na miazgę wielkie imadło. Strachowi towarzyszyła jednak ciekawość. Zamknęła laptop, wsunęła go pod pachę i wyszła z biura. Zjechała windą na niższe piętro, gdzie znajdowały się sale wypoczynkowe personelu Imperatora. Pchnęła drzwi i znalazła się w dużym pomieszczeniu z pastelowymi ścianami, wyposażonym w stoliki z jasnego drewna, sofy i fotele wassily. Przywitała się z tymi, których znała. Było to kilka kobiet siedzących na miękkich kanapach, przeglądających pisma i plotkujących, oraz grupa mężczyzn oglądających na wielkim

telewizorze... mecz koszykówki.

Emma usiadła przy jednym ze stolików, włączyła laptop, a potem wstała i podeszła do dystrybutora napojów. Wyjęła puszkę, otworzyła ją i podeszła do ekranu.

- Tu Madison Square Garden! Rozpoczyna się ostatnia kwarta meczu, Knicksi z Nowego Jorku prowadzą dziewięćdziesiąt do osiemdziesięciu trzech. Od samego początku jest to pasjonujące spotkanie! Gracze poszczególnych formacji...

Emma poczuła, jak w miejscu żołądka rośnie jej twarda kula. To mecz, o którym pisał Matthew! Wróciła na swoje miejsce i zerknęła to na komputer, to na telewizor. Po kilku chwilach na ekranie laptopa pojawiła się kolejna wiadomość:

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

*Znalazła Pani jakiś telewizor czy radio, Emmo?*

*Na razie wielką przewagę ma Nowy Jork. Jeśli siedzi Pani w jakimś barze czy innym miejscu publicznym, to jestem pewien, że nowojorczyści, którzy razem z Panią śledzą tę transmisję, są przekonani, że ich drużyna wygra...*

Emma przerwała lekturę, żeby popatrzeć na grupę pracowników wpatrzonych w wielki ekran. Żartowali, przybijali piątki i oklaskiwali każdy punkt zdobyty przez ich drużynę. Najwyraźniej już przeżywali euforię zwycięstwa. Emma wróciła do wiadomości od Matthew.

*... Tymczasem wygra Boston, wynikiem 118:116.*

*Wyrównają przed samym koocem.*

*Proszę zapamiętać ten wynik, Emmo:*

*Nowy Jork: 116 - Boston: 118.*

*Nie wierzy mi Pani?*

*Proszę oglądać mecz...*

Serce waliło Emmie jak oszalałe. Teraz naprawdę zaczęła się bać tego faceta! Spięta, z zeszywniałymi mięśniami z trudem podniosła się z krzesła i podeszła do telewizora, modląc się w duchu, by przepowiednia Matthew się nie sprawdziła.

- Oto ostatnie pięć minut! - ekscytował się komentator. - Nowy Jork wciąż prowadzi sto cztery do stu jeden!

Ostatnie chwile meczu niemal sparaliżowały Emmę, zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Jeszcze dwie minuty... Wciąż wygrywał Nowy Jork.

Minuta trzydzieści.

Kosz wbity przez Celtics doprowadził do remisu: obie drużyny miały po sto trzynaście punktów.

Później dwa celne rzuty za trzy punkty z każdej strony i kolejny remis: po sto szesnaście.

Emma zagryzła wargi.

Do końca zostało niecałe dziesięć sekund, kiedy Paul Pierce, jeden z zawodników Bostonu, zgrabnie złamał linię obrony, pozbył się przeciwnika, robiąc unik, rzucił piłkę do kosza i... zdobył dwa punkty!

- Boston prowadzi dwoma punktami: sto osiemnaście do stu szesnastu! Knicksom przestało

sprzyjać szczęście!

Koszykarz, który zdobył punkty, cieszył się, ale przez halę przeszedł szmer niezadowolenia. Spanikowana Emma popatrzyła na zegar. Widać było na nim: „00,4”.

Zostało więc cztery dziesiąte sekundy! Klęska.

Jednak nie! Gdy tylko wznowiono grę, zawodnik Knicksów zaryzykował bezpośredni rzut z ośmiu metrów. Cudowne! Trafił!

- Niesamowity rzut! - ryknął komentator. - To najprawdopodobniej najważniejszy kosz w karierze Stoudemire'a! Nowy Jork zwycięża sto dziewiętnaście do stu osiemnastu!

Emma ucieszyła się wraz z innymi, ale nie z tych samych powodów. Nagłe opadło z niej całe napięcie. Matthew się pomylił! Nie żył w przyszłości, tak jak utrzymywał. Nie umiał przepowiedzieć wyniku meczu! A ona nie była wariatką!

Na ekranie telewizora wciąż pokazywano halę Madison Square Garden. Kibice szaleli.

Knicksi zaczęli już triumfalne okrażenie, widzowie podnieśli się z miejsc i skandowali na cześć zwycięskiej drużyny... Aż do chwili, gdy sędzia zażądał powtórnego obejrzenia akcji na wideo. Film pokazał to, czego nikt nie chciał widzieć: piłka wyleciała z rąk gracza kilka setnych sekundy po końcowej syrenie.

- Co za historia! W rezultacie niezwykle emocjonującego meczu i suspensu godnego Hitchcocka Boston zwyciężył Knicksów sto osiemnaście do stu szesnastu, kładąc kres szczęśliwej passie przeciwnika, która trwała od ośmiu ostatnich meczów!

Emmie zrobiło się niedobrze. Pobiegła do toalety na piętrze. Boże, chyba zwariowałam! - pomyślała. Sparaliżował ją strach, nie czuła się na siłach stanąć do walki z demonem, który niszczył jej logiczne myślenie. Jak znaleźć sens w tym chaosie? Oszustwo wydawało się niemożliwe. Mecz transmitowano przecież na żywo. Przypadek? Może Matthew zaryzykował, rzucił wynik na chybił trafił... Przez chwilę Emma uczepiła się tej myśli.

Cholera!

Nie da rady porozumieć się z kimś, kto żyje w przyszłości!

To po prostu NIEMOŻLIWE!

Przejrzała się w lustrze. Tusz do rzęs spłynął, cerę miała trupio bladą. Wilgotną dłonią zmyła z twarzy resztki makijażu, starając się zebrać myśli. Wtedy przypomniała sobie o pewnym niepokojącym szczególe. Dlaczego Matthew napisał w pierwszym liście: Jestem nowym właścicielem Pani MacBooka? Co to mogło oznaczać? Że w przyszłości miała sprzedać swój laptop? Że on kupił go okazyjnie i że na skutek zakrzywienia czasoprzestrzeni mogli teraz korespondować, każde z innego miejsca na swojej osi czasu? To było bez sensu.

Zadyszana, jakby przed chwilą biegła na setkę, oparła się o ścianę i zdała sobie sprawę z własnej samotności. Nie było przy niej nikogo, kogo mogłaby spytać o radę, kto mógłby ją pocieszyć. Nie miała prawdziwej rodziny, kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, poza tym sztywniakiem bratem, który traktował ją z pogardą. Żadnych prawdziwych przyjaciół ani chłopaka. Nawet psychoterapeutka, która kosztowała ją fortunę, chwilowo umknęła z placu boju.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, przypomniała sobie o Romualdzie Leblancu. Jeśli w ogóle istniał ktoś, kto mógłby jej pomóc wyjaśnić paradoks laptopa, to na pewno był nim ten mały francuski haker!

Od razu poczuła się dużo lepiej. Wyszła z toalety, wsiadła do windy i wjechała na górę, tam, gdzie znajdował się dział informatyczny. Natknęła się na jakiegoś dyżurnego, ale w soboty dział pracował na zwolnionych obrotach, a Romuald jako stażysta w ogóle nie

przychodził w weekendy. Emma nie ustąpiła, dopóki nie udało jej się zdobyć numeru komórki Francuza. Natychmiast do niego zadzwoniła. Po dwóch sygnałach usłyszała niepewne: „Halo?”.

- Potrzebuję twojej pomocy, okularniku! Gdzie jesteś? Znow siedzisz przed komputerem i oglądasz gołe laski?

**Podróżnicy w czasie**

*Przyszłość duch z pustymi rękami, który  
obiecuje wszystko, a nie ma nic.*

**VICTOR HUGO**

**Nowy Jork, 2010**

**Meatpacking District**

**Kwadrans później**

Ostry mróz ściał nabrzeża rzeki Hudson.

Emma trzasnęła drzwiami taksówki. Lodowaty powiew uderzył w nią, gdy tylko wysiadła z samochodu. O tej późnej popołudniowej godzinie dzielnica, w której kiedyś mieściły się rzeźnie miejskie, była pogrążona we mgle. Przemarznięta do szpiku kości wsadziła ręce do kieszeni płaszcza i przeszła pod stalowym łukiem, prowadzącym na przystań numer pięćdziesiąt cztery, historyczne miejsce, do którego przybijały niegdyś transatlantyki. To tutaj Romuald wyznaczył jej spotkanie.

Nagle usłyszała gdzieś w górze warkot silnika i podniosła głowę. Na tle nieba zobaczyła unoszącą się w powietrzu prawdziwą eskadrę złożoną z około dwudziestu miniaturowych zdalnie kierowanych helikopterów i samolotów. Stojący na asfaltowym moło mężczyźni w różnym wieku prześcigali się w zręczności, pilotując swoje maszyny.

Omiotła wzrokiem zgromadzonych, starając się wypatrzeć Romualda, lecz minęło kilka dobrych sekund, zanim go rozpoznała. Opatulony w grubą kurtkę z kapturem obszytym futrem, miał na głowie czapkę narciarską, która zakrywała mu czoło i uszy. Próbował uruchomić swój samolocik z czterema śmigłami, niestety ten ani drgnął.

- Cześć, żabojadzie! - rzuciła, zachodząc go od tyłu. Romuald aż podskoczył i poprawił okulary na nosie.

- Dzień dobry, panno Lovenstein.

- Co to za impreza? Zebranie anonimowych geeków, amatorów modelarstwa samolotowego?

- To są drony! - wyjaśnił nastolatek.

- Co?

- No, te aparaciki, to są cywilne drony.

Zaintrygowana Emma powiodła spojrzeniem za jednym z czterośmigłowych samolocików, który uniósł się bardzo wysoko, tak jak latawce z jej dzieciństwa, po czym przyspieszył i znikł nad moło. Wśród tych zdalnie kierowanych maszyn nie dostrzegła dwóch jednakowych.

Były tam samoloty, helikoptery z czterema lub sześcioma śmigłami, i latające spodki. Emma wyobraziła sobie tych wszystkich ludzi majsterkujących w wolnych chwilach w swoich garażach: informatyków, fanów robotyki, lutujących różne części i elektroniczne podzespoły, żeby odpowiednio przygotować sprzęt przed publicznym sprawdzianem w obecności kolegów.

Duże dzieci! - skomentowała w duchu. Przechodząc od grupki do grupki, zauważyła, że większość pilotów połączyła drony ze swoimi smartfonami, żeby móc nimi kierować z różnych miejsc. Niektóre modele wyposażone były także w ultra-lekkie kamery, które przesyłały zdjęcia od razu na ekran telefonu.

Emma wróciła do Romualda, który wciąż walczył ze swoim quadcopterem. Nikt nie wykazywał ochoty, żeby mu pomóc. W grupie nie było ani jednej szlachetnej duszy, która odpowiedziałaby Romualdowi, jak uporać się z problemem. Emmie zrobiło się go żal.

Czuła, że ten inteligentny chłopak jest samotny i zagubiony. Tak jak ja... - pomyślała.

- Dlaczego twój nie lata? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparł zmartwiony. - Jest zbyt silny wiatr. Chyba go źle wyregulowałem, ja...

- Nie szkodzi!

- Raczej szkodzi! - zaprotestował, spuszczać wzrok.

Najwyraźniej trudno było mu się pogodzić z tym, że jego wiedza w zakresie mechaniki czy informatyki okazała się niewystarczająca. Emma postanowiła zmienić temat.

- A czy to wszystko jest przynajmniej legalne? - rzuciła pełna podziwu, ale i zaniepokojona.

- Drony? Chyba tak - odparł, pociągając nosem. - No, jest kilka zasad, które trzeba respektować: nie wolno puszczać maszyn nad głowami ludzi, cały czas trzeba je mieć na oku, nie wznosić ich powyżej jakichś... stu metrów...

Emma pokręciła głową, zaskoczona, że wykorzystywanie tego rodzaju technologii nie jest zarezerwowane dla wojska i laboratoriów naukowych. Co bowiem stało na przeszkodzie, by ludzie używali ich do szpiegowania sąsiadów lub posyłali je nad tereny prywatne? Nagle obudził się w niej irracjonalny strach - wyobraziła sobie kolejny etap, w którym miniaturowe drony wielkości insektów mogą bez przeszkód filmować nawet najbardziej intymne sytuacje i nagrywać rozmowy. Wszechobecna inwigilacja. Nie chciałyby żyć w takim świecie.

Odsunęła od siebie te myśli i spojrzała w kierunku północnym. Nieco dalej, powyżej nabrzeża, widać było nowojorską High Line, struktura z betonu i stali, u której stóp mieściła się kawiarnia Novoski, gdzie podawano najlepszą gorącą czekoladę w całym mieście.

- Dobra, zbieraj swój sprzęt - poleciła Romualdowi. - Zapraszam cię na wyzerkę.

\*

## **Kawiarnia Novoski**

### **10 minut później**

Romuald połknął ogromny kawałek strudla z wiśniami i popił wielkim łykiem gorącego kakao.

- Czy ty ostatnio w ogóle coś jadłeś? - rzuciła zaniepokojona Emma.

Chłopak skinął głową i błyskawicznie uporał się z drugą połową ciastka.

- Kiedyś nauczę cię, jak elegancki mężczyzna powinien jeść w towarzystwie kobiety - obiecała Emma, wycierając papierową serwetką okruszki ciasta przyklejone w kącikach ust chłopaka.

Romuald znów spuścił oczy, jak to miał w zwyczaju, i obciągnął sweter, jakby chciał ukryć swój wystający brzuch.

- Gdzie ty właściwie mieszkasz, Romualdzie?

- W schronisku młodzieżowym w Chelsea.

- Kontaktowałeś się ostatnio z rodzicami, mówiłeś im, co się z tobą dzieje?

- Niech się pani o mnie nie martwi... - odparł wymijająco.

- Właśnie, że się martwię! Masz przynajmniej pieniądze?

- Tak, mam, mam... - mruknął, drapiąc się nerwowo po głowie, i szybko skierował

rozmowę na inne tory.

- Z jakiego powodu chciała się pani ze mną zobaczyć?

- Chodzi o mój laptop - wyjaśniła Emma, wyjmując komputer z torby i stawiając go przed chłopakiem.

Romuald upił kolejny łyk ciepłego kakao i podniósł klapę laptopa. Na ekranie pokazała się zawartość skrzynki pocztowej.

- A co z nim jest nie tak?

- Od pewnego czasu dostaję dziwne e-maile. Czy mógłbyś sprawdzić, skąd przychodzą?

- Jasne, to żaden problem - stwierdził.

- Dobra, pokaż, co potrafisz! - podrażniła jego ambicję.

- Chodzi mi o całą korespondencję z Matthew Shapiro.

Romuald szybko zaznaczył listy wysłane przez Matthew i umieścił je w osobnym folderze.

Najpierw otworzył pierwszy e-mail i rozwinął jego dane: adres IP nadawcy, rodzaj używanego systemu pocztowego i wszystkie serwery, przez które przeszedł list do momentu, kiedy znalazł się w komputerze Emmy.

Teoretycznie nie było nic prostszego niż ustalenie źródła wysłanej wiadomości, ale tutaj coś było nie tak. Na twarzy Romualda pojawiła się irytacja. Zdjął okulary i wytarł brudne szkła w sweter. Doprowadzona do ostateczności Emma wyrwała mu okulary z rąk, poszukała w torbie chusteczki do szkieł, wyczyściła je i włożyła chłopakowi na nos.

- No więc? - spytała zniecierpliwiona. Romuald w milczeniu otworzył drugi list i zaczął go analizować tak jak pierwszy. Potem zabrał się do trzeciego, tym razem wybierając odpowiedź Emmy.

- Znalazłeś coś, żabojadzie?

- Eee... Daty! Wygląda, jakby ten facet pisał do pani z przyszłości.

- Tak, zauważyłam, wielkie dzięki. Ale jak to wytłumaczyć? Nastolatek pokręcił głową.

- Nie da się tego wytłumaczyć. - Postaraj się, błagam!

Romuald wybrał jeden z listów Matthew i kliknięciem otworzył nagłówek.

- W sieci korespondencja odbywa się między dwoma adresami IP, rozumie pani? Emma skinęła głową.

- Między jednym komputerem a drugim wiadomość może przechodzić przez kilka serwerów i wszystkie rejestrują ją, podając dokładny czas.

Emma przysunęła się do chłopaka. Na ekranie widniała cała trasa, jaką przebyła wiadomość od Matthew.

- Kiedy ten facet wysyła do pani e-mail - podjął Romuald - pierwsze serwery rejestrują dwa tysiące jedenasty rok, ale potem nagle, w samym środku trasy, jeden z serwerów robi jakby skok w czasie i rejestruje rok dwa tysiące dziesiąty. A kiedy to pani pisze, następuje skok w drugą stronę.

- Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie! - nie ustępowała Emma.

- Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym? Może na jakichś forach, w dyskusjach hakerów? Romuald pokręcił głową w milczeniu.

- Poza tym nie tylko ta historia z datą jest dziwna... - dorzucił po chwili.

- To znaczy? Chłopak wskazał palcem na ekran.

- W obydwu przypadkach źródło wiadomości i adres hosta docelowego są takie same.

Wygląda to tak, jakby e-mail z roku dwa tysiące jedenastego był wysłany z tego samego laptopa, do którego dociera w roku dwa tysiące dziesiątym.

Teraz Romuald mógł zobaczyć, jak fatalne wrażenie wywarła ta informacja na Emmie. Odsunęła się gwałtownie od ekranu, a jej twarz stała się blada jak płótno. Chcąc ją uspokoić, zapewnił, że postara się rozgryźć problem, a jeśli będzie trzeba, poprosi o pomoc kogoś bardziej kompetentnego. Kończył mówić, gdy melodyjny dźwięk zasygnalizował nową wiadomość.

\*

Emma odwróciła laptop w swoją stronę. Tak jak się obawiała, na ekranie pojawił się kolejny list od Matthew Shapiro.

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:** *Cena milczenia*

*Z trudem staram się zrozumieć Pani milczenie.*

*Nie mogę uwierzyć, że nie chce Pani dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziwnej przygodzie, jaka nam się przydarza. Odkryć, możemy robić, a czego nie! Zgoda, domyślam się, że się Pan trochę boi, ale jednak ciekawość powinna zwyciężyć!*

*Może potrzebuje Pani czegoś więcej, żeby zdecydować się na ten krok? Co może skłonić Panią do zmiany decyzji?*

*Nowy dowód? Pieniądze? Oto, że tak powiem, obydwie rzeczy...*

*Bardzo proszę, niech się Pani do mnie odezwie.*

*Matt*

Do listu dołączony był plik PDF, zawierający artykuł z „New York Timesa” z 23 grudnia 2010.

**W dzień swoich setnych urodzin  
szwedzka turystka wygrywa  
w kasynie pięć milionów dolarów!**

W kasynie hotelu New Blenheim w Atlantic City turystka, której dopisało szczęście, w nocy z soboty na niedzielę wygrała ponad pięć milionów dolarów (dokładnie 5 023 466) w maszynie Little Mermaid. Tę okrągłą sumkę wygrała pewna Szwedka w dniu swoich setnych urodzin. Lina Nordqvist ze Sztokholmu, przyjechała z grupą szwedzkich emerytów na wycieczkę po północno-wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Świeżo upieczona milionerka opowiedziała, że o 20.45 wrzuciła do maszyny dwa dolary. Przy oklaskach całej sali pani Nordqvist oświadczyła, że dzięki wygranej będzie mogła zrealizować swoje marzenie, a mianowicie wybierze się wraz z mężem w podróż balonem dookoła świata...

Na zdjęciu dołączonym do artykułu można było zobaczyć ekstrawagancką stulatkę wspierającą się na balkoniku, która pozowała przy automatach do gier. Miała na sobie bluzę od dresu z napisem „I love Stockholm”, a na głowie słomkowy kapelusz.

Emma spojrzała na zegarek.

17:30.



Pozostały jej zaledwie trzy godziny. Należało działać szybko.

Nie wolno dłużej się wahać. Musi wreszcie się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi!

- Słuchaj, Romualdzie...

Czy gdzieś tu w pobliżu można wynająć samochód?

- W FastCar, na rogu Gansevoort i Greenwich. To jakieś trzysta metrów stąd.

- Ach tak, wiem! - rzuciła Emma, kładąc na stoliku banknot dwudziestodolarowy.

Potem podniosła się i zapięła płaszcz. - Dzięki ci za pomoc, Romualdzie. Dbaj o siebie!

- Zadzwoń do pani, jak tylko coś znajdę. I... niech pani będzie ostrożna.

Wyszła z kafejki, spojrzała na niego przez szybę i pomachała mu ręką na pożegnanie.

\*

Zanim Emma dotarła do wypożyczalni samochodów, zrobiło się już ciemno. Przez dwadzieścia minut stała w kolejce w źle ogrzewanej salce, w końcu zaś trafiła na pracownika tak skandalicznie aroganckiego, że niemal zrezygnowała ze swojego zamiaru. W rezultacie zaakceptowała pierwszy samochód, jaki jej zaproponowano, a był to SUV firmy General Motors, w jaskrawym pomarańczowym kolorze. Uregulowała rachunek kartą kredytową, wyjechała z Manhattanu przez Holland Tunnel i ruszyła na południe.

Nie cierpiała nocnej jazdy, zwłaszcza po drogach, których nie знаła, ale trasa z Nowego Jorku do Atlantic City była dobrze oznakowana. Należało jechać Garden State Parkway, drogą szybkiego ruchu, która ciągnęła się wzdłuż wybrzeża New Jersey. Przez całą podróż Emma walczyła z narastającym lękiem. Znalazła w radiu stację muzyczną i próbowała nucić pod nosem, chcąc uwolnić się od myśli, które kłębiły jej się w głowie. Bezskutecznie.

Bała się spóźnić, więc co chwila przenosiła wzrok z jezdni na tablicę rozdzielczą, żeby sprawdzić, która godzina. Gdy wydawało jej się, że już dojeżdża, nagle utknęła w korku i okropnie się zdenerwowała. Kilka samochodów zderzyło się i zatarasowało zjazd do drogi ekspresowej.

Dość długo czekała, zanim przejazd stał się możliwy, ale w końcu dotarła do stolicy hazardu Wschodniego Wybrzeża, miasta, które zawsze uważała za okropnie brzydkie i w którym nigdy dotąd nie była.

Znów spojrzała na zegar.

20:25

Wjechała w Atlantic Avenue, prowadzącą do słynnego board-waik, ciągnącej się w nieskończoność nadmorskiej promenady. To tutaj znajdowała się większość kasyn, dzięki którym miasto stało się tak popularnym kurortem. Wieczór dopiero się zaczynał. Główna ulica, przy której mieściło się wiele hoteli, restauracji i teatrów, była zapełniona autokarami z turystami, ale od czasu do czasu pojawiały się błyszczące limuzyny albo cudaczne riksze.

20:29

Taksówka jadąca przed nią zatrzymała się na światłach. Emma skorzystała z okazji, żeby się rozejrzeć i zorientować, gdzie jest. Zewsząd atakowały ją kaskady neonów, pomiędzy nimi wypatrzyła specyficzną sylwetkę New Blenheim, najnowszego kasyna w mieście, którego zdjęcia widziała w jakimś piśmie. Zbudowany na początku dwutysięcznego roku kompleks architektoniczny miał imitować wielką przystań i został ustawiony wokół czterech falistych piramid, które wyglądem faktycznie przypominały wielkie błękitne fale, wznoszące się na wysokość sześćdziesięciu metrów nad poziom morza. Nocą cztery budynki z dwoma tysiącami pokoi błyszczały turkusowym światłem, przez co wyglądały jak eskadra międzygalaktycznych krążowników szykujących się do ataku na niewidzialnego wroga.

20:34

Emma wyprzedziła taksówkę i prześlizgnęła się między samochodami, docierając na parking New Błenheim, który sięgał siedmiu pięter w dół. Zaparkowała wynajęty wóz i pobiegła do jednej z wielu wind obsługujących hotelowe lobby. Tam poszukała na interaktywnym planie sali z automatami do gier.

20:39

Kompleks hotelowy był gigantyczny. Mieściło się tu dziesięć restauracji, spa, basen, dwa kluby nocne, trzy bary i specjalna strefa gier o powierzchni ponad dziesięć tysięcy metrów kwadratowych. Emma odnalazła na planie pomieszczenie z automatami i zapamiętała, jak tam dojść. Nie mogła sobie pozwolić na żaden błąd.

20:40

Przebiegła przez lobby, dwa razy zmieniła windę i weszła do gigantycznego tunelu ze szkła, który łączył ze sobą cztery piramidy. Zjechała windą jeszcze jedno piętro w dół, okazała dokumenty strażnikowi, który ją wylegitymował, i znalazła się w jaskini hazardu.

20:41

Ogromna aula o niskim suficie mimo wesołego podzwaniania automatów, sprawiała przynębiające wrażenie zapewne z powodu braku okien, Emma wymieniła pięćdziesiąt dolarów na żetony i szybkim krokiem przeszła wzdłuż armii brzęczących i migoczących jednorękich bandytów o przyjemnych dla ucha nazwach: Jackpot Candy, Cleopatra, Three Kings, White Orchid, Dangerous Beauty... Setki maszyn były jak macki ośmiornicy. Oplatały swe ofiary i wciągały w grę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Emma wtopiła się w hałaśliwy tłum, który przemieszczał się pomiędzy tymi „atrakcjami”. Byli tu młodzi ludzie, którzy igrali z losem, ryzykując wysokie stawki, rodziny szykujące się do rozbicia banku, nałogowi gracze o twarzach zombie, którzy metodycznie tracili swój majątek, jakaś grupa trzydziestolatków bawiących się na wieczorze kawalerskim przyjaciela, zniedołężni starcy, którzy przyjechali do Atlantic City, by odnaleźć atmosferę wesołych miasteczek swojego dzieciństwa...

20:43

Emma nigdy nie pojęła, dlaczego ludzie odwiedzają tego typu miejsca. Przecież muszą wiedzieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Zakręciło jej się w głowie, na czole pojawiły się kropelki potu. Mimo swego ogromu sala sprawiała przytłaczające wrażenie. Emma poczuła mdłości. Oparła się o ścianę, żeby odetchnąć.

I nagle pomiędzy niezliczonymi kaszkietami zauważyła słomkowy kapelusz! Nie było wątpliwości, że to Lina Nordqvist, stuletnia emerytka w bluzie z napisem „I love Stockholm”.

Prawą dłonią przyciskała do piersi wielki kubełek żetonów, a lewą opierała się o metalowy balkonik na kółkach. W żółtym tempie posuwała się ku rzędowi automatów, na którego końcu stała Little Mermaid. Zapominając o dobrych manierach, Emma wepchnęła się przed nią i stanęła pierwsza przed ekranem.

- Du gick in i mig! Jag ar en gammal dam! Tillbaks till skolan med. Dig sa att du kan lara dig lite hyfs! - odezwała się starsza pani we własnym języku, sądząc z tonu, bardzo niezadowolona.

20:44

Emma wzruszyła ramionami, mamrocząc pod nosem słowa przeprosin. Zaczekała, aż Szwedka odejdzie, żeby wrzucić do maszyny swój pierwszy żeton. 20:45 To nie ma żadnego sensu! - pomyślała, uderzając w guzik na panelu dotykowym, żeby wprawić automat w ruch.

Pięć wałków zaczęło się kręcić z zawrotną szybkością.

\*

**Boston 2011**

**22.00**

- Cholera! - zaklęła April, wyciągając z piecyka parzącą dłoń szklaną foremkę.

Zaskoczona wysoką temperaturą upuściła naczynie, które rozbiło się z hukiem. Matthew, drzemiący na kanapie, zerwał się przestraszony. Kiedy położył córkę do łóżka, ogarnęło go tak wielkie zmęczenie, że zasnął, oglądając po raz n-ty bożonarodzeniowy klasyk Franka Capry To wspaniałe życie.

- Jeśli koniecznie chcesz obudzić Emily, powinnaś się postarać trochę bardziej - powiedział z przekąsem.

- Och, przestań! Spaliłam taki piękny piernik - jęknęła April. - I to właśnie kiedy wreszcie zdecydowałam się sama coś upiec!

Matthew przetarł oczy. Było mu zimno, czuł się, jakby miał gorączkę. Przez całe popołudnie wysyłał e-maile do Emmy, dołączając kolejne dowody, które miały ją przekonać, że to, co jest między nimi, dzieje się naprawdę. Ale wszystkie jego wiadomości pozostały bez odpowiedzi.

Wstał, poszedł do kuchni pomóc April posprzątać po jej małej kulinarnej katastrofie, a potem znów sprawdził pocztę, co najmniej pięćsetny raz tego dnia. Skrzynka pocztowa migotała! Już stracił nadzieję, a tymczasem...

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

**Temat:** *Wielka wygrana*

*Matthew,*

*widzę, że czyta Pan gazety, proszę więc jeszcze raz sprawdzić ten artykuł w „New York Timesie”.*

*Emma*

Do czego to mogła być aluzja? Dlaczego miał jeszcze raz czytać jakiś artykuł? Chyba że...

Poczuł uderzenie adrenaliny. Przysunął taboret do blatu kuchennego i usiadł przed komputerem. Musiał spojrzeć na wszystko świeżym okiem. Połączył się z archiwum „New York Timesa”, a kiedy strona się ładowała, wrzucił kapsułkę do ekspresu i zrobił sobie mocną kawę. Łatwo odnalazł numer z poniedziałku dwudziestego trzeciego grudnia 2010 roku i otworzył go w wersji PDF. Przesunął palcem po touchpadzie, przerzucając kolejne strony.

Najpierw nic nie zauważył. A przecież doskonale pamiętał to surrealistyczne zdjęcie szwedzkiej emerytki opartej o swój balkonik, dumnie pozującej przed jaskrawymi automatami do gry. Teraz zdjęcia nie było. Jeszcze raz uważnie obejrzał cyfrowe wydanie gazety. W końcu wypatrzył artykuł na temat wielkiej wygranej w Atlantic City, ale dużo skromniejszy i bez fotografii.

**Młoda mieszkanka Nowego Jorku  
wygrywa w kasynie 5 milionów dolarów!**

## Jeden żeton przyniósł jej fortunę!

Młoda kobieta, która nie życzyła sobie ujawnienia swojego nazwiska, wygrała w sobotę wieczór ponad 5 milionów dolarów (dokładnie 5 023 466) na automacie do gry Little Mermaid, w kasynie w hotelu New Blenheim w Atlantic City. Ta okrągła sumka została wygrana za skromne 2 dolary! Kobieta opowiedziała, że weszła na salę gier i o godzinie 20.45 od razu wsunęła żeton do tego automatu. Oklaskiwana przez wszystkich obecnych w New Blenheim oświadczyła, że za część tej sumy „może kupić sobie nowe auto, ale na pewno nie nowy komputer”. Zdumiony Matthew przeczytał artykuł jeszcze raz, zastanawiając się nad wszystkimi skutkami tego wydarzenia. W gardle czuł suchość, ale czoło pokryły mu krople potu. Próbował wypić łyk kawy, nie mógł jednak jej przełknąć. Zamierzał wstać ze stołka, kiedy na ekranie ujrzał kolejną wiadomość: Od: Emma Lovenstein Do: Matthew Shapiro

A więc, Matthew, co teraz? Emma Co teraz? - odbiło się echem w jego umyśle. Co teraz? Nie miał pojęcia, ale przynajmniej nie był sam.

W tym momencie uprzytomnił sobie coś bardziej istotnego: kiedy Emma wysyłała do niego ten list, Kate jeszcze żyła...

# CZEŚĆ TRZECIA

Pozory

**Dzień czwarty**

**10**

**Dłoń kołysząca dziecko...**

*Dłoń kołysząca dziecko to dłoń,  
która panuje nad światem.*

**WILLIAM WALLACE**

**Boston**

**22 grudnia 2010**

**11.00**

Zawiść.

Żal.

Zazdrość.

Mieszanka uczuć, które ogarnęły Emmę, gdy patrzyła na szczęśliwą rodzinę Matthew Shapiro, miała gorzki smak.

Tego niedzielnego poranka Matthew, jego żona i mała Emily przechadzali się ośnieżonymi ścieżkami Public Garden. Wielki bostoński park był pokryty cienką warstwą sypkiego śniegu, który spadł o świcie. Ten pierwszy śnieg rozjaśnił krajobraz i nadał miastu świąteczny wygląd.

- Chodź na rączki, kochanie! - zawołał Matthew i podniósł córeczkę, żeby jej pokazać wielkiego srebrzystego łabędzia, płynącego za stadem kaczek po gładkiej tafli jeziora. Emma siedziała na ławce kilka metrów dalej i obserwowała całą scenę. Nie starała się ukrywać. Nie było ryzyka, że zostanie rozpoznana, bo „Matthew 2010” nie wiedział, jak ona wygląda. Ba, w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. Była to paradoksalna sytuacja, która wydawała się Emmie nieprawdopodobna, ale i ekscytująca. Reagowała na nią ze spokojem, ponieważ przespała całą noc w autobusie linii Greyhound z Atlantic City do Bostonu. Poprzedniego wieczoru, po wygranej, administracja kasyna poprosiła ją o podpisanie kilku dokumentów.

Musiała dopełnić formalności, by pieniądze mogły zostać przelane na jej konto bankowe.

Przez szyby okien hotelu New Blenheim Emma zauważyła pierwsze płatki śniegu na tle nieba. Ponieważ nie miała najmniejszej ochoty prowadzić auta przez długie godziny przy tak kiepskiej pogodzie, oddała w recepcji kluczyki od wynajętego samochodu, aby zwrócono go do wypożyczalni. Potem taksówką pojechała na dworzec autobusowy, gdzie kupiła bilet do Bostonu. W połowie pustego autobusu opuścił stolicę hazardu na Wschodnim Wybrzeżu o dwudziestej trzeciej piętnaście. Kierowca prowadził spokojnie przez całą noc. Emma otworzyła na moment oczy podczas krótkiego postoju w Hartford, ale całkowicie obudziła się dopiero o ósmej rano, gdy greyhound wjechał do stolicy Massachusetts.

Zatrzymała się w Four Seasons, wielkim hotelu, którego okna wychodziły na park. Z kilkoma milionami dolarów na koncie mogła sobie na to pozwolić. Zadzwoiła do Imperatora, informując, że jest chora i będzie nieobecna przez cały tydzień. Potem wzięła prysznic, kupiła kilka ciepłych ubrań w hotelowym butik i wyszła przejść się krętymi uliczkami Beacon Hill.

Nie miała żadnego konkretnego planu. Tylko pytania.

Czy powinna zaczepić Matthew? Co mu powiedzieć? I jak to zrobić, żeby nie wyjść na wariatkę?

Zanim podejmie decyzję, musi się przyjrzeć temu człowiekowi. Wiedziała już, że wykładowca mieszka w domu z brązowej cegły na rogu Louisburg Square i Willow Street.

Podbił ją wyjątkowy urok dzielnicy. Maszerując po chodnikach wyłożonych kostką brukową, wyobraziła sobie, że jest jedną z bohaterek powieści Henry'ego Jamesa. Cała okolica wyglądała, jakby czas zatrzymał się tu w dziewiętnastym wieku. Witryny sklepów były zdobione malowanym drewnem, gazowe latarnie dawały światło z innej epoki, a wąskie wijące się uliczki prowadziły do tajemniczych ogrodów z bramami z kutego żelaza.

Emma łatwo znalazła dom Shapirów. Był udekorowany girlandami i wieńcami z sosnowych gałęzi ozdobionych szyszkami i wstążkami. Gdy tak czekała prawie godzinę, miała wrażenie czegoś nierealnego: oto stoi w szklanej kuli ze swojego dzieciństwa - tyle że ta jest gigantyczna - którą potrząsnęto w nocy, aby mieniące się płatki śniegu opadły na dachy domów z czerwonej cegły... Wierzyła, że niewidzialna kopuła chroni ją przed atakami i szaleństwem świata...

Okolo dziesiątej drzwi się otworzyły i Emma po raz pierwszy zobaczyła go żywego, z krwi i kości. To był on, Matthew. Na głowie miał wełnianą czapkę. Ostrożnie zszedł po śliskich stopniach ganku, niosąc na rękach córeczkę. Zszedłszy ze schodów, posadził Emily w wózku, nucąc jej refren jakiejś wesołej piosenki. Emma pomyślała, że Matthew wygląda jeszcze lepiej, niż go sobie wyobrażała. Wyczuła w nim tężyznę fizyczną, prawość i siłę - cechy, które przypisywała mu na podstawie jego e-maili. A gdy spostrzegła, jak troszczy się o córkę, wydał jej się jeszcze bardziej pociągający.

Potem w polu widzenia zjawiła się ONA, ta druga kobieta, Kate Shapiro. Młoda i smukła blondynka, nie tylko ładna, ale po prostu.. doskonała. Klasyczna piękność, w aureoli matczynej łagodności, dostojna i tajemnicza: wielkie przejrzyste oczy, jasna cera, pełne wargi, koczek jak u blond bohaterek filmów Hitchcocka...

Przyjąwszy mężnie cios - przy kobietach takich jak Kate Emma czuła się zerem - zaczęła śledzić rodzinę i poszła za nimi aż do bostońskiego Public Garden, parku, który łączył Beacon Hill z Back Bay.

- Spójrz, kochanie! - rzuciła Kate do córki, pokazując jej wiewiórkę z puszystym ogonem, a właściwie sam ogon wystający zza drzewa.

Dziewczynka wyskoczyła z wózka i pobiegła do wiewiórki, ale z rozpędu wywróciła się i zaryła noskiem w sypki śnieg. Bardziej obrażona niż potłuczona wybuchła jednak płaczem.

- Chodź, kochanie, chodź do taty...

Matthew wsadził ją z powrotem do wózka i cała trójka poszła dalej Charles Street w kierunku Boston Common, gdzie w zimie urządzono lodowisko.

Żeby pocieszyć Emily, Kate kupiła u ulicznego sprzedawcy gorące kasztany. Jedli je, patrząc na łyżwiarzy. Jedni kręcili wymyślne piruety, podczas gdy inni padali ciężko na lód.

Ci drudzy wzbudzali wesołość Emily.

- To zawsze śmieszne, kiedy inni się przewracają, a nie ty, prawda, kochanie? - przekomarzał się z nią tata.

Potem powolnym krokiem weszli na wielki trawnik, na którego środku skupiła się większość spacerowiczów. Matthew wziął córkę na barana. Dziewczynka z błyszczącymi oczami podziwiała bogate dekoracje na ogromnej choince, którą w imię wieloletniej tradycji

miasto Halifax ofiarowywało co roku mieszkańcom Bostonu.

Emma przystanęła o kilka kroków od nich, nie spuszczać wzroku z Emily. Oczy lśniły jej jak dziecku. Ale serce zalewała gorycz. Ona nigdy nie zaznała takiej rodzinnej miłości, takiego spokoju, jaki emanował z całej trójki, nie posmakowała uczucia, które łączyło tych dwoje. W czym była gorsza od innych, że nie było jej dane dostąpić podobnej łaski?

## **Boston**

**22 grudnia 2011**

**Noc**

W spodniach od piżamy i T-shircie bostońskich Red Sox Matthew włączył oświetlenie zamontowane na ramie lustra w łazience. Nie mógł zmrużyć oka. Zaschło mu w gardle, serce waliło w piersi jak młotem i okropnie bolała go głowa.

Wyjął z apteczki dwie tabletki ibuprofenu i połknął obie, popijając łykiem wody. Zszedł do kuchni. Od trzech godzin przewracał się z boku na bok, nie mogąc się pozbyć pewnej myśli, która teraz wydała mu się oczywista. Był to szalony pomysł, przyprawiający o zawrót głowy, ale tak wspaniały, że aż nierealny: otóż za wszelką cenę musi nakłonić Emmę, żeby zrobiła co w jej mocy, aby nie doszło do wypadku! Cały czas kołatało mu się po głowie jedno słowo: anastasis. Był to termin, którym Grecy określali zmartwychwstanie. Tak jak w powieści science fiction. Czy faktycznie można zmienić bieg zaistniałych już wydarzeń, a zarazem swój los? Nadzieja była niewielka, ale po prostu musiał zaryzykować.

To szalone marzenie wszystkich ludzi, żeby cofnąć czas, naprawić własne błędy i zapobiec niesprawiedliwości... Matthew przypomniał sobie mit o Orfeuszu, oczami wyobraźni ujrzał siebie, jak gra na lirze, schodzi do piekieł i błaga bogów, by oddali mu ukochaną zmarłą żonę. Kate była jego Eurydyką, ale aby przywrócić ją do życia, desperacko potrzebował pomocy Emmy Lovenstein.

W kuchni panował mrok. Matthew zapalił halogeny pod szafkami kuchennymi z polakierowanego drewna.

Podniósł klapę laptopa, usadowił się na jednym z taboretów i napisał list do Emmy, wkładając w niego całe swoje serce i wiarę.

\*

## **Boston**

**22 grudnia 2010**

Rodzina Shapirów opuściła park Boston Common i ruszyła w kierunku wschodnim. Emma szła za nimi w rozsądnej odległości, próbując zorientować się i zapamiętać, gdzie się znajduje. Boston od razu przypadł jej do gustu: bardziej elegancki i cywilizowany niż Nowy Jork, a przy tym nie tak surowy i o wiele mniej ruchliwy. Niemal na każdym skrzyżowaniu architektura klasyczna zderzała się z nowoczesną, ale przeszłość i teraźniejszość przenikały się w wielkiej harmonii. Wkrótce zbliżyli się do włoskiej dzielnicy North End, gdzie w powietrzu unosił się zapach palonej kawy. Na Hanover Street królowały delikatesy i piekarnie, a na widok ich wystaw ślinka sama ciekła do ust. Czego tam nie było: mozzarella di buffala, karczochy po rzymsku, chrupiące ciasto genueńskie z migdałami, struffoli z miodem, rurki z bitą śmietaną... Matthew z żoną, trzymając się za ręce, weszli do restauracji o wielkich oknach, gdzie potraktowano ich jak starych klientów. TrattoriaThe Factory wyglądała na

modny lokal, już na pierwszy rzut oka widać było, że panuje tu rodzinna, ale i snobistyczna atmosfera. Zaskoczona Emma musiała decydować szybko, weszła więc do środka i poprosiła o stolik.

- Jest pani sama? - spytała kelnerka tonem wyrzutu.

Emma kiwnęła głową. Było jeszcze wcześniej. Lokal dopiero się zapełniał.

- Nie robiła pani rezerwacji, prawda? Drugi wyrzut.

Tym razem Emma nie zareagowała, uderzona arogancją tej dziewczyny o delikatnych rysach i długich prostych włosach, ubranej w szorty, które podkreślały smukłość jej nóg.

- Proszę zaczekać. Zobaczą, czy mamy coś wolnego.

Emma patrzyła, jak dziewczyna idzie przez salę, zachowując się niczym modelka na wybiegu. Żeby poczuć się pewniej, podeszła do baru - cementowego bloku, wzdłuż którego stały metalowe taborety - i zamówiła caipiroskę. Słońce było już wysoko. Sala tonęła w pięknym świetle. Lokal zajmował kilka pięter. Przypominał Emmie niektóre nowojorskie restauracje, z dekoracją w stylu industrialnym, całe w szarościach i surowym drewnie. Na kontuarze wyeksponowano niby dzieło sztuki szynkę parmeńską obok maszyny do krojenia wędlin, a w głębi sali słychać było trzaskający w wielkim piecu chlebowym ogień.

— Proszę za mną! - poleciała dziewczyna, wracając do Emmy. Barman mrugnięciem zasygnalizował, że przyniesie jej drinka do stolika. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności posadzono ją na ławce znajdującej się niecałe dziesięć metrów od Matthew i jego żony.

Zadowolona z tak świetnego punktu obserwacyjnego Emma jednym haustem wypijała drinka i zamówiła następnego, razem z tatarem z dorady i małą pizzą z karczochami i rukolą.

Przymrużyła oczy, żeby lepiej widzieć rodzinę Shapirów. Tworzyli szczęśliwe grono.

Żartowali, byli najwyraźniej w doskonałych humorach. Matthew wygłupiał się, żeby rozweselić córeczkę, a Kate zaśmiewała się z jego żartów. Co za zgrana para! - pomyślała Emma. Narzucało się wręcz określenie, że są dla siebie stworzeni. A mała Emily? E-mi-ly...

Te trzy sylaby brzmiały dla niej bardzo dziwnie. Od zawsze tak chciała nazwać swoją córkę, gdyby ją miała. Ten zbieg okoliczności był bardzo bolesny, czuła się tak, jakby ktoś sypał jej sól na świeżą ranę. Nikomu o tym nie mówiła, nawet swojej terapeutce, ale w ciągu dwóch lat związku z Francois, podczas którego bardzo często spierali się o drobiazgi, w tajemnicy przed wszystkimi starała się zająć w ciążę. Okłamywała kochanka, mówiąc, że bierze środki antykoncepcyjne. Tymczasem dokładnie obliczała sobie, kiedy wypadają jej dni płodne, i organizowała wszystko tak, by kochać się z nim właśnie wtedy. Na początku sądziła, że jej ciąża zmobilizowałaby Francois do odejścia od żony. Później zrozumiała, że to nie miałoby żadnego wpływu na kochanka, ale pragnienie posiadania dziecka nadal w niej tkwiło. Niestety, nie zaszła w ciążę.

Specjalnie się tym wówczas nie przejęła, w końcu miała dopiero trzydzieści trzy lata. Ale któregoś dnia, kartkując w poczekalni gabinetu swojej psychoterapeutki numer „News-weeka”, zwróciła uwagę na artykuł o przedwczesnej menopauzie. Bardzo przejęła się wypowiedziami kobiet, których okres płodny zaczął się kończyć około trzydziestki. Właściwie nie miała powodów do niepokoju. Nie uskarżała się na problemy % miesiączką, jej cykle były regularne. Ale głuchy niepokój dręczył ją jeszcze długo po tej lekturze. Aby przestać się denerwować, kupiła w aptece test sprawdzający zegar biologiczny. Procedura wyglądała bardzo poważnie. Drugiego dnia miesiączki należało zrobić badanie krwi. Próbkę wysyłano następnie do laboratorium, które analizowało trzy rodzaje hormonów, pozwalających obliczyć ilość oocytów i porównać ją z ilością, jakiej można się spodziewać u kobiety w danym wieku.



Tydzień później Emma otrzymała list z wynikami badań i odkryła, że jej rezerwa oocytów równa się rezerwie kobiety ponadczterdziestoletniej! Wiadomość ją zdruzgotała. Powinna była powtórzyć test lub przynajmniej poradzić się ginekologa, zamiast tego odsunęła od siebie problem, który teraz wrócił jak bumerang. Poczowała jednocześnie strach i złość. Dostała dreszczy. Żeby pozbyć się tego wspomnienia, zaczęła jeszcze uważniej obserwować stolik rodziny Shapirów.

Ale irytacja nie mijała. Emma znów poczuła, jak bardzo została pokrzywdzona przez los, powracały do niej pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi. Dlaczego inni potrafią znaleźć swoją drugą połówkę? Dlaczego mają prawo do miłości i do rodziny, której obecność dodaje otuchy? Czy zależy to od zasług, czy od szczęścia, a może od przypadku, czy wreszcie od losu? Co przegapiła w swoim życiu, dlaczego cały czas była samotna, słaba, a na dodatek tak bardzo brakowało jej pewności siebie?

Gestem poprosiła kelnera, żeby uprzątnął jej stolik, i wyjęła laptop. W Bostonie działały wszystkie możliwe sieci i restauracja bezpłatnie udostępniała swoim klientom Wi-Fi. Emma otworzyła pocztę, żeby sprawdzić e-maile.

Tak jak się spodziewała, znalazła wiadomość od Matthew.

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

**Temat:** *Sustine et abstine, czyli cierp i panuj nad sobą*

*Emmo, czy zna Pani tę maksymę stoików?*

*Zachęca ona do akceptacji losu i przeznaczenia. Według tych filozofów chęć zmiany porządku rzeczy narzuconego przez Przeznaczenie to daremny trud. Dlaczego? Ponieważ nie mamy żadnego wpływu na chorobę, upływ czasu czy śmierć bliskiej osoby. Jesteśmy całkowicie bezradni wobec cierpień, jakie zsyła nam los. Możemy je tylko znosić z jak największą pokorą.*

*Staram się tak postępować już od roku - próbuję pogodzić się ze śmiercią mojej żony Kate, miłości mego życia, zaakceptować rzecz niemożliwą do zaakceptowania, zakończyć żałobę, żyć dalej dla mojej córki Emily. Ale wszystko się zmieniło od chwili, gdy stałem się posiadaczem Pani laptopa. Nie lepiej niż Pani rozumiem to dziwne zakrzywienie czasoprzestrzeni. Z pewnością istnieją zjawiska, które opierają się wszelkim wyjaśnieniom logicznym i naukowym, i tego prawdopodobnie oboje doświadczamy. Jak powiedziałby Einstein, „potknęliśmy się w czasie”. Dziś z Pani pomocą być może będę mógł skorzystać z łaski, jakiej jeszcze nikt nie uzyskał od niebios: łaski zmartwychwstania ukochanej osoby. Błagam Panią, Emmo, niech mi Pani pomoże! W Pani rękach jest życie mojej żony. Opowiedziałem już, w jakich okolicznościach zmarła: dwudziestego czwartego grudnia, kilka minut po dziewiątej wieczorem, jakaś rozwożąca mąkę ciężarówka zmiażdżyła mazdę, którą Kate wyjeżdżała z parkingu szpitalnego. Pani, Emmo, może nie dopuścić do tego wypadku. Proszę zrobić wszystko, żeby moja żona nie wsiadła do samochodu! Przedziurawić opony, wsypać cukru do baku, wyrwać kabel zasilania pod maską. Albo znaleźć sposób, żeby tego dnia Kate w ogóle nie poszła do pracy. Proszę zrobić, cokolwiek przyjdzie Pani do głowy, byle tylko ten straszny wypadek się nie wydarzył. Nie tylko zwróci mi Pani żonę, ale przede wszystkim odda Pani matkę mojej córce! Dzięki Pani moja rodzina będzie znów w komplecie. Wiem, że ma Pani szlachetną duszę, nie wątpię w Pani pomoc! Będę za nią wdzięczny do końca życia. Może Pani zażądać ode mnie WSZYSTKIEGO, Emmo. Jeśli*

*pragnie Pani więcej pieniędzy, mogą Pani podać wygrane cyfry na loteri , wyniki notowaoo giełdowych albo rezultaty nadchodzących meczów koszykówki. Pozwolę Pani wygrać każdą sumę, której Pani zażąda.*

*Całuję Panią serdecznie*

*Matt*

Emma wpadła we wściekłość. Nie mogła się opanować i z miejsca odpisała, przelewając na ekran całą swoją złość i frustrację.

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

**Temat:** *Sustine et abstine*

*Nie chcę żadnej forszy, ty idioto!*

*Pragnę miłości, rodziny!*

*Pragnę rzeczy, których nie można kupić!*

Ledwo kliknęła, żeby wysłać e-mail, spostrzegła, że Matthew z rodziną wyszli z restauracji. Zamknęła laptop i poprosiła o rachunek. Nie miała gotówki, tylko kartę kredytową, ale w związku z tym dość długo czekała, zanim kelner przyniósł ją z powrotem.

\*

Wypadła z restauracji na North Square i znalazła rodzinę Shapirów spacerującą po Hanover Street. Szła za nimi aż do esplanady, pełnej trawników, drzew, fontann, wodotrysków i latarni. Po piętnastu latach Boston znalazł wreszcie sposób, by ukryć autostradę, która niezwykle szpeciła miasto. Osiem pasów jezdni biegło teraz pod ziemią, ukryte w trzewiach miasta, a na powierzchni pojawiło się w ich miejsce mnóstwo zielonych wysepek poprzedzielanych ścieżkami dla spacerowiczów.

Emma kontynuowała śledzenie całej trójki aż do skrzyżowania Cambridge i Tempie Street.

Przy przejściu dla pieszych Matthew i Kate pocałowali się szybko i rozstali - każde ruszyło w swoją stronę. Zaskoczona Emma zawahała się. Doszła jednak do wniosku, że Matthew z córką wracają do domu w Beacon Hill, i postanowiła pójść za Kate, która minęła strzelisty Old West Church, kierując się do nowocześniejszej dzielnicy, tam, gdzie zimne refleksy szkła i stali zwyciężyły w walce ze spatynowanym urokiem czerwonych cegieł. Emma uniosła głowę: oto znajdowała się przy głównym wejściu do MGH - Massachusetts General Hospital, jednego z największych i najstarszych szpitali w kraju.

Była to budowla z licznymi aneksami, budynki stały tu jeden obok drugiego bez żadnej harmonii ani widocznej logiki. Zapewne z biegiem lat szpital rozbudowywał się tak jak dynamicznie rozwijające się miasto. Obok najstarszego, pierwszego, budynku stawiano kolejne, coraz bardziej okazałe i coraz wyższe. Ten medyczny kompleks nie był zresztą wcale skończony: wielki betonowy szkielet wystawał z ziemi pośród dźwigów, kontenerów, koparek i baraków dla robotników.

Żona Matthew ze swobodą poruszała się po tym mało przyjaznym terenie. Szła w kierunku ogromnego sześcianu z turkusowego szkła: tam mieścił się Instytut Kardiologii. Weszła żwawo po schodach, i znikła za rozsuwającymi się automatycznie drzwiami. Emma odgadła, że Kate zaczyna dyżur.

Co teraz? Wiedziała, że nie uda jej się wejść do środka. Szybko by zauważono, że nie

należy do personelu, i wyproszono by ją. Zresztą po co miałyby tam wchodzić? Już chciała zrezygnować z dalszego śledzenia lekarki, ale ciekawość okazała się silniejsza. Nagły napływ adrenaliny do żył pozbawił ją zahamowań i dodał odwagi. Obejrzała się i wpadła na pewien pomysł. Mimo że była niedziela, na parkingu w podwójnej linii stało mnóstwo ciężarówek dostawczych. Drzwi samochodów były szeroko pootwierane, wyładowywano z nich żywność, leki, środki czystości, pościel wracającą z pralni... Panowało ogromne zamieszanie.

Podeszła do furgonetki stojącej na samym końcu i wsunęła głowę do środka. Zobaczyła wielkie kosze pełne prześcieradeł, koszul dla pacjentów i fartuchów lekarskich. Podniosła wzrok, starając się wypatrzeć kierowcę. Z pewnością stał w grupce mężczyzn, którzy odpoczywali obok dystrybutorów z napojami. Zagadani, nie zwracali na nic uwagi. Z bijącym sercem wyciągnęła rękę i wzięła jeden fartuch. Był męski, więc dwa razy za duży, ale dobre i to. Podwinęła rękawy, po czym weszła na oddział kardiologii.

\*

Jasna, przestronna sala recepcyjna kontrastowała z zamieszaniem na zewnątrz. Zadbano o naturalny wystrój: bambusy, storczyki, rośliny tropikalne, kaskada wody spływająca wzdłuż ściany wyłożonej łupkiem - wszystko to, by stworzyć nastrój spokoju i kontemplacji.

Kate stała pośrodku holu, zagłębiona w rozmowie z koleżanką, ale już po chwili wbiegała po kolejnych schodach, pokazując swój identyfikator strażnikowi pilnującemu wejścia do pomieszczeń dla lekarzy.

Nie posiadając cennej przepustki, Emma chwyciła broszurę leżącą na półce. Jak na kursach teatralnych, na które chodziła jako nastolatka, starała się upodobnić do otaczających ją ludzi. Z plecakiem, w białym lekarskim fartuchu i ze zdecydowanym wyrazem twarzy niewiele się różniła od stażystów i lekarzy kręcących się wokół.

Spuściła oczy i wbiła je w broszurę, jakby zapoznawała się z dokumentami pacjenta przed operacją. Strażnik nawet na nią nie spojrzał, poszła więc za Kate aż do kafeterii dla pracowników szpitala.

Lekarka usiadła przy stoliku, przy którym siedziało już dwoje stażystów: ładna Metyska o delikatnej twarzy i atletycznie zbudowany przystojniak, którego łatwiej było sobie wyobrazić w stroju piłkarza niż ze zwisającym z szyi stetoskopem.

Emma usiadła przy stoliku obok. Kate z poważną miną przywitała się ze stażystami.

Najwyraźniej była ich opiekunką. Zaproponowali jej kawę, ale odmówiła i ostrym tonem zaczęła recytować litanie wyrzutów, bezpardonowo podkreślając błędy studentów. Zarzucała im lenistwo, dyletanctwo, mówiła, że są niekompetentni i wręcz niebezpieczni dla pacjentów, a ich praca jest nic niewarta i właściwie poniżej wszelkiej krytyki. Dwoje stażystów z twarzami, na których malowała się konsternacja, niezdarnie odpierało jej argumenty, ale ich linia obrony była zbyt słaba, by mogli stawić czoło gwałtownym atakom Kate, która zresztą po chwili raptownie podniosła się z krzesła, dając do zrozumienia, że audiencja się skończyła. Na pożegnanie nie omieszkała zagrozić:

- Jeśli radykalnie nie zmienicie waszego podejścia, jeśli nie uświadomicie sobie, że musicie zacząć naprawdę ciężko pracować, możecie na zawsze pożegnać się z marzeniami o chirurgii.

W każdym razie ja nie będę miała żadnych wyrzutów sumienia, nie zaliczając wam tego stażu!

Popatrzyła im prosto w oczy, by się upewnić, że pocisk trafił w cel, a następnie odwróciła się i poszła do windy.

Tym razem Emma zrezygnowała z dalszego śledzenia. Została przy stoliku, żeby nie uronić ani słowa z rozmowy stażystów, którzy dawali upust swojemu rozgoryczeniu: - Co za zdzira! Co najmniej tak wstrętna, jak seksowna!

- Świetny tekst, Tim. Trzeba było jej to powiedzieć, zanim odeszła.

- Cholera, Melisso! Zasuujemy po osiemdziesiąt godzin tygodniowo, a ona mówi, że się obijamy?

- No tak, jest bardzo wymagająca. Ale nie tylko wobec innych, również wobec siebie! Jest jedyną szefową oddziału, która sama bierze dyżury...

- To nie powód, żeby traktowała nas gorzej niż niewolników! Za kogo, do cholery, się ma?!

- Za kogoś, kim bez wątpienia jest. Ta kobieta to najlepszy chirurg w całym szpitalu. Chyba słyszałeś, że dostała trzy tysiące dwieście punktów na MCAT\*? To najwyższa nota od czasu wprowadzenia tego testu. Do dziś nikt nie pobił jej rekordu.

- Naprawdę uważasz, że jest wyjątkowa?

- Z pewnością jest piekielnie inteligentna - przyznała Melissa z niechęcią w głosie. - Zastanawiam się, jak znajduje czas na to wszystko: pracuje tu, w Instytucie Kardiologicznym, kieruje oddziałem chirurgii dziecięcej, który sama stworzyła w Jamaica Plain, wykłada, pisze artykuły do najbardziej prestiżowych czasopism medycznych, jest zawsze na bieżąco ze wszystkimi najnowszymi technikami operacyjnymi...

- Widzę, że ją podziwiasz!

- Jasne! A poza tym jest kobietą...

- Nie bardzo rozumiem, co to zmienia.

- To zmienia wszystko. Nigdy nie słyszałeś o „pracy na dwóch pełnych etatach”? Musi przecież zająć się swoją rodziną: mężem, córką, domem...

Tim przeciągnął się na krześle i ziewnął szeroko.

- Dla mnie ta baba to Robocop.

Melissa spojrzała na zegarek i wypila ostatni łyk kawy.

- Daleko nam do niej i raczej nigdy jej nie dościgniemy - oświadczyła trzeźwo, wstając z krzesła. - Ale właśnie o to mam do niej żal, ona po prostu nie rozumie, że nie każdy jest taki zdolny.

Westchnęli głęboko i powolnym krokiem ruszyli ku windom, najwyraźniej niespecjalnie zmotywowani, żeby wrócić do pracy.

Emma, zostawszy sama, podejrzliwie obejrzała się za siebie. Dostyc już się dowiedziała.

Lepiej uciekać, zanim ktoś mnie tu nakryje, pomyślała. Chwyciła plecak, ale nie mogła się oprzeć pokusie i postanowiła zajrzeć do poczty elektronicznej. Znalazła zupełnie nową wiadomość od Matthew...

\* Medical College Admission Test - standardowy test wstępny dla kandydatów na studia medyczne w USA.

11  
Rodzaj wojny

*Miłość to rodzaj wojny.*  
OWIDIUSZ

**Od:** *Matthew Shapiro*

**Do:** *Emma Lovenstein*

*Nie rozumiem Pani złości, Emmo.*

*Jest to dla mnie wręcz dziwne i nie na miejscu.*

*Jak Pani może odmówić mi pomocy?*

*Matt*

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

*Nie napisałam, że Panu nie pomogę!*

*E.*

**10 sekund później:**

*Ale nie zadeklarowała Pani również, że mi pomoże.*

*Jeśli nie zapobiegnie Pani wypadkowi Kate, będzie*

*Pani współwinna jej śmierci!*

**10 sekund później:**

*Proszę przestać pisać do mnie w taki sposób i*  
*wywoływać we mnie poczucie winy!*

*Ale tu chodzi o życie mojej żony, szalona kobieto!*

*Niech mnie Pan nigdy więcej nie nazywa szaloną!*

*Więc niech Pani zrobi to, o co Panią proszę!*

*Bo co, jeśli tego nie zrobię? Pójdzie Pan na policję?*

*Przyjdzie Pan do mnie do domu w 2011?*

*To raczej niemożliwe...*

*Dlaczego?*

**2 minuty później:**

*Bo w 2011 Pani nie żyje, Emmo.*

*Czemu Pan tak mówi?*

*Bo to niestety prawda.*

*Kłamie Pan...*

**1 minuta później:**

*Kłamie Pan!*

Zaskoczona Emma czekała na kolejny e-mail.

Przyszedł po pięciu minutach, ale był to tylko załącznik w PDF. Otworzyła go z lękiem. Na ekranie pokazał się artykuł z „White Plains Daily Voice”, lokalnej gazety małego miasta pod Nowym Jorkiem.

## **Dramat w White Plains** **Młoda kobieta rzuciła się pod pociąg**

Młoda trzydziestoczteroletnia kobieta popełniła samobójstwo, wczoraj kilka minut po trzeciej po południu rzucając się pod pociąg w White Plains. North Railroad lini Wassaic - Nowy Jork przejechał kilometr od dworca, gdy na zakręcie jakaś kobieta rzuciła się pod lokomotywę. Zaskoczony maszynista próbował zahamować, ale nie był już w stanie zapobiec nieszczęściu. Policjanci i sanitariusze, którzy dotarli na miejsce wypadku w tym samym czasie, mówią, że długo nie zapomną makabrycznego widoku zmiażdżonych zwłok młodej kobiety leżących na torach.

Ofiara, Emma L, mieszkanka Nowego Jorku, została szybko zidentyfikowana dzięki dokumentom, jakie miała przy sobie, jak również dzięki listowi pożegnalnemu, który znaleziono w jej portfelu.

Wyjaśniła w nim, dlaczego zdecydowała się na tak desperacki krok.

Młoda kobieta była niezrównoważona psychicznie i od kilku lat uczęszczała na terapię.

Z powodu wypadku na ponad dwie godziny wstrzymano ruch pociągów w obu kierunkach, tyle czasu trwało wdrożenie procedury sądowej i usunięcie ciała z torów. Ruch pociągów na Harlem Linę został przywrócony dopiero po godzinie siedemnastej.

*„The White Plains Daily Voice” - 16 sierpnia 2011*

\*

Emma poczuła, że się dusi. Przeszył ją dreszcz. Ogłuszona wiadomością zamknęła laptop i pośpiesznie opuściła szpital. Na parkingu zaczęła biec, jakby chciała umknąć goniącej ją śmierci. Przed oczami miała mgłę. Zagubiona, ogarnięta paniką, błędziła ulicami ze schyloną głową, sparaliżowana strachem. Promienie słoneczne, odbijając się od śniegu i mieszając z jej łzami, oślepiały ją, świat wokół niej jakby zatracił swoje kształty. Potrącając przechodniów, przebiegła na drugą stronę szerokiej alei, lawirując między przejeżdżającymi samochodami i wywołując koncert klaksonów i przekleństw. U kresu sił weszła do pierwszej napotkanej kafejki.

Opadła na krzesło przy stoliku w głębi sali i próbowała wziąć się w garść. Gdy podeszła do niej kelnerka, Emma wytarła oczy, zdjęła płaszcz i zamówiła wódkę z tonikiem. Zanim dostała drinka, gorączkowo przeszukała torbę, by znaleźć swoje lekarstwa. Na szczęście zawsze miała przy sobie podręczną apteczkę. Znała te leki i zalecane dawki: dwie tabletki benzodiazepiny i kilka kropel chloropromazyny. Połknęła ten koktajl neuroleptyków i leków przedwiekowych i - o magio chemii! - prawie natychmiast się uspokoiła, przynajmniej na tyle, żeby wyjąć laptop i przeczytać jeszcze raz notatkę informującą o jej samobójstwie.

To było bardzo dziwne: dowiedzieć się z popołudniówki o własnym samobójstwie...

Dziwne, ale nie zaskakujące. Tak więc kolejny raz targnęła się na życie i tym razem jej się udało. Przynajmniej, moja droga, uczysz się na własnych błędach, pomyślała cynicznie. To

prawda, że skok pod pociąg jest bardziej skuteczny niż zażycie tabletek lub podcięcie sobie żył...

Spojrzała na datę artykułu: popełniła samobójstwo piętnastego sierpnia. W samym środku lata. Lato było okresem, którego najbardziej nie lubiła, odkąd zamieszkała w Nowym Jorku.

Wilgotny, duszący upał zawsze wywoływał u niej uciążliwe migreny, które bardzo pogarszały jej nastrój.

Ale co tam data... Już od tak dawna żyła z myślą o samobójstwie, że prędzej czy później to musiało się zdarzyć. Przypomniała sobie pierwszą próbę i stan, który ją do tego doprowadził.

Będzie to zawsze pamiętała. Tak strasznie cierpiała psychicznie i nie umiała nad tym zapanować. Tonęła w rozpacz. Ogarnęło ją uczucie ekstremalnej samotności, bezradność i totalna panika. Jej świadomość zaanektowały wyłącznie ponure myśli i nie potrafiła ich odrzucić. Próba samobójcza, którą wtedy podjęła, nie miała w sobie nic racjonalnego. W ostatnim odruchu po prostu zrezygnowała z walki, wybrała pozorną „wolność”.

Emma zamknęła komputer, wydmuchała nos w papierową serwetkę i zamówiła następnego drinka. Teraz już naprawdę zadziałały leki. Wszystkie te substancje chemiczne, które pochłaniała od lat, miały przynajmniej tę zaletę, że działały szybko i że w każdej chwili mogła się podeprzeć nimi jak kulami, żeby nie upaść. Spróbowała spojrzeć na wszystko pod innym kątem. A gdyby ten szok był czymś zbawiennym? Skoro dowiedziała się o własnej śmierci, może potraktować to jako szczęśliwy los, jeszcze jedną szansę! Ona też jest w stanie zmienić przyszłość. Nie miała najmniejszej ochoty popełnić samobójstwa, nie chciała skończyć zmiażdżona przez pociąg. Zwycięży w walce ze swoim demonem! Doskonale wiedziała, co jest jej piętą achillesową, źródłem wszystkich niepokojów. Unicestwiało ją uczucie wyobcowania, wrażenie, że została porzucona. Przypomniała sobie cytat z Emily Dickinson, który umieściła na pierwszej stronie swojego notesu, gdy była w liceum: Żeby nawiedziły cię strachy, nie potrzeba ciemnego pokoju ani opuszczonego domu, mózg posiada wystarczająco zawiłe i ciemne korytarze. Emma bała się samotności i tak bardzo potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, jakie daje udany związek. Co wieczór coraz bardziej ciążył jej fakt, że w domu, do którego wraca, nikt na nią nie czeka. Brakowało jej zorganizowanego życia, silnego mężczyzny, który by się o nią zatroszczył, dziecka, rodziny. Od dawna czekała na kogoś, kto mógłby ją zrozumieć. Ale nikt taki się nie pojawił i Emmę męczyła pewność, że taki już jej los. Jest sama dziś, będzie sama jutro i pojutrze. I sama umrze.

Jednak tego popołudnia coś zachęcało ją do tego, by nie rezygnowała. Nagle jasno ujrzała swój ideał: chciała mieć takie życie jak Kate Shapiro.

A dokładnie - pragnęła życia Kate Shapiro.

Chciała zająć jej miejsce.

Myśl ta kiełkowała i powoli rosła, aż Emma poczuła się wstrząśnięta, ale i zafascynowana.

Przypomniała sobie początek całej tej historii. Zaczęło się od rozmowy na odległość, podczas której zdobyła sympatię Matthew. A więc spodobała mu się taka, jaka była!

Spodobała mu się do tego stopnia, że już następnego dnia zaprosił ją do restauracji! Nie zawahał się przylecieć do Nowego Jorku tylko po to, żeby zjeść z nią kolację! Teraz była pewna, że gdyby mogli się spotkać, tak jak to planowali, z pewnością zakochałoby się w sobie. Ona, Emma, zastąpiłaby w jego sercu Kate. Byłaby dobrą matką dla Emily. Kochającą żoną dla Matthew...

Ale Kate żyła.

Z tym że już niedługo.

Emma stłumiła poczucie winy.

To przecież nie ona zdecydowała o tej śmierci.

To los, przypadek, życie. Może Bóg, jeśli istnieje...

Upiła łyk alkoholu, nie przerywając swoich rozważań. Kiedy była w stanie podobnego poruszenia, zewsząd atakowały ją myśli, które dopiero po chwili, niczym fragmenty puzzli, układały się w spoisty wzór. Tym razem chodziło o plan wyjątkowej bitwy. Zaczynał się od prostego założenia: „Matthew 2011” nie miał nad nią żadnej władzy, ponieważ w 2011 roku już nie żyła. Okazuje się, że niekiedy można odnieść korzyść z własnej śmierci. Emma stała się nietykalna. Matthew nie mógł na nią wyrzucić żadnej presji, zmusić do uratowania Kate.

A ona wcale nie zamierzała ratować Kate.

Pozwoli na to, żeby doszło do wypadku. Nie będzie czytała e-maili od Matthew, wróci do Nowego Jorku i poczeka, aż minie ten czas. Poza tym wcale nie popełni samobójstwa w sierpniu przyszłego roku, ponieważ ma wreszcie wystarczający powód, by żyć!

Teraz już wiedziała, w jaki sposób Matthew wszedł w posiadanie jej laptopa. Ale jeśli ona nie popełni samobójstwa, to jej brat nie odziedziczy po niej rzeczy, nie będzie mógł więc sprzedać komputera i Matthew go nie kupi! Co oznacza, że nie nawiążą kontaktu e-mailowego w grudniu 2011 roku.

Czy ten scenariusz miał sens? Sytuacja, w jakiej znajdowała się obecnie, zaprzeczała wszelkiej logice. Gdy oglądała filmy lub czytała powieści science fiction, niewiele rozumiała z paradoksów czasowych, lecz jej brat, który wykładał fizykę na uniwersytecie, twierdził, że niektórzy naukowcy są przekonani o istnieniu świata równoległego, a nawet wielu takich światów, w których wydarzenia przebiegają na różnych liniach czasu.

Istniała zapewne jakaś „linia czasu”, na której mogłaby spotkać Matthew jako wdowca, a on nie pamiętałby o ich poprzednich kontaktach. Rozkochałaby go w sobie i zadbała o jego córeczkę.

Zadowolona, postanowiła trzymać się tego planu. Zapłaciła rachunek i wróciła do hotelu.

Jeszcze nie zapadł wieczór, ale zaciągnęła zasłony w oknach. Kręciło jej się w głowie. W obawie przed nową gonitwą myśli, połknęła dwie kolejne tabletki leków przeciwbólowych i położyła się do łóżka.

\*

## 2011

- Tato, mogę obejrzeć Pogromców duchów? - Emily leżała na kanapie przed telewizorem i zamiast obiadu pochłonęła już dwie paczki M&M'sów.

- Widziałas ten film z dziesięć razy! - Tak, ale uwielbiam go oglądać, gdy jesteś obok, bo wtedy w ogóle się nie boję!

- Zgoda - skapitulował Matthew.

Z daleka obserwował, jak córeczka wkłada DVD do odtwarzacza i włącza film sama, „jak dorosła”. Był pierwszy dzień ferii świątecznych. Emily wstała późno. Jeśli Matthew postanowił pozwolić jej dziś na więcej - czy chodziło o cukierki, czy o telewizję - zrobił to bardziej dla własnej wygody niż z przekonania. Niemal całą jego uwagę absorbowała Emma Lovenstein.

Miał do siebie ogromną pretensję. Zbyt późno zrozumiał, jak wielkim błędem było rozwścieczenie jedynej osoby, która mogła uratować jego żonę. Dlaczego pozwolił sobie na takie zachowanie, wiedząc, że Emma jest nadwrażliwa? Wysłał jej dwa e-maile z



przeprasynami, ale nie odpowiedziała. Miał do czynienia z nieobliczalną kobietą, która prawdopodobnie niedługo wymknie się zupełnie spod jakiejkolwiek kontroli. W dodatku była w dużo lepszej sytuacji od niego, ponieważ mogła wpłynąć na wydarzenia z przyszłości, podczas gdy on nie miał już wpływu na nic. Teraz był skazany na oczekiwanie, aż panna Emma Lovenstein zechce się z nim ponownie skontaktować.

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Był dwudziesty drugi grudnia. Zostały mu już tylko dwa dni, by zapobiec wypadkowi, w którym stracił Kate. Zamknął oczy i objął głowę rękami, starając się bardziej skupić. Z pewnością obecnie Emma nie żyła, ale może byli jeszcze jacyś ludzie, na których jej zależało, i poprzez których mógłby wyrzucić na nią presję. Tylko kto? Jej brat Daniel? Chyba nie. Jak się zorientował, rodzeństwo chyba za sobą nie przepadało. Rodzice? Daniel powiedział mu, że matka nie żyje, a ojciec ma zaawansowanego alzheimera.

Przyjaciele? Najwyraźniej Emma nie miała przyjaciół.

„To jedyna istota, która mnie nigdy nie zdradziła!” - przypomniał sobie słowa Emmy, jakby ona sama wyszeptała mu je do ucha. Jej pies! Słynny Clovis! Shar pei wciąż żył! Ta myśl dodała mu otuchy. Znalazł doskonały sposób, aby zaszantażować Emmę! Wstał z taboretu i pilotem zgasił telewizor.

- Biegnij się szybko ubrać, córeńko, wychodzimy na spacer!

- Ale film..

- Obejrzysz go wieczorem, kochanie!

- Ale ja chcę teraz...

- A jeśli ci powiem, że idziemy po małego pieska, którym się zaopiekujemy w czasie ferii? Dziewczynka podskoczyła z radości.

- Naprawdę, tato? Będziemy mieli pieska? Już od tak dawna marzę o psie! Dziękuję, tatusiu!

\*

-- Chcecie, żebym wam pomogła porwać psa?

- Tak, April. Bardzo liczę na twoją pomoc w tej delikatnej operacji - potwierdził Matthew.

- Cóż to za pomysł? - spytała, wstając od biurka.

- Opowiem ci wszystko w samochodzie - obiecał.

- I do tego bierzemy mój samochód?

- Raczej trudno by mi było przewieźć tego psa na bagażniku roweru.

Matthew wpatrywał się błagalnie w April, trzymając za rękę córeczkę, na podłodze przed nimi stała skrzynka z narzędziami.

- Wiesz, że możemy za to pójść do więzienia, Matt?

- Będziemy na tyle sprytni, że nie damy się złapać. Dzięki twojemu seksownemu umysłowi.

- Jeśli sądzisz, że tego rodzaju komplementami...

- Chodźmy już! To dla mnie bardzo ważne.

- Rozumiesz, że pies może ugryźć?

- To jest mały pies.

- To znaczy?

- Może pamiętasz, to ten pies brata Emmy Lovenstein, widziałas go podczas wyprzedaży, którą zorganizował na trawniku przed swoim domem.

- Ten shar pei? No pewnie, że pamiętam! To wcale nie jest mały pies. Ten kloc waży co najmniej trzydzieści kilo!

Emily puściła rękę ojca, podbiegła do April i objęła ją w talii.

- Proszę cię, April, pomóż nam! Pomóż! Już od tak dawna chcę mieć pieska! Proszę cię, proszę!

April spojrzała na Matthew z wyrzutem.

- Nie masz prawa manipulować dzieckiem dla własnej korzyści! - rzuciła, chwytając swój płaszcz.

\*

Matthew usadowił się za kierownicą chevroleta April. Wyjechali z centrum Bostonu w kierunku Belmont.

- No dobrze, możesz mi teraz wszystko wytłumaczyć?

Matthew zaczekał, aż stanęli na światłach. Wtedy odwrócił się i wręczył Emily MP3.

- Chcesz posłuchać muzyki, kochanie?

Oczywiście Emily bardzo chciała posłuchać muzyki. Zaczekał, aż córka nałoży słuchawki na uszy, i dopiero wtedy objaśnił April, jakie ma zamiary. Kiedy skończył opowiadać, jego współpracowniczka podsumowała sytuację:

- Więc myślisz, że porwanie tego biednego psa zwróci ci żonę?

- Tak, w pewnym sensie, jak już ci wytłumaczyłem.

- Nie wierzę w tę historię z komputerem, który umożliwia porozumiewanie się z ludźmi żyjącymi w przeszłości.

- A jak wyjaśnisz nagranie z monitoringu w restauracji Vittoria, artykuł o kasynie...

- Nie mam zamiaru nic wyjaśniać! - ucięła April. - Pomagam ci, bo jesteś moim przyjacielem, ale uważam, że nikomu nigdy nie udało się ożywić osób zmarłych i że nikomu to się nigdy nie uda. Kate nie żyje. Nigdy już jej nie zobaczysz, Matt, i wierz mi, bardzo ci współczuję z tego powodu. Zgoda, jej śmierć cię załamała, nadchodzi jednak moment, gdy trzeba pozwolić ludziom odejść. Nie upieraj się przy tym głupim pomysle, błagam cię. Już było z tobą zupełnie dobrze! Wszystko zawaliło się, gdy kupiłeś ten laptop. Jeśli nie zrezygnujesz, wyrządzisz jeszcze większą krzywdę nie tylko sobie, ale przede wszystkim swojej córce!

Matthew posłał przyjaciółce ponure spojrzenie i milczał aż do Belmont. Tak jak poprzedniego dnia zaparkował samochód w niewielkiej willowej dzielnicy przed domem wyłożonym drewnianym sidingiem. Na szczęście siedząca z tyłu Emily zasnęła. Matthew i April wyszli, żeby się rozejrzeć. Była czwarta po południu. Ulica świeciła pustkami. Matthew podszedł do bramy i zadzwonił, chcąc się upewnić, że nikogo nie ma. Odpowiedziało mu wyłącznie szczekanie shar peia, który - jak przystało na dobrego obronnego psa - wybiegł do bramy, żeby odstraszyć nieproszonych gości.

- Cześć, Clovis! - rzucił Matthew.

- To nie tylko nie jest mały pies, ale jeszcze wszczyną alarm na całą dzielnicę! Dobra, masz przynajmniej jakiś plan?

- Oczywiście - odparł Matthew i wyjął z kieszeni płaszcz plastikową torebkę.

- Co to jest? Ale śmierdzi! To jakieś świństwo!

- Dwa rozmrożone w mikrofalówce hamburgery, z których ulepiłem kulki...

- I dodałeś środków nasennych - skończyła za niego April. - Niezwykle oryginalne.

- Lekarz mi je przepisał po śmierci Kate. Miałem jeszcze kilka tabletek.

- To się nie uda. Masz jakiś plan B?

- Oczywiście, że się uda.

Pokręciła głową.

- Zakładając, że pies nie zwymiotuje twoich klopsików i że udało ci się odmierzyć właściwą dawkę, minie sporo czasu, zanim zwierzak zaśnie, a i potem może być tylko oszołomiony. Tymczasem wróci właściciel albo sąsiedzi wezwą policję...

- Nie bądź taką pesymistką. No, robię próbę - oświadczył Matthew, przerzucając dwie spore kulki mięsa za ogrodzenie.

Clovis obwąchał je sceptycznie. Z lekką pogardą odgryzł i połknął połowę jednej z nich, ale niewystarczająco zachęcony zapachem zostawił resztę i zaczął szczekać jeszcze głośniejsze.

- A nie mówiłam?

- Zaczekajmy chwilę w samochodzie - zaproponował Matthew.

Czekali w milczeniu trzy długie kwadransy bez żadnego rezultatu. Pies najwyraźniej postanowił sobie z nich zadrwić, był niczym wierny Cerber, pełniący straż przy wejściu do piekieł. Powoli zapadał wieczór. Oni sami zaczęli już przysypiać w samochodzie, kiedy psychodeliczny dzwonek telefonu April wyrwał ich z drzemki. April nie odebrała, ale Emily drgnęła i obudziła się.

- Dojechaliśmy, tato? Jesteśmy już u pieska? - spytała, przecierając oczy.

- Tak, kochanie, ale nie jestem pewien, czy piesek chce z nami pójść.

- Obiecałeś... - powiedziała dziewczynka i rozplakała się.

Matthew westchnął i potarł czoło.

- Sam tego chciałeś - rzuciła April tonem pełnym wyrzutu. - To cię nauczy, żeby... - Urwała, wyglądając przez przednią szybę. - Hej, Matt, gdzie się podział ten kundel?! - wykrzyknęła.

Matthew spojrział w stronę posesji. Wystarczyła krótka chwila nieuwagi, by Clovis nagle znikł.

- Nie wiem, pójdę sprawdzić!

Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął skrzynkę z narzędziami. Wybrał duże obcęgi do cięcia drutu.

- Zostawiam bagażnik otwarty! - uprzedził. - Na wszelki wypadek włącz silnik.

Podszedł do ogrodzenia, przeciął obcęgami drucianą siatkę i wszedł na trawnik. -- Clovis! - zawołał. Ostrożnie zbliżył się do ganku.

- Clovis! Grzeczny piesek, grzeczny... Nikogo.

Obszedł dom dokoła. Pies leżał bez ruchu obok wielkiej budy z pomalowanego drewna.

Cholera, mam nadzieję, że żyje, pomyślał Matthew. Ukłąkł i podniósł bezwładne zwierzę.

Choroba, waży chyba ze trzy tony! - zaklął w duchu. Zrobił kilka kroków z psem w ramionach. Shar pei zaczął się niemrawo ruszać. April miała rację - środki nasenne tylko go oszołomiły. Ale mimo że się obficie ślinił, nie wykazywał ochoty do gryzienia. Matthew zaczął biec w kierunku dziury w siatce. Wydostał się jakoś, taszcząc psa, następnie włożył go do bagażnika i wsiadł do samochodu obok April.

- Ty prowadź! Jedziemy! - wykrzyknął.

- Brawo, tatau, brawo! - klaskała Emily, gdy chevrolet ruszał z piskiem opon.

\*

## 21.00

W drodze powrotnej zatrzymali się w sklepie zoologicznym, gdzie kupili smycz, suchą karmę i miskę. Gdy już znaleźli się w domu, pies się dobudził. Matthew spodziewał się najgorszego: wycia, agresywnego szczekania, a nawet ataku. Tymczasem Clovis otworzył

oczy, wydał z siebie kilka chrząknięć, przeturlał się po podłodze, po czym nonszalancko usadowił na kanapie, jakby od zawsze mieszkał w tym domu. Gdy całkowicie doszedł do siebie, zrobił obchód salonu. Patrzył bystro, wszystkie jego odruchy były normalne. Bawili się z nim i pieścili go przez cały wieczór. Emily była wniebowzięta. Matthew miał trudności z położeniem jej do łóżka. Musiał wielokrotnie obiecać, że Clovis nie zniknie następnego dnia, i dopiero wtedy zgodziła się pójść do swojego pokoju. Wróciwszy do salonu, usadowił się przed komputerem i przeszedł do drugiego etapu planu.

- Chodź, Clovis, chodź do pana! - przywołał psa, wymachując mu przed nosem miską z karmą. Pies wskoczył na krzesło, na którym Matthew położył uprzednio kilka poduszek, żeby zwierzę znalazło się na odpowiedniej wysokości.

- Patrz na ekran! Zobaczysz kogoś, kogo dawno nie widziałeś! Uśmiechnij się ładnie!

Włączył na laptopie aplikację wideorozmowy, wprowadzając swoje hasło. Dzięki oku kamery na ekranie pojawili się obaj: i on, i pies. Następnie wprowadził adres Emmy, kliknął i czekał. Jeden dzwonek... Drugi... Trzeci...

\*

## 2010

Emma z trudem wybudziła się z głębokiego snu, w który zapadła po zażyciu leków. Zerknęła na komórkę, ale to nie ona dzwoniła. Dzwonił laptop, którego nie wyłączyła wieczorem. Sprawdziła, która godzina, a potem odsunęła na bok kołdrę, wstała i podeszła do biurka. Na ekranie migotała ikonka „Face-Time”, zawiadamiając o przychodzącym połączeniu od Matthew Shapiro. Nigdy jeszcze nie używała tej aplikacji, ale kliknęła, żeby odebrać.

Nieoczekiwanie ujrzała na ekranie własnego psa! To był Clovis, ze swoją pomarszczoną mordą, głową hipopotama, małymi, i głęboko osadzonymi oczkami i pofałdowanym umięśnionym cielskiem, które upodabniało go do wielkiej pluszowej zabawki.

- Clovis! - wykrzyknęła. Co jej pies robił w dwa tysiące jedenastym roku w mieszkaniu Matthew Shapiro?

Nagle kamera przesunęła się w lewo i Emma ujrzała tors i twarz Matthew.

- Dobry wieczór, Emmo. Jak się pani czuje? Czy jest już pani spokojniejsza? - Co pan wyrabia, na Boga?!

- Jak pani widzi, zaprzyjaźniłem się z pani pieskiem. Co pani o nim powiedziała? Ach, tak... że jest jedyną istotą na świecie, która pani nigdy nie zdradziła. Zależy pani na nim, prawda?

- Ty parszywy...

- No, no, nie popadajmy w wulgarność! Mnie zależy na mojej żonie i myślę, że nie doceniła pani mojej determinacji.

Matthew wyciągnął rękę i podniósł coś z kuchennego blatu. Była to podstawka na noże, z której wyjął trzydziestocentymetrowe ostrze i podstawił je pod kamerę laptopa.

- To nóż do mięsa, Emmo. Jak pani widzi, jest duży i ostry. Piękny egzemplarz, solidna niemiecka robota... Mam też tasak. To doskonała rzecz do przyrządzania kotletów z kostką.

- Jeśli ośmieli się pan tknąć mojego psa, to ja pana...

- Co mi pani wówczas zrobi? Emma oniemiała. Matthew atakował dalej:

- Widzi pani, Emmo, to dla mnie poważny problem. Bardzo lubię zwierzęta. Clovis jest sympatycznym psem, a poza tym bardzo podoba się mojej córce. Jeśli mi pani jednak nie obieca zrobić wszystkiego, co możliwe, żeby nie dopuścić do wypadku Kate, nie zawaham się

ani sekundy, zabiję tego kundla i wypatroszę go przed kamerą, żeby nie straciła pani żadnego szczegółu z tego spektaklu. To będzie długa i bolesna śmierć. Nie zrobię tego z lekkim sercem, ale skoro nie pozostawia mi pani wyboru...

- Ty parszywy kutasie! Skurwysynie!

- Ma pani niewiele czasu, Emmo.

Emma otworzyła usta, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, Matthew rozłączył się i obraz znikł.

**Dzień piąty**  
**12**  
**Ta druga kobieta**

*Umarli należą do tych żywych, którzy  
obsesyjnie żądają ich powrotu.*

**JAMES ELLROY**

**Nazajutrz**

**23 grudnia 2010**

**9.00**

Śnieg stopniał. Było sucho i zimno, ale na metalicznym błękitcie bostońskiego nieba świeciło wspaniałe słońce. Emma pochuchała w zmarznięte dłonie, żeby się rozgrzać. Z jej ust wydobywała się świetlista para, ale zaraz rozproszyła się w powietrzu i znikła.

Od dziesięciu minut Emma spacerowała tam i z powrotem przed wejściem do Instytutu Kardiologicznego, wypatrując końca dyżuru Kate. Zdusiła ziewnięcie. Noc miała niespokojną, ale mimo braku snu myślała jasno. Wczoraj pod wpływem lektury artykułu zawiadamiającego o jej samobójstwie bardzo się zdenerwowała i zaczęły ją dręczyć mordercze majaki. Dziś się tego wstydziła, ale tak już z nią było, że z powodu dotkliwej samotności czasami ujawniała się ciemna strona jej natury. Wyniszczało ją przekonanie, że los jest wobec niej niesprawiedliwy, nękała zazdrość i przez to wszystko tonęła w ponurych myślach. Nie była jednak potencjalną morderczynią, lecz tylko naiwną dziewczyną, stęsknioną miłości. Dlatego tak długo tkwiła w związku z góry skazanym na niepowodzenie. Interwencja Matthew i jego mały szantaż przywołały ją do porządku. Tego ranka była zdecydowana postąpić rozsądnie. Znajdzie jakieś rozwiązanie, żeby Kate uniknęła śmiertelnego wypadku dwudziestego czwartego grudnia. Całą noc zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby zapobiec temu zdarzeniu. Na razie jeszcze nic nie wymyśliła, ale miała przed sobą trochę czasu.

Zdrętwiała z zimna. Zaczęła przestępować z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Na środku parkingu stała wielka ciężarówka Czerwonego Krzyża dla dawców krwi. Nieco dalej widać było metalowy wózek sprzedawcy ciepłych napojów i precli. Emma stanęła w kolejce, żeby zamówić herbatę. W tej właśnie chwili Kate wyszła z budynku przez rozsuwane drzwi. Przy uchu trzymała komórkę i najwyraźniej nie zdjęła fartucha lekarskiego, gdyż bladoniebieski materiał wystawał spod jej ciemnej kurtki z kapturem. Zbiegła ze schodów, szybkim krokiem przecięła parking i wyszła poza teren szpitala. Emma podążała za nią aż do stacji Hubwaya - punktu wypożyczalni rowerów miejskich przy Cambridge Street. Najwyraźniej Kate często korzystała z tego środka transportu, gdyż wyjęła specjalną kartę i wsiadła na jeden z rowerów.

Podczas gdy wkładała rękawiczki, czapkę i owijała szyję szalikiem, Emma wsunęła do stojącego obok automatu sześć dolarów, żeby otrzymać czasową kartę członkowską i móc wypożyczyć rower. Zaczekała, aż Kate ruszy, i pojechała za nią, Utrzymując rozsądny dystans, żeby nie stracić jej z oczu, ale też nie dać się zauważyć.

Przez pierwsze pół kilometra jechały tą samą drogą, którą Emma pokonała już poprzedniego dnia. Na chwilę zdjęła jedną rękę z kierownicy i podciągnęła skarpetki, zakładając je na spodnie, żeby lodowate powietrze nie owiewało jej łydek. Kiedy dotarły do Hanover Street, Kate nie skręciła w kierunku włoskiej dzielnicy, tylko pojechała wzdłuż City

Hall aż do alei prowadzącej do Faneuil Hall i Quincy Market. Szybka jazda i kilka wykroczeń drogowych pozwoliły jej błyskawicznie opuścić tę turystyczną część miasta. Na wysokości Columbus Park pomknęła pod prąd długą jednokierunkową ulicą, sprytnie unikając korków, potem zaś, nie przejmując się specjalnie przechodniami, wjechała na chodnik, żeby z kolei uciec z zatłoczonych ulic prowadzących do portu i na wybrzeże.

Było ledwo dwadzieścia po dziewiątej, gdy zsiadła z roweru na samym końcu Long Wharf, naprzeciw czarnej fasady czegoś, co przypominało irlandzki pub. Emma zatrzymała się pięćdziesiąt metrów przed końcem mołu. Czy mogła zaryzykować i wejść za Kate do baru? Oparła rower o latarnię i przymocowała go do niej metalowym kablem z kłódką. Pieszko pokonała tych kilka metrów, które dzieliły ją od brzegu morza.

W swoim najlepszym okresie Long Wharf było główną przystanią jednego z najbardziej uczęszczanych portów handlowych na świecie. Dziś teren ten został zaadaptowany na elegancką marinę, brukowane uliczki pełne były restauracji i kafejek. Przede wszystkim zaś odpływały stąd promy w kierunku licznych wysp w Zatoce Bostońskiej i do miast Salem i Provincetown. Gdy doszła do końca drewnianej promenady, zasłoniła ręką oczy, bo oślepiło ją słońce, które wzeszło dwie godziny temu i stało teraz wysoko na niebie, sypiąc na tafłę oceanu deszcz błyszczących gwiazd. Widok zapierał dech w piersiach: mewy, wiatr, stare statki unoszące się na falach, bezkresny horyzont. I - morska bryza! To ona orzeźwiła Emmę i dodała jej odwagi, żeby wejść do pubu za Kate.

\*

Belki na suficie, ściany wyłożone boazerią, witraże w oknach, tarcza do gry w lotki i przyćmione światło -- rustykalny wystrój wnętrza pubu Gateway był typowy i swojski.

Wieczorem z pewnością rozbrzmiewała tu tradycyjna muzyka i goście stukali się kufkami pełnymi guinnessa, ale rankiem była to zwykła, spokojna, przyjazna kafejka, do której przychodzili na śniadanie pracownicy portu. Emma zmrużyła oczy, ale dopiero po dłuższej chwili dostrzegła Kate, która siedziała sama przy stoliku w głębi sali, trzymając w dłoniach filiżankę z kawą.

Napis zawiadamiał, że należy najpierw zamówić, a potem usiąść. Emma stanęła w kolejce za ogromnym facetem w koszuli drwała i w marynarskiej czapce, który kilka chwil potem odszedł od baru z tacą zapełnioną rybą z frytkami, plasterkami bekonu, kiełbaskami i smażonymi jajkami. Ona zadowolona się herbatą z tostami i poszła usiąść na ławce nieopodal stolika Kate. Co żona Matthew robiła w tym miejscu po całonocnej pracy? Dlaczego nie wróciła od razu do domu?

Ze swego punktu obserwacyjnego Emma mogła zauważyć, że Kate jest zmęczona, a na jej twarzy maluje się niepokój. Lekarka spoglądała nerwowo to na ekran swojego telefonu, to na drzwi pubu. Najwyraźniej na kogoś czekała i nie było to zwykłe spotkanie. Emmę zdziwiła ta nagła zmiana: piękna, zadowolona żona i matka, którą śledziła poprzedniego dnia, zmieniła się w istotę spiętą i niespokojną, nerwowo pocierającą dłonie.

Zmusiła się do odwrócenia głowy, nie chcąc, by jej oczy zbyt nachalnie wpatrywały się w Kate. Dzięki odbiciu w lustrze na ścianie nie utraciła żadnego gestu młodej lekarki, która po chwili wyjęła z torby chusteczkę higieniczną i puderniczkę. Przetarła twarz, poprawiła nerwowo makijaż, wcisnęła kilka nieposłusznych kosmyków z powrotem w koczek, bo wysunęły się podczas szybkiej jazdy rowerem. Potem wstała i poszła do toalety.

Tej szansy nie można było przegapić: Kate wzięła z sobą torbę i telefon, ale zostawiła na ławce kurtkę. Emma zrobiła głęboki wdech i ruszyła do akcji. Spokojnie wstała i zaczęła iść

niby również do toalety, ale w ostatniej chwili zatrzymała się przy stoliku Kate. Modłać się, żeby nikt w tym momencie na nią nie spojrział, przeszukała kieszenie kurtki. Pod palcami wyczuła coś zimnego, metalowego. Pęk kluczy... Zalała ją fala adrenaliny. Sprawdziła, czy kluczyki od samochodu też tam są. Mam wreszcie pomysł! - wykrzyknęła w myślach. Żeby zapobiec tragedii, po prostu odepnie kluczyki do nieszczęsnej mazdy, którą Kate miała jechać w dniu wypadku. Potem ukradnie samochód, zostawi go trzysta kilometrów stąd, spali albo zepchnie gdzieś do rowu! Nie będzie samochodu, nie będzie wypadku.

Chwyciła kluczyki i przeszła przez bar, aby wyjść z lokalu, zanim Kate wróci z toalety.

Przyśpieszyła kroku i opuściła głowę, chcąc uniknąć spojrzeń innych gości, ale uciekając tak w popłochu, potrąciła jakiegoś faceta, który właśnie zamówił przy barze kawę. Mężczyźnie nic się nie stało, za to pół filiżanki wylało się na tacę. Emma zaczęła go przeproszać.

- Naprawdę, tak mi przykro...

Wysoki, szczupły mężczyzna miał jasne, krótko ostrzyżone włosy. Ubrany był w czarne dżinsy, adidas, golf i skórzaną kurtkę z baranym kołnierzem. Jego owalną mizerną twarz okalał trzydniowy zarost, nosił ciemne okulary w oprawie z jasnego szylkretu.

- Nic się nie stało! - zapewnił, nawet na nią nie spojrzawszy.

Ponieważ Emma chciała jak najszybciej wyjść, ucieszyła się, że sprawa skończyła się tak prędko i bezkonfliktowo. Zanim jednak pchnęła drzwi wyjściowe, obejrzała się ostatni raz.

Mężczyzna podszedł do Kate.

Objął ją.

Pocałował.

\*

To niemożliwe!

Emma zamarła. Nie była w stanie się ruszyć. Kate nie mogła mieć kochanka! Emma zmrużyła oczy. Myliła się, z pewnością opacznie zinterpretowała świadczące o zażyłości gesty. Ten mężczyzna musiał być kimś z jej rodziny, bratem albo...

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - usłyszała głos właściciela restauracji, który stał za barem i patrzył na nią podejrzliwie. - Proszę się zdecydować, wychodzi pani czy zostaje? W końcu ktoś panią uderzy drzwiami, bo stoi pani w przejściu.

- Ja... Czy ma pan papierową serwetkę?

- Trzeba było od razu mówić! Służę!

Emma chwyciła pakiet serwetek i wróciła do stolika, starając się poruszać jak najdyskretniej. Odruchowo wyjęła telefon, włączyła kamerę i postawiła na stoliku. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Pomyślała, jak bardzo Matthew idealizował żonę.

Przypomniała sobie scenę, której świadkiem była wczoraj, to wzajemne porozumienie, miłość emanującą z obojga. Czy można aż tak udawać uczucie?

Nie, coś tu nie pasowało. Zważywszy na uwielbienie, jakim Matthew darzył żonę nawet po jej śmierci, wydawało się mało prawdopodobne, by zakochała się w innym mężczyźnie.

Shapiro nie był głupcem, spostrzegłby to. Ale z drugiej strony mówi się, że miłość jest ślepa...

O Boże, westchnęła w duchu, nie wiedząc zupełnie, co o tym wszystkim myśleć. A może Kate i ten tajemniczy nieznajomy nie są kochankami? Niestety, ich zachowanie sugerowało, że jednak są: pochylali się ku sobie ze splecionymi palcami, wpatrzeni tylko w siebie... Kate nawet pogładziła go po twarzy i po włosach.



Emma sprawdziła, czy jej telefon wciąż filmuje. Scena była tak surrealistyczna, że musiał zostać po niej jakiś fizyczny ślad. Mężczyzna, około czterdziestki, był dość przystojny, miał niebanalną, delikatną urodę... Kogoś jej przypominał...

Nie słyszała, o czym rozmawiają, ale nie ulegało wątpliwości, że są bardzo przejęci.

Czym? Czyżby mężczyzna był żonaty? Może planowali rozbicie swoich związków? Te dywagacje skierowały myśli Emmy na tory jej własnej historii i przykrych wspomnień z romansu z Francois. Szybko jednak przywołała samą siebie do porządku i nagle uświadomiła sobie niebezpieczeństwo: pub był prawie pusty. W końcu ktoś ją zauważył. Wyłączyła telefon i dyskretnie wyszła z lokalu.

Lodowate powietrze bardzo jej pomogło. Zaczęła głęboko oddychać, starając się uspokoić.

Postanowiła zostawić tu rower i skierowała się do rzędu taksówek, czekających pod hotelem Marriott. Trudno, stracę kaucję! - pomyślała. Wsiadając do samochodu, uświadomiła sobie, że w pęku kluczy Kate znajdowały się z pewnością klucze do ich domu. Mogła tam wejść.

Podala kierowcy adres rodziny Shapirów.

Kiedy znalazła się na Louisburg Square, najpierw obezła dom wkoło, zastanawiając się, czy Matthew z córką siedzą w środku. Początkowo chciała zadzwonić do drzwi, żeby to sprawdzić, ale odstąpiła od tego pomysłu. Lepiej, żeby „Matthew 2010” nie wiedział o moim istnieniu, pomyślała. Zauważyła nalepkę w rogu okna z informacją, że w domu zainstalowany jest system alarmowy. Cholera! - zakląła w myślach. Fakt posiadania kluczy nie na wiele się zda, bo trzeba jeszcze znać kod wyłączający alarm. Zapamiętała nazwę firmy ochraniającej posesję i zawróciła, żeby nie ryzykować ściągnięcia na siebie czyjejś uwagi. Chcąc się spokojnie nad wszystkim zastanowić, weszła do cukierni na Charles Street. Było to dziwnie udekorowane miejsce, utrzymane w stylistyce retro, a klienci mogli jeść ciastka, siedząc przy barze z surowych desek. Emma usiadła na stołku i wyjęła laptop. Zamówiła kawę i kawałek sernika, po czym poszukała internetowej książki telefonicznej, żeby znaleźć numer telefonu Shapirów. Zadzwoniła. Odezwała się automatyczna sekretarka. W nagraniu wiadomości najwyraźniej brała udział cała rodzina, nawet mała Emily powiedziała kilka słów.

Emma rozłączyła się i zadzwoniła jeszcze raz, by się upewnić, że dom jest pusty. Potem zadzwoniła do Imperatora i poprosiła do telefonu Romualda Leblanca.

- Potrzebuję twojej pomocy, karaluchu.
- Miałem właśnie do pani dzwonić, panno Lovenstein.
- Masz dla mnie coś interesującego?
- Wysłałem kilka pani e-maili do Jaroda, to taki mój kumpel informatyk. Najzdolniejszy ze wszystkich, których znam. Powiedział mi, że na początku roku dwutysięcznego na wielu forach pojawiły się wpisy internautów, którzy utrzymywali, że przychodzą z przyszłości i że podróżują w czasie. Oczywiście to były wygłupy, ale w pani przypadku jest inaczej, ponieważ przeskok w czasie jest potwierdzony w znaczniku czasu serwera. Niestety, mój przyjaciel nie umie tego wyjaśnić, bardzo mi przykro.

- Zrobiłeś, co mogłeś, dziękuję ci. Ale właściwie dzwonię w innej sprawie. Jeśli podam ci pewien adres w Bostonie, a także nazwę firmy, która zainstalowała tam system alarmowy, czy będziesz umiał ten alarm wyłączyć?

- Wyłączyć? - powtórzył mechanicznie chłopak. - Co właściwie pani przez to rozumie?
- Wygłupiasz się czy co? Czy umiałbyś wyłączyć zdalnie alarm?

- Nie, to niemożliwe. Jak pani to sobie wyobraża?
- Myślałam, że umiesz wszystko zrobić, jeśli tylko masz dostęp do komputera.
- Nigdy nic takiego nie mówiłem - zaczął się bronić Romuald.

Emma postanowiła go sprowokować.

- Rozumiem, gadać potrafisz, ale gdy trzeba działać, to...
- No, nie! A kto załatwił pani wizytę u fryzjera? - zaprotestował chłopak.
- Teraz nie chodzi o głupiego fryzjera, tylko o coś o wiele poważniejszego!
- Ale ja nie jestem żadnym magikiem - wymamrotał Romuald przeprasającym tonem.
- Podaję ci adres, masz czym zapisać?
- Powiedziałem, że...
- Masz czym zapisać? - powtórzyła Emma stanowczo.
- Mam, niech pani mówi. - Chłopak westchnął.

- Dom należy do Matthew i Kate Shapirów. Mieszkają w Bostonie, tuż przy skrzyżowaniu Mount Vernon Street i Willow Street. Firma, która zainstalowała alarm, nazywa się Blue Watcher. Jej siedziba znajduje się w Needham w Massachusetts.

- I co niby mam z tym wszystkim zrobić?

- Co chcesz. Ale pośpiesz się. Za kwadrans wchodzę do tego cholernego domu. Jeśli nic nie zrobisz, zgarnie mnie stamtąd policja i to ty będziesz za to odpowiedzialny.

Rozłączyła się, nie zostawiając mu czasu na odpowiedź. Zdawała sobie sprawę, że zleca niepełnoletniemu trudną misję, lecz wierzyła w jego inteligencję.

Wypiła łyk kawy i spróbowała sernika. Myślała, że nie jest głodna, ale ciastko zjadła z apetytem. Obejrzała też wideo nagrane w komórce. Obraz był ciemny i skaczący, bez dźwięku, bo kamera telefonu znajdowała się zbyt daleko, ale film nie pozostawiał wątpliwości co do natury stosunków, jakie łączyły Kate z tajemniczym nieznajomym.

Kim był ten mężczyzna? Kolegą chirurgiem? Przyjacielem rodziny? Dlaczego wydał się Emmie znajomy? Niezdecydowana, jak ma się zachować, przegrała film do laptopa i otworzyła pocztę elektroniczną. Wciąż się wahając, zaczęła pisać do Matthew. Nie wiedziała, co ma zrobić. Czy wolno jej burzyć przeszłość pod pretekstem wyjawienia prawdy? Ingerować w życie osobiste rodziny, której nie zna? Zadawać ból człowiekowi, który nie umiał zapomnieć o zmarłej żonie?

Z tym że ta żona nie jest taka idealna, jak można by sądzić...

Z palcem na touchpadzie odczytała jeszcze raz swój e-mail, zawahała się i w końcu nacisnęła polecenie

„Wyślij”

\*

## 2011

- Uwielbiam tego pieska! - wykrzyknęła Emily, wbiegając do kuchni. Za nią gnał shar pei.

W powietrzu wisiał smakowity zapach gorącego kakao. April przeglądała gazetę na iPadzie, pilnując jednocześnie rondelka, który grzał się na kuchni indukcyjnej. Matthew od kilku godzin siedział wściekły przed ekranem laptopa, czekając, aż Emma odpowie na jego wczorajsze ultimatum.

Dziewczynka wdrapała się na taboret obok ojca.

- Miska Clovisa jest pusta, mogę wsypać mu jedzenie? Matthew chrząknął z aprobatą.
- Zrobimy to razem - obiecała April, wlewając mleko do kubka. - Na razie wypij kakao. -

Postawiła kubek obok Emily.

- Uważaj, bardzo gorące! - ostrzegła.

- Włożyłaś mi do środka małe pianki marshmallow... Mniam, mniam... Dziękuję ci, April.

Matthew spojrział na lokatorkę z wyrzutem.

- Nie przesadzaj z tymi słodyczami, dobrze? Mała będzie niedługo wyglądać jak ludzik Michelina.

- To Boże Narodzenie, tato! - wykrzyknęła Emily.

- Zawsze znajdzie się jakieś wytłumaczenie...

Matthew przerwał, bo rozległ się sygnał dobiegający z laptopa. Przyszła nowa poczta.

Popatrzył na ekran. List od Emmy miał prowokacyjny tytuł.

**Od:** *Emma Lovenstein*

**Do:** *Matthew Shapiro*

**Temat:** *Czy naprawdę zna pan swoją żonę?*

*Drogi Matthew, jestem zachwycona tym, że Paoska córeczka polubiła Clovisa.*

*To wierny i kochający pies. Może to Pana zdziwi, ale bardzo się cieszę, że do Was trafił.*

*Nawet przez sekundę nie wierzyłam, że mógłby go Pan skrzywdzić.*

*Jest Pan porządnym człowiekiem, Matt, i nie umiem sobie wyobrazić Pana w roli oprawcy tego niewinnego stworzenia. Długo się wahałam przed wysłaniem Panu załącznika z tym wideo. Mam nadzieję, że zbytnio to Pana nie zrani. Proszę mi wybaczyć, że wtrącam się w Paoskie prywatne życie, ale czy zna Pan faceta, który towarzyszy Paoskiej żonie?*

*Emma*

O czym ona mówi? - zdziwił się Matthew, kopiując plik na pulpit i klikając, żeby włączyć film. Po kilku sekundach na ekranie pojawił się trochę zamazany obraz. - Co oglądasz, tato? - spytała Emily, nachylając się nad laptopem. - Uważaj, kochanie! - ostrzegła ją April. - Bo wylejesz... Za późno! Pełen po brzegi kubek przechylił się na komputer. Czteryście mililitrów gorącego, i lepkiego płynu zalało klawiaturę. Obraz zatrzymał się i znikł. Ekran zgasł. Zrozpaczony Matthew spojrział na córkę. Serce mu stanęło. Nie mógł złapać oddechu, jego oczy napełniły się łzami bezradnej wściekłości. Oto stracił jedyną możliwość porozumienia się z Emmą. Jedyną możliwość uratowania żony!

**Boston 2010**

Bip, bip, bip...

Kiedy Emma weszła do środka, włączył się cichy sygnał przypominający sonar. Zamknęła za sobą drzwi i popatrzyła na skrzynkę alarmową. Nie mogła wprowadzić kodu, bo go nie знаła.

Bip, bip, bip...

Ile ma czasu, zanim dyskretny sygnał zmieni się w wycie?

Spróbowała przełknąć ślinę, ale jej się nie udało.

W gardle miała sucho, na czoło wystąpiły krople potu. Przez chwilę stała nieruchomo, jak skazaniec czekający na egzekucję. W końcu ciche ostrzegawcze „bip, bip, bip” ucichło, a w jego miejsce odezwało się ogłuszające wycie syreny, od którego zatrzęsły się ściany. Mimo że Emma się tego spodziewała, dźwięk był tak gwałtowny, że niemal podskoczyła.

Czuła, jak krew pulsuje jej w skroniach. Zaczęła dygotać ogarnięta paniką. W tym momencie zawibrowała jej komórka. Emma odebrała. Mówiła bardzo głośno, żeby przekrzyczeć wycie syreny.

- Halo?

- Pani Kate Shapiro?

- Tak.

- Dzwonię z Blue Watcher, właśnie otrzymaliśmy...

- Tak, mój alarm, przepraszam! Mąż musiał zmienić kod, nie uprzedzając mnie. Czy mogą panowie go wyłączyć?

- Najpierw musimy zadać pani kilka kontrolnych pytań, to zwykła procedura. Romualdowi nie udało się co prawda wyłączyć zdalnie alarmu, ale zdołał wejść do serwera firmy ochroniarskiej. Sprytnie zmienił numer, na który ochroniarze mieli dzwonić w razie włączenia się alarmu, zastępując numery komórek Matthew i Kate numerem telefonu Emmy.

Zrobił również kopię strony, na której znajdowały się odpowiedzi na trzy sekretne pytania, pozwalające na zidentyfikowanie rozmówcy i wyłączenie syreny.

- W jakim mieście poznali się pani rodzice? - spytał pracownik firmy.

Emma zerknęła na nadgarstek, na którym zapisała odpowiedzi, podane jej przez Romualda.

- W Petersburgu.

- Pani ulubiony film, gdy była pani dzieckiem?

- Bernard i Bianka. - Nazwisko pani najlepszej przyjaciółki z czasów studiów?

- Joyce Wilkinson - odpowiedziała Emma bez wahania.

Syrena natychmiast umilkła.

- Bardzo dziękuję, pani Shapiro. Na przyszłość proszę uczulić męża, żeby panią uprzedzał, gdy zmienia kod alarmowy.

Emma rozłączyła się i wytarła pot z czoła. Ostrożnie podeszła do okna, chowając się za firankę. Na Louisburg Park panował spokój, ale jak długo jeszcze? Co odpowiedziałyby, gdyby do drzwi zadzwonił policjant? Albo gdyby Matt lub Kate niespodziewanie wrócili? Odsunęła od siebie tę myśl i zabrała się do badania domu. Kierowała nią przede wszystkim złość na Kate. Dzięki tej złości Emma wybudziła się ze swego depresyjnego letargu. Narodziła się w niej chęć walki o siebie samą, o swoją przyszłość, o Matthew...

Tak naprawdę nie wiedziała, czego szuka. Dowodu potwierdzającego niewierność Kate? Wskazówki, dzięki której mogłaby zidentyfikować tajemniczego mężczyznę? W żadnym razie nie mogła ufać pozorom - musiała przeszukać zakamarki, zajrzeć do szaf, szuflad, przejrzeć komputer, piwnicę...

Parter urządony był jak loft: znajdowały się tu przestronny salon i otwarta kuchnia. Ogrzewanie działało, emitując łagodne ciepło. Było tu miło, przytulnie i rodzinie. Obok kanapy stała śliczna choinka z migoczącymi lampkami, na blacie w kuchni pozostały okruszki chleba, słoik konfitur, który zapomniano odstawić na miejsce, dziecięca kolorowanka i dzisiejszy numer „New York Timesa” otwarty na dziale Kultura.

Na ścianach i w ramach na półkach można było zobaczyć liczne zdjęcia członków rodziny, w tym czarno-białe fotografie, które z pewnością przedstawiały Kate jako dziecko: ładna jasnowłosa dziewczynka z matką przy pianinie albo spacerująca z nią ręką w rękę po ulicach jakiegoś rosyjskiego miasta - niewątpliwie Petersburga. Na kolejnych wyblakłych zdjęciach wątpła nastolatka pozowała przed Space Needle, a bladolica studentka w dzinsach i z plecakiem - na trawnikach, które rozciągały się przed dzwonnica Uniwersytetu Berkeley.

Nieśmiała studentka przeistoczyła się jednak w młodą, pewną siebie kobietę. To była dzisiejsza Kate, ta, którą Emma śledziła: pewna siebie, bardzo ładna chirurg, pozująca do zdjęcia z córką i mężem.

Zdjęcia wydały jej się cokolwiek osobliwe, ale odłożyła ich analizowanie na później. Wyciągnęła komórkę i sfotografowała je wszystkie. W części kuchennej uwieczniła kartkę z tygodniowym planem zajęć Kate, przyklepioną do tablicy korkowej. Chwilowo zakończyła przeszukiwanie parteru, który wydał jej się zbyt eksponowaną częścią domu, by można tu odkryć coś interesującego, i weszła wyżej. Pierwsze piętro składało się z wielkiej sypialni małżeńskiej o surowym wystroju. Były tam także dwie łazienki i garderoba, pokój dziecka i jeszcze jedno, prawie puste pomieszczenie, które służyło za biuro.

Sypialnia Shapirów była pełna książek, leżały na podłodze po obu stronach łóżka. Z lewej strony teksty filozoficzne (Życie Świętego Augustyna, dzieła Nietzche), z prawej publikacje naukowe (Chirurgia niewydolności serca, Kardiopatie wrodzone, Sztuczna krew a komórki macierzyste). Nietrudno było odgadnąć, kto śpi po której stronie łóżka. Widok małżeńskiego łóżka na nowo rozniecił w Emmie przygasły żar zazdrości. Nerwowo przejrzała półki i przeszukała szuflady komody. W jednej z nich znalazła paszporty Matthew i Kate. Otworzyła pierwszy z nich: Matthew Shapiro, urodzony trzeciego czerwca 1968 roku w Bangor (Maine), potem drugi: Jekatierina Ludmiła Swatkowska, urodzona szóstego maja 1975 roku w Petersburgu (Rosja).

Kate jest Rosjanką... - pomyślała Emma.

To wyjaśniało jej jasne włosy, jasne oczy, tę chłodną urodę...

Z ulicy dobiegł warkot silnika. Obawiając się, że to Shapirowie, wyrzała przez okno. Fałszywy alarm. Wróciła do przeszukiwania mieszkania.

Nie traciła czasu w łazience Matthew, ale za to została dłużej w łazience pani domu.

Wysunęła szuflady i przejrzała półki. Główny mebel, wisząca półka, pełen był rozmaitych kosmetyków, kremów, toników, akcesoriów do makijażu i demakijażu. W szafce z malowanego drewna, która odgrywała rolę apteczki, znalazła plastikowe tubki (odczytała wszystkie etykiety: aspiryna, paracetamol, ibuprofen) oraz flakoniki z siedemdziesięcioprocentowym spirytusem, solą fizjologiczną i wodą utlenioną. Za pudełeczkami z plastrami opatrunkowymi i gazikami niespodziewanie znalazła lekarstwa o skomplikowanych, ale nieobcych jej nazwach: antydepresanty, środki przedwiekowe i na sen. Emma nie wierzyła własnym oczom: oto Kate i ona miały tych samych wyniszczających „przyjaciół”! Dziwne, ale przez kilka chwil poczuła ulgę. A więc mimo pozorów Kate nie była tą promienną kobietą sukcesu, jak sobie to Emma wyobrażała. Była zapewne podobna do niej: udręczona, niespokojna, być może też bardzo nieodporna psychicznie. Czy jej mąż wiedział o zawartości apteczki? Chyba nie, gdyż w przeciwnym razie wszystkie te pudełeczka nie byłyby tak starannie ukryte. A Matthew nie wyglądał na człowieka, który grzebałby w szafce żony.

Emma przeszła do garderoby. Aż jęknęła z zachwytem. Było to pomieszczenie jak z sennych marzeń: przestronne, urządzone minimalistycznie, z wyrafinowanym wystrojem i funkcjonalne. Rozsuwane drzwi wykonano częściowo z jasnego drewna, częściowo ze szkła, a częściowo wyłożono lustrem, przez co garderoba wydawała się jeszcze bardziej przestronna. Emma otwierała metodycznie i przeszukiwała każdą szafę i szafkę, zajrzała do każdej szuflady, uniosła każdą stertę ubrań, przejrzała dziesiątki par butów i sztuk bielizny.

Przy ścianie stała drabina z ciemnego drewna, a obok niej małe schodki, żeby móc sięgnąć na wyższe półki. Emma postanowiła rozejrzeć się także tam. Dość szybko znalazła na najwyższej półce płasko złożoną kurtkę. Była to zniszczona kurtka motocyklowa z baranym kołnierzem. Taką samą miał na sobie dzisiejszy „amant” Kate! Emma przyjrzała się kurtce uważnie i pomacała podszewkę. W jednej z wewnętrznych kieszonek znalazła wyblakłą fotografię. Była na niej Kate z gołymi piersiami, zdjęcie mogło być zrobione jakieś piętnaście lat wcześniej. Młoda, zaledwie dwudziestoletnia kobieta patrzyła wyzywająco w obiektyw w seksownej i prowokującej pozie. Emma odwróciła zdjęcie, szukając jakiejś wskazówki, ale niczego tam nie było. Poczuła nagłe wzburzenie. Tak jak poprzednio, sfotografowała zdjęcie swoim telefonem, zanim odłożyła je na miejsce razem z kurtką.

Najwyższy czas stąd wyjść... - pomyślała.

Dla porządku rzuciła okiem na ostatnie piętro. Ta część domu nie była ogrzana. Znajdował się tu pokój gościnny, jeszcze jedna łazienka i dwa duże pokoje wciąż w stanie remontu. Wróciła na parter. Na stoliczku wyłożonym drewnianą mozaiką stał domowy komputer.

Zauważyła go już wcześniej, ale pomyślała, że jest chroniony hasłem. Co mi szkodzi spróbować... - zdecydowała teraz.

Poruszyła myszką. Ekran zaświecił na stronie sesji Kate. Żadnego hasła, żadnego zabezpieczenia...

Więc pewnie brak interesujących informacji, orzekła w duchu. Mimo to przejrzała kilka różnych dokumentów. Najwyraźniej Kate używała tego komputera tylko do celów zawodowych. Emma znalazła mnóstwo artykułów, plików i filmów odnoszących się do kardiochirurgii i wad serca. To samo wynikało z historii nawigacji w internecie i z korespondencji. Jedynym, co nie łączyło się z tym medycznym światem, był blog zatytułowany Bostonka w opałach, na temat różnych sklepów i restauracji w Bostonie, który Kate prowadziła w miarę regularnie.

Emma zanotowała adres strony na przedramieniu i spróbowała się dostać na konto

Matthew. Ono również nie było zabezpieczone. Najwyraźniej przynajmniej w tym względzie małżonkowie mieli do siebie zaufanie. Emma dokładnie zbadała strony, które przeglądał Matthew, i nie znalazła nic szczególnego. Niemniej w komputerze znajdowały się setki zdjęć, zgrupowanych byle jak w jakimś pliku. Zaczęła je oglądać, ale było ich zbyt dużo. Pogrzebała w kieszeni płaszcza w poszukiwaniu swoich kluczy. Miała przy nich pendrive w kształcie metalowej buteleczki z nalepką kalifornijskiego pinot noir, dostała go jako reklamówkę, przy okazji zwiedzania jakiejś winnicy. Odkręciła górną część buteleczki, podłączyła do komputera, żeby przegrać zdjęcia i potem je sobie wszystkie spokojnie obejrzyć. Zdjęcia się kopiowały, gdy usłyszała warkot motocykla. Cholera! - zakląła w myślach. Tym razem to naprawdę byli Matthew i Kate. Podjechali motorem pod same drzwi. Za późno, żeby się wycofać, pomyślała spanikowana. Jedyne rozwiązanie: uciekać!

Kiedy wchodziła po schodach na górę, otworzyły się frontowe drzwi. Słyszała wyraźnie dochodzące z dołu głosy Matthew i Kate. Przestraszyła się i pobiegła do sypialni. Starając się poruszać jak najciszej, uniosła połówkę okna. Oglądając się ostatni raz za siebie, zauważyła w głębi, w garderobie, coś, na co za pierwszym razem nie zwróciła w ogóle uwagi, ale co w tej chwili ją uderzyło. Dlaczego ta drewniana drabina stoi oparta o ścianę? Małe schodki wystarczały w zupełności, żeby dosięgnąć do najwyższych półek. Zawróciła i cicho przebiegła do garderoby. Czemu drabina jest ciemna, podczas gdy wszystkie meble są jasne? — zastanowiła się w myślach. Spojrzała na sufit. Mimo że słyszała dochodzące z salonu głosy Matthew i Kate, rozstawiła drabinę i weszła na pierwsze stopnie. Nie chodziło o szafki, tylko o schowek w suficie! Wspiąwszy się po drabinie, Emma pchnęła gipsową klapę i zobaczyła ramię... nie, raczej pasek od torby. Pociągnęła za niego i z otworu wypadł wielki płócienny worek. W ostatniej chwili desperackim ruchem udało jej się go chwycić. Był to worek z czerwonego impregnowanego płótna z białym logo znanej sportowej marki. Torba była ciężka, wypchana po brzegi. Starając się nie spaść z drabiny, Emma jednym szarpnięciem otworzyła worek, zajrzała do środka i o mało nie wypuściła go na podłogę. Serce zaczęło walić jej w piersi. Usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Odłożyła torbę z powrotem, zamknęła gipsową klapę, zeszła z drabiny i popędziła do sypialni, w której czekało na nią otwarte okno. Przerzuciła nogi na zewnątrz, zbiegła po żeliwnych schodach przeciwpożarowych i uciekła z domu Shapirów.

\*

## **Boston 2011**

**9.45**

Klawiatura laptopa była cała skąpana w gorącym kakao. - Przepraszam, tato, bardzo przepraszam! - jęczała Emily, świadoma ogromu katastrofy.

Matthew zerwał się ze stołka, skoczył i wyłączył laptop z kontaktu, po czym obrócił klawiaturą do dołu, żeby obciekł z lepkiego płynu. - To było niechcący... - przepraszała dziewczynka, schroniwszy się w ramionach April.

- Oczywiście, kochanie! - starała się ją pocieszyć April. Matthew w milczeniu wycierał laptop ściereczką.

Co robić? - zastanawiał się.

Serce łomotało mu w piersiach. Trzeba działać, i to szybko! April wyciągnęła z torebki kilka wacików do zmywania makijażu i wręczyła je Matthew, żeby doczyścił klawiaturę.

- Czy myślisz, że zalało układy scalone?

- Obawiam się, że tak. Ale może niekoniecznie! - powiedziała April uspokajająco.  
- W zeszłym roku komórka wpadła mi do sedesu. Wysuszyłam ją, wyjęłam kartę SIM, a potem włączyłam i działa do dziś! Matthew zastanowił się. Nie ma co próbować rozkręcać laptopa, niespecjalnie znał się na informatyce. Chciał go włączyć, lecz zrezygnował. Jeszcze spowoduję spięcie i wszystko szlag trafi! - pomyślał.

- Zaniosę go do punktu napraw - oznajmił, spoglądając na zegarek.

- Możesz posiedzieć przez godzinkę z Emily? - Spojrzał na April.

Zadzwoił po taksówkę, wziął szybki prysznic, włożył dzinsy i sweter, narzucił gruby płaszcz i wyszedł na ulicę z laptopem w skórzanej teczce.

Zjawić się w Apple Store dwa dni przed Gwiazdką było całkowitym szaleństwem. Poza tym MacBook nie miał już gwarancji. Poprosił kierownicę, żeby zawiózł go do małego sklepu z komputerami w uliczce na tyłach Harvard Square. Przychodzili tu niektórzy z jego studentów. Matthew okazał się pierwszym klientem tego dnia. Za ladą stał grubawy były hipis i kończył śniadanie. Wyglądał na sześćdziesiątkę, miał szpakowatą grzywkę, a ubrany był w rozpiętą skózaną kamizelkę, spod której wystawał T-shirt z kubańską flagą. Brzuch wylewał mu się ze spranych dzinsów zdobionych szerokim pasem.

- W czym mogę pomóc, szefie? - zapytał, wycierając dłonią resztki cukru pudru, który spadł mu z pączka na brodę. Matthew wyjął laptop ze skórzanej teczki, postawił go na ladzie i opowiedział o nieszczęściu, które mu się zdarzyło.

- Co za pomysł, żeby w pobliżu komputera stawiać gorący napój! - wykrzyknął sprzedawca.

- To wina mojej córki. Ma dopiero cztery i pół roku i... Mężczyzna przerwał mu, odzywając się sentencjonalnie:

- Powiem panu tylko jedno: nie można sprzętu informatycznego oblać czymś gorszym niż gorącym kakao.

Matthew westchnął. Nie po to tu przyszedł, żeby go ktoś pouczał.

- Dobrze, może mi pan pomóc czy nie?

- Zobaczy się... Nawet jeśli płyta główna nie została zniszczona, to i tak trzeba będzie zmienić obudowę. Biorąc pod uwagę koszty, nie wiem, czy to się opłaca. Ten laptop ma już swoje lata.

Oczy grubasa widać było tylko do połowy, niżej zasłaniały je małe okrągłe okulary w metalowej oprawie.

- Ten sprzęt ma dla mnie wartość sentymentalną. Może go pan otworzyć i sprawdzić uszkodzenia?

- Zaraz to zrobię. Mogę panu przygotować kosztorys na przyszły tydzień.

- Na przyszły tydzień? To niemożliwe! Ten komputer jest mi potrzebny już dziś.

- No, szefuniu, to nie będzie proste. - Ile pan żąda? - Eee? - Ile pan chce, żeby się zaraz do tego zabrać?

- Myślisz, szefie, że za forszę można wszystko kupić, co? Myślisz, że twój szmal daje ci prawo do wszystkiego?

- Och, niech pan przestanie udawać Che Guevarę i nazywać mnie szefem!

Sprzedawca zamilkł.

- Jeśli jesteś gotów dać mi pięć stów, szefie, możemy pogadać - odezwał się po chwili namysłu.

- Dobrze. Dostanie pan forszę, ale proszę siadać do roboty już teraz. Facet odkręcił



śrubokrętem obudowę i zaczął czyścić wnętrze alkoholem izopropylowym. Ostrożnie, tak, żeby nie uszkodzić złączy elektronicznych, starannie usuwał ślady kakao.

- Najważniejsze to uniknąć skarmelizowania się cukru z kakao przy włączeniu komputera...  
- wymamrotał wyjaśniająco pod nosem.

Gdy skończył czyszczenie, zapalił jakiś stary grzejnik wyposażony w miedziany reflektor.

- Nie ma nic lepszego do suszenia podzespołów... - mruknął.

- Ile czasu to będzie trwało? - zniecierpliwił się Matthew.

- Cierpliwość to największa zaleta, szefie! Wał po moją forszę i wróć za trzy kwadransy.

Najwyraźniej dysk twardy jest nietknięty. Za dodatkowe dwie stowy mogę ci skopiować jego zawartość, żebyś przynajmniej odzyskał swoje dane! Facet bezczelnie wykorzystywał sytuację, ale Matthew nawet nie próbował się targować, bo przecież chodziło o życie jego żony.

- Okay, to do zobaczenia za chwilę. Wyszedł na ulicę, zatrzymał się przy pierwszym napotkanym bankomacie, wypłacił siedemset dolarów i wszedł do jednej z licznych kafejek na Harvard Square. Opadł na krzesło, zniechęcony. Cóż się teraz wydarzy? Nawet jeśli laptop zadziała, nic nie gwarantuje mu, że będzie mógł znów nawiązać kontakt z Emmą.

Ich rozmowa, ten dziwny dialog zawieszony jak na cienkiej nitce pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, nietrwały, irracjonalny, prawie magiczny... A teraz mógł się roztopić w gorącym kakao!

Przypomniał sobie ostatni list od Emmy, jego końcówka wryła mu się w pamięć; Długo się wahałam przed wysłaniem Panu załącznika z tym wideo. Mam nadzieję, że zbytnio to Pana nie zrani. Proszę mi wybaczyć, że wtrącam się w Pańskie prywatne życie, ale czy zna Pan faceta, który towarzyszy Pańskiej żonie? Nie spodobał mu się jej ton. Co miała na myśli? Że Kate go zdradzała? Że to nagranie zaszkodzi jej reputacji? Nie, to niemożliwe. Nigdy nie wątpił w miłość Kate i nigdy nic nie podważyło jego zaufania, ani przed jej śmiercią, ani po niej.

Wypił łyk kawy i spróbował jeszcze raz zastanowić się nad całą sytuacją. Być może ich życie seksualne zrutynizowało się z czasem, zwłaszcza w porównaniu z pierwszymi miesiącami znajomości. Zaczęło się bardzo namiętnie, ale wkrótce przyszła na świat Emily. Z czasem jednak wszystko wróciło. Może mniej intensywnie niż na początku, ale czy nie działało się tak w przypadku większości par?

Drażył dalej, cierpiąc. A jeśli Kate miała kochanka? Pokręcił głową. Nawet gdyby chciała, nie znalazłaby na to czasu! Pracowała dzień i noc niemal bez przerwy. Spędzała długie godziny w szpitalu, brała nocne dyżury, a potem czytała i pisała artykuły na tematy zawodowe, Czas wolny, który jej zostawał, spędzała z nim i z Emily. Zamyślony Matthew podrapał się po brodzie. Po śmierci żony pozbył się jej ubrań.

Ciężarówka Armii Zbawienia zabrała wszystkie rzeczy Kate, których w ogóle nie przejrzał, żeby nie sprawiać sobie dodatkowego bólu. Z konieczności natomiast musiał uporządkować jej papiery. Mieli wspólne konto bankowe i nie zauważył na nim żadnego zaskakującego wydatku. To samo dotyczyło dokumentów zebranych w komputerze. Jedyna dziwna rzecz, jaką znalazł, to te środki antydepresyjne w łazience. Dlaczego Kate nigdy mu o tym nie powiedziała? Zaliczył to na konto przepracowania. Może powinien bardziej się wszystkim zainteresować...

\*

- Masz moją forszę, szefie?

Matthew wręczył podstarzałemu hipisowi siedem banknotów studolarowych, a on

natychmiast wsunął je do kieszeni džinsów.

- Wszystko w porządku? - spytał, wskazując części, które wciąż suszyły się pod reflektorem.

- Taa, zaraz to z powrotem zmontujemy - odparł mężczyzna, zabierając się do pracy.

Trwało to jeszcze dobry kwadrans, aż wreszcie stary hipis rzucił: - Niech pan trzyma kciuki, szefie!

Nacisnął na przycisk zasilania i nastąpił cud. Laptop ruszył, zamruczał i na ekranie pojawiło się zaproszenie do wprowadzenia hasła.

Alleluja! - ucieszył się w myślach Matthew.

Klawiatura dotykowa działała bez zarzutu. Matthew z ulgą wpisał kod, który został przyjęty przez komputer.

- No, głupi ma zawsze szczęście! - wykrzyknął hipis.

Matthew nie zwrócił na niego uwagi. Otworzył pierwszy lepszy plik, potem jakąś aplikację.

Miał właśnie połączyć się z internetem, kiedy nagle ekran zamarł i zgasł.

Nic.

Włączył laptop powtórnie.

Bez rezultatu.

- No cóż, spalił się - zawyrokował sprzedawca. - To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- Ale chyba można coś na to poradzić, wymienić jakieś części albo...

- To już nie u mnie, szefie. Twój komp is out Takie jest życie! Wręczył mu zewnętrzny dysk twardy.

- Uratowałem wszystko, co było na nim do uratowania. To najważniejsze, prawda?

Nie. To nie było najważniejsze.

**Boston, 2010****11.00**

Niebo zachmurzyło się w sekundę. Poranne jaskrawe słońce znikło i okrył je perłowy szal, z którego wkrótce zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu. Nad ulicami South End wirował w powietrzu biały gęsty puch.

Emma strzepała z włosów śnieżne kryształki i zacisnęła tasiemki kaptura. Szła w śniegu od dwudziestu minut. Po wyjściu z domu Shapirów wpadła do hotelu, ale jej pokój nie był jeszcze gotowy. Postanowiła przejść się i przemyśleć sprawy na świeżym powietrzu. Niestety, było tak zimno, że jej mózg odmawiał współpracy.

Kiedy dotarła na róg Copley Square i Boylston Street, gdzie wznosił się dumnie gmach biblioteki publicznej, bez wahania wbiegła po schodkach na górę i weszła do wielkiego holu, udekorowanego freskami i rzeźbami.

Miała wrażenie, że znalazła się w renesansowym włoskim palazzo. Minęła recepcję i kasę, gdzie sprzedawano bilety na bieżącą wystawę, i weszła na małe wewnętrzne podwórko, które wyglądało jak część opactwa. Strażnik skierował ją do bramki bezpieczeństwa, skąd wielkimi marmurowymi schodami dotarła do czytelnicy. Bates Hall, ogromna przestronna sala, miała prawie siedemdziesiąt metrów długości i ogromny sklepiony sufit. Po obu jej stronach stały dziesiątki stołów z ciemnego drewna, każdy z nich oświetlany przez mosiężną lampkę z abażurem z lanego nieprzezroczystego szkła. Emma usiadła z brzegu, żeby skorzystać z dziennego światła. Wyjęła telefon i laptop i wzięła się do pracy, próbując przejrzeć dokładnie wszystkie „dowody”, które zebrała podczas swojej wyprawy. Pierwsza rzecz, która ją zaintrygowała, to rosyjskie korzenie Kate, która w rzeczywistości nazywała się Jekatierina Ludmiła Swatkowska. Urodzona szóstego maja 1975 roku w Petersburgu, w Rosji. Przyjrzała się zdjęciom Kate z dzieciństwa. Sześć- czy siedmioletnia dziewczynka pozowała obok jakiejś pianistki - z pewnością matki - w salach koncertowych czy w miejscach prób. Kilka fotografii wykonano na zewnątrz, na niektórych widać było kopuły cerkwi. Później, gdy dziewczynka miała jedenaście czy dwanaście lat, sceneria się zmieniła: Wenecję Północy zastąpiło szmaragdowe miasto... Emma w myślach nakreśliła trasę emigracji z Petersburga do Seattle. Zamyślona potarła się po brodzie, po czym wpisała w Google: „Swatkowska + pianistka”.

Matka Kate figurowała w Wikipedii. Emma czytała zaciekawiona:

**Anna Irina Swatkowska** (ur. 12.02.1954 w Petersburgu, zm. 23.03.1990 w Seattle) - wybitna rosyjska pianistka. Zmarła na skutek powikłao w przebiegu stwardnienia rozsianego.

**Cudowne dziecko, studiowała w Konserwatorium imienia Rimskiego-Korsakowa w Petersburgu, korzystając z wiedzy wielkich mistrzów.**

Zacząła karierę solistki w wieku szesnastu lat, wykonując I Koncert Rachmaninowa z Petersburską Orkiestrą Symfoniczną. Była gościem wielu festiwali i grała na najbardziej prestiżowych scenach, takich jak Filharmonia Berlioska czy Carnegie Mail w Nowym Jorku.

Jej pierwsza płyta to Sonata h-moll Franciszka Liszta wydana przez Deutsche Grammophon. Nagranie to jest uważane za najlepsze dotychczasowe wykonanie tego utworu.

W momencie gdy otworzyły się przed nią perspektywy wspaniałej kariery, wszystko przekreśliła choroba (1976). Po urodzeniu córki Swatkowska zachorowała na stwardnienie rozsiane i wkrótce wycofała się z życia zawodowego. W roku 1980 wyjechała na leczenie do USA, gdzie zmarła w nędzy dziesięć lat później. Emma wyobraziła sobie dzieciństwo i lata dorastania Kate. Trudne życie w obcym kraju, poczucie winy, że to przez nią matka zapadła na straszną chorobę, a później trauma po jej śmierci - to wszystko z pewnością wpłynęło na wybór kariery Kate. Emma zaczęła liczyć na palcach: jeśli matka zmarła w roku 1990, Kate musiała mieć wówczas czternaście albo piętnaście lat. Kto ją wychowywał od tego momentu? Ojciec? Notatka w Wikipedii nie wspominała o nim, nie było go też na żadnym zdjęciu.

Następne fotografie były weselsze: Kate na prestiżowym Uniwersytecie Berkeley, często w towarzystwie tej samej młodej kobiety, studentki pochodzenia hinduskiego. Czy może to być ta słynna Joyce Wilkinson? - zastanawiała się Emma, przypominając sobie odpowiedź na ostatnie pytanie w teście kontrolnym firmy ochroniarskiej. Dręczyło ją jednak coś innego, a mianowicie rysy twarzy Kate na zdjęciach wykonanych, gdy miała osiemnaście i dziewiętnaście lat, nie były dokładnie takie, jak dzisiaj. Emma przeniosła zdjęcia z komórki do laptopa, żeby porównać je na większym ekranie. Różnica była oczywista, choć nie uderzająca: trochę wyższe kości policzkowe, bardziej symetryczna twarz. Młoda kobieta na pewno przeszła operację plastyczną. Ale po co? Przecież i tak była piękna.

Może uległa jakiemuś wypadkowi, po którym musiała poddać się operacji... - pomyślała Emma. Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, przeszła do kolejnego fantastycznego zdjęcia, które również przeniosła do swojego laptopa. Kate, niewiele starsza niż na poprzednich fotkach, patrzyła odważnie w obiektyw. Skrzyżowane ręce zasłaniały kształtne piersi, ale nie zakrywały ani brzucha, ani podbrzusza. Ze zdjęcia emanowała niepokojąca zmysłowość.

Jak to jest, kiedy wystarczy pstryknąć palcami, żeby mieć każdego faceta, jakiego się zapragnie? - przemyślała Emma, jakby rozmawiając z Kate. Czy życie jest łatwiejsze? Czy też ma się takie same strapienia miłosne, te same kłopoty co zwykłe kobiety? Niewątpliwie, jeśli sędzić po lekarstwach znalezionych w łazience... Emma zmarszczyła brwi i przysunęła twarz do ekranu, jednocześnie powiększając zdjęcie.

W tym czasie Kate miała tatuaż w górnej części lewego ramienia. Tego znaku nie było na żadnej innej fotografii. Czy był to tatuaż tymczasowy, czy został usunięty operacyjnie? Nie wiadomo. Emma wykadrowała rysunek i powiększyła go. Był to koń z zakręconym rogiem.

Jednorożec...

Zrobiła kopię symbolu, nie wiedząc, czy to drobiazg, czy coś naprawdę ważnego. Potem podniosła oczy znad ekranu i przetarła je. Przez okno biblioteki widziała śnieg, który padał coraz gęściej. Zatrzęsła się z zimna. Ale w bibliotece było przecież ciepło. Cicho mruczały grzejniki. Miejsce idealnie nadawało się do rozważań, pomimo pokaźnych rozmiarów sali człowiek czuł się tu bezpiecznie jak w jakimś przytulnym prywatnym klubie. Emma zwróciła uwagę na elementy, które tworzyły ten nastrój: tysiące bogato oprawionych dzieł na półkach, szelest kartek przewracanych przez czytelników, odgłos piór przesuwających się po papierze czy uderzeń w klawisze komputerów.

Dlaczego nagle poczuła wielką potrzebę znalezienia się w bezpiecznym miejscu? Ponieważ otwierając czerwoną sportową torbę, ukrytą w suficie w domu Shapirów, od razu zdała sobie sprawę, że zobaczyła coś, czego widzieć nie powinna. Coś potencjalnie bardzo

groźnego.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie wszystko w szczegółach. Kiedy odsunęła suwak, zobaczyła dziesiątki pakietów studolarówek. Szybko dokonała w myślach obliczeń. Torba ważyła co najmniej pięć kilo. Ile waży studolarowy banknot? Niecały gram. W torbie musiało więc być co najmniej pół miliona dolarów. Pół miliona dolarów...

Kto chowa pół miliona dolarów pod sufitem swojej garderoby? Emma spojrzała pytająco na zdjęcie Kate i odniosła wrażenie, że tamta mierzy ją czujnym wzrokiem. Kim jesteś naprawdę, Kate Shapiro?

Kim jesteś, Jekatierino Ludmiło Swatkowska?

\*

Emma zebrała swoje rzeczy. Miała właśnie włożyć laptop do plecaka, kiedy przypomniała sobie o zdjęciach Matthew, które przegrała na pendrive z komputera w jego domu. Transfer został przerwany przez niespodziany powrót Matthew i jego żony, ale kilkaset zdjęć zdążyło się przekopiować. Przejrzała je szybko, zaczynając od najnowszych. Były to sceny z życia szczęśliwej rodziny, życia, które kręciło się wokół małej Emily. Emma przyspieszyła pokaz slajdów, żeby cofnąć się w czasie, zanim urodziła się córeczka Shapirów, zanim Matthew poślubił Kate. I to, co odkryła, zdumiało ją: oto Matthew był już raz żonaty, nim spotkał Kate.

Dziesiątki fotografii przedstawiały drobną szczupłą brunetkę, z długimi włosami splecionymi w warkocz. Nawet pozując do zdjęć, rzadko się uśmiechała. Miała pociągłą poważną twarz, wyglądała na intelektualistkę, na przykład konserwatywną nauczycielkę lub zdyscyplinowaną bibliotekarkę.

Przesuwała zdjęcia, aż doszła do fotografii ze ślubu. Były to stare zdjęcia, jeszcze sprzed epoki aparatów cyfrowych, po prostu zeskanowane fotografie. Na jednej widać było gigantyczny różowo-biały piętrowy tort, ciężki od kremu. Napis na marcepanowym kwadraciku podawał imiona i datę:

*Sarah + Matt  
20 marca 1996*

Internet pozwolił Emmie odnaleźć ślad pewnej „Sarah Shapiro” w raporcie z jakiejś wycieczki szkolnej uczniów drugiej klasy szkoły podstawowej z Roxbury. Dokument w internecie miał sześć lat, ale Emma na wszelki wypadek zadzwoniła do tej szkoły. Mimo że trwały właśnie ferie, sekretariat był czynny. Tak, Sarah Shapiro kiedyś uczyła. Po rozwodzie wróciła do swego panińskiego nazwiska - Higgins - i poprosiła o przeniesienie gdzie indziej. Emmie przekazano dane szkoły w Wattapan. Kolejny telefon. Następny sekretariat. Dopisało jej szczęście: Sarah Higgins uczyła u nich, w dodatku szkoła przyjmowała dzieci z biednych rodzin na okres ferii bożonarodzeniowych. W tym momencie Sarah opiekowała się grupą uczniów bawiących się na miejskiej ślizgawce w Wattapan. .

**Boston 2011**

**11.15**

Matthew wrócił do domu załamany. Otworzył drzwi i zauważył krótki liścik przypięty do tablicy korkowej:

*Poszłyśmy na targ świąteczny na Marlborough Street.  
Jeśli będziesz grzeczny, przyniesiemy Ci butelkę cydru.*

Podszedł Clovis i otarł się o jego nogi. Matthew podrapał go po pysku. Pies przewrócił miskę z wodą i Matthew, wciąż zagłębiany w swoich myślach, napełnił mu ją z powrotem. Laptop nadawał się już wyłącznie do wyrzucenia, ale mógł użyć starego domowego komputera, żeby odczytać dane z jego pamięci. Usiadł więc przy mozaikowym stoliku, tam gdzie stał komputer, i podłączył dysk zewnętrzny otrzymany od starego hipisa. Dysk był prawie pusty, wkrótce więc Matthew znalazł plik wideo (IMG-5662.MOV), którego szukał. Puścił nagranie, najwyraźniej zarejestrowane telefonem komórkowym, i skamieniał na całe trzy minuty, bo tyle trwał filmik. Nie wierzył własnym oczom. Kate przytulona do jakiegoś nieznanego mężczyzny! Całowali się i pieścili, rzucali sobie zakochane spojrzenia.

- NIE! Rzucił o ścianę pierwszym przedmiotem, który wpadł mu w ręce: porcelanowym kubkiem z ołówkami. Przestraszony Clovis schował się pod stół, kiedy kubek roztrzaskał się na tysiąc kawałków. Matthew zamknął oczy, zakrył twarz dłońmi i zamarł na dłuższą chwilę. Był zdruzgotany. To niemożliwe! - tłukło mu się po głowie. Wyprostował się. Musiało istnieć jakieś proste wyjaśnienie tej sytuacji. Nawet pozornie oczywiste obrazy mogły mieć jakiś ukryty sens. Przede wszystkim, kiedy nagrano film? Choć Emma nie napisała tego wprost, łatwo było się domyślić, że zarejestrowała wydarzenia krótko przed wysłaniem e-maila. Musiało to być dwudziestego trzeciego grudnia 2010 roku, a więc ledwo dzień przed wypadkiem i śmiercią Kate. Kolejne pytanie: gdzie to było? Boazerie przypominały mu Grill 23 albo McKinty's, lokale, do których czasem chodzili, ale gdy przyjrzał się bliżej lustru i zegarowi ściennemu, nie pasowały do tamtych miejsc. Teraz facet: wysoki, krótko obcięte blond włosy, kurtka z czarnej skóry. Czy go Znał? Być może, nie mógł jednak sobie przypomnieć, kto to taki. I w końcu ich zachowanie, najbardziej dla niego bolesne. Kate kochała tamtego mężczyznę, nawet ślepy by to zauważył. Byli ze sobą najwyraźniej bardzo blisko, ich oddechy się mieszały, oba serca przebiegał ten sam dreszcz. Od kiedy to mogło trwać? Jak to się stało, że nic nie zauważył? Zaciśnął pięści. Zalała go wściekłość i poczuł ogromne rozczarowanie. Kate, miłość jego życia, zdradziła go, a on dowiedział się o tym dopiero teraz, w rok po jej śmierci! Przygnębienie z powodu zdrady zmieniło się wkrótce w niesmak. Wciąż zszokowany podszedł wolnym krokiem do werandy i otworzył oszklone drzwi. Potrzebował świeżego powietrza, czuł się jak nurek, który zbyt długo przebywał pod wodą. Oddychał ciężko, nogi się pod nim ugięły i opadł na krzesło ogrodowe. Jego ciałem wstrząsnął szloch, łzy, których nie umiał pohamować, spływały mu po twarzy. Poczul w ustach kwaśny smak.

Nagle z salonu dobiegł radosny okrzyk Emily:

- Tata, tata, kupiliśmy ci cydr i piernikowe ludziki! Dziewczynka wpadła na taras i rzuciła mu się w ramiona, a on przytulił jej słiczną buzię, jednocześnie ocierając rękawem łzy. April zauważyła, w jakim jest stanie, i posłała mu pytające spojrzenie.

„O-po-wiem-ci-później!” - wyartykułował niemo, żeby mogła przeczytać z ruchu jego warg.

- Tatusiu, naprawiłeś komputer? Pokręcił głową.

- Nie, rybko, ale to nic nie szkodzi.

- Tak mi przykro - powiedziała, spuszczać smutnie oczy.

- To mogło się zdarzyć każdemu, kochanie. Każdy z nas popełnia błędy. Będiesz wiedziała

następnym razem, żeby nie stawiać kubka z gorącym kakao przy komputerze.

- Tak! - obiecała, unosząc twarz ku słońcu.

Jak zwykle ostre światło spowodowało, że kichnęła.

- Na zdrowie, dziecinko!

- Nie jestem już dziecinką! To kichnięcie...

Matthew zmrugał oczy i zamarł, ogłuszony przez wspomnienie, które wybuchło nagle w jego głowie z siłą granatu.

\*

Sześć miesięcy wcześniej, czwartego lipca 2011 roku, w święto narodowe, przyjął zaproszenie od Rachel Smith, jednej z koleżanek z Harvardu, która organizowała przyjęcie w ogrodzie swej wiejskiej posiadłości na Cape Cod: znajdowała się tam stara latarnia morska stojąca na nadmorskiej skale, widać z niej było ocean aż po horyzont. Podczas gdy mężczyźni zajmowali się grillowaniem, kobiety stały przy brzegu i plotkowały, a dzieci bawiły się we wnętrzu latarni pod opieką niani.

- Kto chce kurczaka?! Kto chce hot doga?! - pokrzykiwał zachęcająco David Smith, sympatyczny facet, zawsze w humorze, internista z Charlestown.

Cztery dziewczynki natychmiast przybiegły ze swojej kryjówki, wygłodniałe. Był wspaniały letni dzień. Słońce piekło. Wybiegając na ostre światło, Emily zakryła usta dłonią i kichnęła dwa razy.

- Zawsze kicha, gdy wybiega z cienia na słońce, to dziwne, prawda? - zauważył Matthew.

- Nie przejmuj się tym - odparł David. - To znane zjawisko: światło wywołuje kichanie u mniej więcej jednej osoby na cztery. Niewinna genetyczna przypadłość. W medycynie ma swoją nazwę: zespół ACHOO.

- Jak to tłumaczysz?

Lekarz machnął w powietrzu długim widelcem do grilla, jakby stał przed tablicą szkolną.

- Wiesz, co to nerw wzrokowy? Znajduje się niedaleko nerwu trójdzielnego, który jest odpowiedzialny za funkcjonowanie nerwów całej twarzy. To on powoduje wydzielanie się łez czy śliny i wywołuje grymasy twarzy. Jak również powoduje kichanie.

- Zrozumiałem - powiedział Matthew.

David wskazał widelcem na słońce.

- Przy nagłym przejściu do silnie naświetlonego miejsca u niektórych osób działanie tych nerwów krzyżuje się, silne światło bowiem stymuluje nerw wzrokowy, który wpływa na jądro nerwu trójdzielnego i wywołuje kichnięcie.

- Coś tak jak zwarcie elektryczne?

- Dokładnie tak, stary.

- I jesteś pewien, że to nic poważnego?

- Absolutnie! To tylko niewielka anomalia genetyczna. Zresztą ty też musisz to mieć.

- Nie mam nic takiego.

- W takim razie miała to Kate. -- Dlaczego?

- Bo to jest cecha dziedziczna autosomalna dominująca.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że każda osoba dotknięta tą anomalią ma co najmniej jednego rodzica, który jest również nią dotknięty. Więc jeśli to nie ty, z pewnością była to Kate. Masz, weź swój stek, zanim się spali.

Matthew pokręcił głową i odszedł. Przez cztery lata ani razu nie zauważył, żeby Kate

kichała, wychodząc na słońce...

- Tato, zobacz, jakiego mam wielkiego hot doga! - wykrzyknęła Emily, rzucając mu się w ramiona, i zdobiąc jego koszulę wielką plamą ketchupu.

- Och...

- Nic nie szkodzi, ale uważaj, kochanie, uspokój się trochę.

Wytań czerwona plamę z ubrania, myśląc cały czas o tym, co powiedział mu lekarz.

Potem postanowił nie przejmować się tym więcej i zapomniał o całej sprawie.

\*

Teraz tamta scena stanęła mu przed oczami jak żywa.

Poczuł się, jakby dostał cios w splot słoneczny. Narodziła się w nim straszna wątpliwość.

A jeśli Emily nie jest jego córką? Wrócił myślami w przeszłość. Spotkał Kate w październiku 2006 roku. Według tego, co mu powiedziała, Emily została poczęta dwudziestego dziewiątego października. Urodziła się osiem miesięcy później, dwudziestego pierwszego czerwca, w pierwszy dzień lata. Za wcześnie o miesiąc, zwykła sprawa. Z tym że Emily nie wyglądała na wcześniaka: ważyła w momencie narodzin trzy tysiące czterysta gramów, miała pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i prędko została wypuszczona ze szpitala. Tak się cieszył, że został ojcem, iż w ogóle nie przejął się tymi szczegółami.

- Tata, tata? Chcesz spróbować swojego piernika? Pytanie Emily nie odciągnęło jego uwagi od ponurych myśli.

- Później, kochanie - wymamrotał.

Odwrócił się do April i bez dodatkowych wyjaśnień rzucił:

- Muszę wyjść coś załatwić.

\*

## **Boston, 2010**

**12.30**

Emma wysiadła z taksówki przy Somerset Street, w samym sercu dzielnicy Wattapan w południowej części Bostonu.

Tego typu miejsc nie opisuje się zazwyczaj w przewodnikach turystycznych. Z powodu śniegu ulice były prawie puste. Emma nie czuła się zagrożona, ale okolica sprawiała dość przygnębiające wrażenie: ceglane domki czekały na odnowienie, co chwilę mijała jakieś magazyny, domy z dachami z blachy falistej, ściany pomazane graffiti i płoty otaczające dzikie tereny. Idąc w górę ulicy w poszukiwaniu ślizgawki, Emma przeszła obok grupy bezdomnych, którzy ogrzewali się na chodniku wokół koksownika i pili piwo z puszek schowanych w papierowych torbach. Mijając ich, usłyszała kilka pijackich przekleństw, ale to nie wystarczyło, żeby ją spłoszyć i zmusić do rezygnacji z planów. W końcu dotarła przed budynek lodowiska. Był to ogromny metalowy hangar z fasadą pomazaną sprayem przez miejscowych chuliganów. Weszła do środka. Kupiła bilet, żeby móc wejść na lodowisko, ale ruszyła od razu w kierunku ławek, nawet nie zaglądając do szatni. Dziecięce krzyki niosły się echem po całej hali. Połowa lodowiska była wydzielona dla grupy uczniów sześciocy siedmioletnich, których jakiś młody trener wprowadzał w tajniki gry w hokeja. Oprócz trenera były tam jeszcze dwie młode nauczycielki, które pilnowały dzieci, pomagały im założyć łyżwy, poprawiały kaski albo ochraniacze, pomagały wstać po upadku. Emma podeszła nieco bliżej. Od razu rozpoznała jedną z nauczycielek - była to Sarah Higgins. Obcięła bardzo krótko



włosy i jeszcze schudła. Miała na sobie dzinsy i gruby wełniany sweter, no i oczywiście była starsza niż na zdjęciach. - Pani Shapiro? Sarah Higgins odwróciła się nagle, jakby ją złapał prąd, i wbiła w Emmę zdumione spojrzenie. Od dawna już nikt tak jej nie nazywał...

- Kim pani jest? - spytała, podjeżdżając na łyżwach do bandy. - Jestem przyjaciółką Matthew. Myślę, że ma kłopoty, i chciałabym mu pomóc. - Nic mnie to nie obchodzi. - Czy może mi pani poświęcić pięć minut?

- Nie teraz. Widzi pani, że pracuję.

- To naprawdę ważne - nie ustępowała Emma. Sarah westchnęła, zrezygnowana.

- Trochę dalej na tej samej ulicy jest taka kawiarnia... Proszę tam na mnie zaczekać.

Przyjdę za kwadras.

\*

Dwadzieścia minut później

- Byłam żoną Matthew przez prawie dziesięć lat, ale znam go znacznie dłużej - zaczęła Sarah, zanim jeszcze wypła łyk herbaty.

Emma siedziała naprzeciw niej i słuchała z uwagą, międląc nerwowo słomkę, która wystawała z jej szklanki z coca-colą.

- Spotkaliśmy się w dziewięćdziesiątym drugim roku na Uniwersytecie Massachusetts. Matt studiował filozofię, a ja pedagogikę.

- Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Powiedzmy, bardziej fascynacja intelektualna. Czytaliśmy te same książki, mieliśmy podobne poglądy, głosowaliśmy tak samo. Zresztą po raz pierwszy pocałowaliśmy się w wieczór, kiedy Bill Clinton został prezydentem. Oboje pracowaliśmy jako wolontariusze w jego Komitecie Wyborczym...

Sarah odwróciła głowę i przymknęła oczy, jakby to wszystko wydawało jej się bardzo odległe. Emma zadała kolejne pytanie:

- Rozstaliście się cztery lata temu, prawda?

- Trochę wcześniej. To było dla mnie nagłe i nieoczekiwane.

- Przechodziliście trudny okres?

- Nawet nie. Żyliśmy sobie spokojnie, byliśmy szczęśliwi, a przynajmniej ja byłam...

- Matthew oszedł z dnia na dzień?

Sarah zaśmiała się nerwowo.

- Rzeczywiście można tak powiedzieć. Któregoś wieczoru wrócił do domu i powiedział mi, że spotkał kobietę, w której się zakochał, i że chciałby z nią zamieszkać. Był bezwzględnie pewien swojej decyzji. Nie dał mi żadnej szansy.

- Czy to była Kate?

- Oczywiście! Spotkał ją kilka dni wcześniej w szpitalu. Zranił się sekatorem podczas pracy w ogrodzie, a ona udzieliła mu pierwszej pomocy. I pomyśleć, że to ja nalegałam, by go odwieźć na pogotowie! Matt mówił, że nic mu nie jest, i w ogóle nie chciał jechać do żadnego szpitala...

Emma nie mogła się powstrzymać.

- I nie walczyła pani o niego? Sarah wzruszyła ramionami.

- Widziała pani tę kobietę? Nie miałam żadnych szans.

Była ode mnie młodsza, ładniejsza, wygadana... A poza tym przez cały czas bezskutecznie staraliśmy się o dziecko, więc... Zająknęła się i dopiero po chwili milczenia podjęła opowieść: - Matthew to romantyk i idealista. Gdy spotkał Kate, wmówił sobie, że się idealnie

dopełniają. I najwyraźniej ona również go pokochała. Może nawet bardziej niż ja? W każdym razie umiała lepiej afiszować się ze swoimi uczuciami.

W oczach kobiety zabłyśły łzy.

- Przez jakiś czas się łudziłam, że to chwilowe zauroczenie, a potem, kiedy dowiedziałam się, że Kate jest w ciąży, zrozumiałam że wszystko między Mattem i mną skończone.

Nagle do kawiarni wpadła grupa dzieci, powodując straszny hałas. Sarah zerknęła na zegarek i wstała.

- No dobrze, muszę już iść. Dlaczego mówi pani, że Matt ma kłopoty?

- Ja... Nie mogę pani jeszcze tego powiedzieć. Czy ma pani z nim kontakt?

Sarah pokręciła głową.

- Chyba pani żartuje? Ostatnie lata były dla mnie straszne! Dopiero zaczynam wychodzić z depresji po rozwodzie. Od czterech lat nie zamieniłam z Matthew ani słowa i nie mam zamiaru tego zmieniać.

## Rany wywołane przez prawdę

*Prawdy, które najmniej chcemy poznać, to te, których powinniśmy się dowiedzieć jak najszybciej, dla naszego własnego dobra.*

### PRZYSŁOWIE CHIŃSKIE

**Boston, 2010**

**17.00**

Była noc. Grube, wyciszające dźwięk warstwy śniegu wciąż rosły na ulicach Bostonu.

Puszyste płatki opadały na przednią szybę taksówki, co chwilę energicznie zmiotane przez wycieraczki. Samochód dojechał do Boylston Street i stanął przed hotelem Four Seasons. Portier pomógł Emmie wysiąść i trzymając nad nią otwarty parasol, doprowadził ją do drzwi frontowych. Zamyślona przeszła przez hol, nie zatrzymując się. Kiedy już podchodziła do wind, dotarło do niej, że woła ją recepcjonistka.

- Panno Lovenstein, pani brat przyjechał do nas godzinę temu. Umieściłam go w pokoju przylegającym do pani apartamentu.

- Mój brat? Jaki brat?

Wjechała na siódme piętro i weszła do siebie. W jej pokoju czekał na nią... Romuald Leblanc. Wyciągnięty na kanapie pogryzał chipsy z minibaru, popijając je puszką jakiegoś gazowanego napoju. Z jego iPoda rozbrzmiewał głos Jimiego Hendrixa.

- Żabojadzie, to ty!?

Emma rozejrzała się. Chłopak przywiózł ze sobą cały swój dobytek: walizkę, plecak, jakąś dużą torbę. Nawet drona, który stał na niskim stoliku w salonie.

- Co tu robisz? - spytała, ścisząc muzykę.

- Przyjechałem pani pomóc - wymamrotał z pełnymi ustami.

- Pomóc mi? W czym?

- Wydaje mi się, że ma pani kłopoty. Nie przychodzi pani do pracy, dostaje dziwne e-maile, zakrada się pani do cudzych mieszkań...

Najwyraźniej prowadzi pani jakieś śledztwo.

- Co cię to obchodzi?

- Obchodzi, bo prędzej czy później to mnie prosi pani o pomoc.

Emma popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Właściwie miał rację, uznała jednak, że lepiej mu tego nie mówić.

- Posłuchaj, chłopcze, to bardzo miłe z twojej strony, ale zrób mi uprzejmość, zabieraj swoje manele i już cię tu nie ma!

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że jesteś niepełnoletni. Po drugie znalazłeś się nielegalnie na terytorium Ameryki. I po trzecie dlatego, że twoi rodzice z pewnością bardzo się o ciebie niepokoją, a poza tym ja sama mam dość problemów, żebym jeszcze musiała się zajmować tobą!

Chłopak zerwał się z kanapy, zdecydowany nie ustąpić.

- Ale ja mogę pani pomóc w tym śledztwie! We dwójkę wszystko idzie szybciej, łatwiej o

logiczne myślenie. Zresztą większość słynnych detektywów działała w parach, na przykład Sherlock Holmes i doktor Watson, Batman i Robin, Starsky i Hutch, Brett Sinclair i Danny Wilde...

- Dobrze już, dobrze, nie musisz mi tu ich wszystkich wymieniać! - zirytowała się Emma.

- Lods i Clark, Hit-Girl i Big Daddy, Richard Castle i Kate Beckett... - ciągnął Romuald, wymachując rękami.

- JUŻ WYSTARCZY! - wrzasnęła Emma.

- Powiedziałaś, nie! Nie to znaczy nie! - Wyjęła z plecaka laptop, postawiła go na stole i podniosła klapę.

- Pomogłeś mi, to prawda, i bardzo za to dziękuję. Stawiam ci w zamian bilet powrotny do Paryża. Chętnie również zapłacę za twój nocleg w hotelu, ale w Hiltonie na lotnisku, nie tutaj.

Geek odchrząknął gniewnie. Emma zignorowała tę manifestację i zaczęła szukać połączenia ze stroną Delta Airlines.

- Niech pani zaczeka! - wykrzyknął nagle.

- Co takiego?

- To zdjęcie! - Romuald wskazał ekran laptopa.

Był to kadr z nagrania w pubie, przedstawiał Kate i jej domniemanego kochanka.

- Znasz tę kobietę?

- Nie, jej nie znam, ale oczywiście znam tego faceta!

Emma poczuła skurcz w żołądku, jakby dostała zastrzyk adrenaliny.

- Słucham cię, mów.

- To Nick Fitch. Prawdziwa legenda, jeden z najbardziej tajemniczych i najbogatszych biznesmenów świata.

## **Boston, 2011**

Usadowiona na mięciutkim pufie w towarzystwie ukochanego pieska Emily oglądała wreszcie swój ulubiony film: Pogromcy duchów.

- Boisz się, Clovis, co? - zażartowała, przytulając się do niego.

Matthew siedział na taborecie przy wyspie kuchennej. Czytał instrukcję użycia testu, który nabył w aptece na Charles Street. Skonsternowana April patrzyła na niego z dezaprobatą.

Ustalenie ojcostwa to w Stanach nic trudnego. Za jedyne trzydzieści dolarów można bez recepty nabyć specjalny zestaw w prawie każdej drogerii, a czasem nawet w supermarkecie.

Każdy również może ten test sam wykonać: wystarczy wysłać dwie próbki komórek pobranych z wewnętrznej strony policzka za pomocą dołączonych do zestawu grubych wacików. Jedna próbka ojca, druga dziecka.

Matthew pierwszy włożył sobie wacik do ust i przez około pół minuty pocierał wewnętrzną stronę policzka, po czym wsunął pobraną próbkę do specjalnej koperty. Potem wyjął 2 kieszeni marynarki słodczyce kupione w sklepie spożywczym.

- Kochanie, chcesz ptasie mleczko?

- Naprawdę? Kupiłeś je specjalnie dla mnie? - zapytała ucieszona dziewczynka, otwierając szeroko oczy.

Zerwała się z pufa i podbiegła do niego.

- Dziękuję ci, tatusiu!

- Ale najpierw musisz zrobić małe ćwiczenie.

- Jakie?

- Nic trudnego, zobaczysz, otwórz buzię.

Dziewczynka posłuchała, a Matthew zaczął delikatnie pocierać od wewnątrz jej policzek.

- Liczę do trzydziestu i dostaniesz swoje ptasie mleczko, zgoda? Raz, dwa, trzy... April rzuciła mu spojrzenie pełne złości i pogardy.

- Jesteś naprawdę beznadziejny... - wyszeptała.

Nawet jej nie odpowiedział.

- ...dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć i trzydzieści! Brawo, pchełko, zasłużyłaś na nagrodę!

- Mogę dać też Clovisowi?

- Kawaleczek, tylko żeby spróbował - zgodził się Matthew, wsuwając próbkę Emily do drugiej koperty.

Potem włożył wszystko do trzeciej koperty bąbelkowej i dołączając czek (sto pięćdziesiąt dziewięć dolarów dla laboratorium oraz dodatkowe dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, żeby analiza została wykonana tego samego dnia), zakończył całą operację i zaadresował kopertę:

*InfiniGene*

*425 Orchid Street*

*West Cambridge, MA 02138*

Kupując test, wybrał specjalnie laboratorium w Massachusetts, żeby analiza mogła zostać wykonana jak najszybciej i żeby jeszcze tego samego dnia wieczorem przesłano mu wyniki e-mailem. Jednak próbki musiały dotrzeć na miejsce przed drugą po południu.

Popatrzył na zegar ścienny.

Trzynasta dziesięć. Oczywiście było już za późno na UPS lub FedEx, ale mógł sam zawieźć kopertę. Nawet przy dużym ruchu będzie na miejscu w mniej niż pół godziny.

- Możesz mi pożyczyć samochód, April?

- Możesz się odpieprzyć, Matthew? Z drugiego końca pokoju zabrzmiał głosik Emily:

- Nie wolno przeklinać, April! - co mówiąc, dziewczynka zatkała uszy szar peia.

Matthew włożył płaszcz i wziął swoją teczkę.

- Trudno, złapię taksówkę na Beacon Street - powiedział, wsuwając kopertę pod pachę.

\*

April popatrzyła na Emily. Wiedziała, że musi coś zrobić, bo inaczej jej przyjaciel popełni największe głupstwo w swoim życiu.

Podeszła do miękkiego pufa, na którym siedzieli wygodnie dziewczynka z psem.

- Muszę na chwilę zostawić cię samą, serduszek, obiecujesz, że będziesz grzeczna?

Trochę zaniepokojona dziewczynka zagryzła wargi.

- Mam nie bawić się zapałkami, tak?

- Masz tu siedzieć i oglądać Pogromców duchów, i grzecznie czekać na Piankowego Marynarzyka. To twoja ulubiona postać, prawda?

Emily przytaknęła w milczeniu.

April wyciągnęła groźnie palec, wskazując na psa.

- A ty, hipopotamie, masz pilnować małej!

Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, chwyciła kluczyki do samochodu i wyszła na Louisburg Square. Samochód stał po drugiej stronie parku. Przekręciła kluczyk w stacyjce, ruszyła prosto przed siebie, żeby wyjechać na Charles Street, i bez wyrzutów sumienia przejechała na czerwonym świetle na skrzyżowaniu w kierunku Beacon Street.

Jeśli Matt złapał taksówkę na szerokiej alei, musi jeszcze gdzieś tu być. April prześlizgnęła się między samochodami, patrząc na każdego pasażera w mijanych taksówkach.

Już po jakichś pięciuset metrach zauważyła Matthew siedzącego w CleanAir Cab, jednej z tych hybrydowych taksówek, których od dwóch czy trzech lat było w mieście coraz więcej.

Przyśpieszyła, podjechała bliżej i dała mu znak, żeby wysiadł. Ale Matthew nie chciał jej posłuchać. Wprost przeciwnie, nachylił się ku kierowcy, prosząc go, by jechał szybciej.

April westchnęła i zwolniła, trzymając się tuż za toyotą. Pozwoliła taksówce wjechać na żelazny Harvard Bridge, potem przyśpieszyła. Przez kilka metrów oba samochody jechały równolegle i niebezpiecznie blisko siebie, aż się zetknęły karoseriami. Taksówkarz się przestraszył i zatrzymał wóz.

- Proszę natychmiast wysiadać! - rozkazał Matthew. - Będę miał przez pana kłopoty!

April stanęła za zieloną taksówką.

Matthew próbował przekonać kierowcę, żeby jechał dalej, ale ten nie chciał go w ogóle słuchać i szybko odjechał w kierunku centrum.

April włączyła światła awaryjne i wysiadła z samochodu przy akompaniamencie klaksonów.

Zatrzymywanie się na moście było niebezpieczne i zdecydowanie zabronione.

- Wracajmy do domu! - krzyknęła, podchodząc do Matta, stojącego na pasie przeznaczonym dla pieszych i biegaczy.

- Nie ma mowy! Co cię to wszystko obchodzi, do cholery!?

- A co zmieni ten test na ojcostwo? - spytała April, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas mijających ich samochodów. - Czy będziesz mniej kochał Emily, jeśli się okaże, że nie jest twoją biologiczną córką?

- Oczywiście, że nie, ale nie chcę żyć w nieświadomości i kłamstwie.

- Zastanów się dobrze, Matt! - April położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zastanowiłem się. Mam prawo do prawdy. Chcę zrozumieć, co się stało z Kate. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie zdradziła i z kim.

- Kate nie żyje, Matt. Musisz wreszcie się z tym pogodzić. Przeżyliście razem bardzo szczęśliwe lata i niezależnie od tego, co w jej życiu działo się wcześniej, wybrała ciebie na ojca swojego dziecka.

Matt zastanowił się, ale zbyt mocno cierpiał, żeby się z tym zgodzić.

- Nie rozumiesz, Kate mnie zdradziła. Ufałem jej bezgranicznie! Opuściłem dla niej moją poprzednią żonę...

- Już od dawna nie kochałeś Sarah - zauważyła April.

- Nieważne. Cztery lata temu pozwoliłem, żeby w moje życie wkroczyła zupełnie obca osoba, choć wydawało mi się, że ją znam. Muszę wiedzieć, kim naprawdę była. Muszę to zbadać.

April chwyciła Matthew za kołnierz płaszcza i szarpnęła nim gwałtownie.

- Ale ona nie żyje, nie żyje, rozumiesz to, do cholery?! Obudź się! Po co tracić czas na grzebanie w przeszłości ludzi, którzy już zmarli?

- Żeby ich naprawdę poznać! - odpowiedział, wrywając się jej.

- A ja? Znasz mnie naprawdę? - spytała, zmieniając nagle temat.

Zmarszczył brwi.

- Tak, wydaje mi się, że tak. To znaczy, jesteś moją najbliższą przyjaciółką i...

- Ale co wiesz o mnie naprawdę, Matt?

- Urodziłaś się gdzieś koło San Diego. Twoi rodzice mieli antykwariat. Studiowałaś sztukę na UCLA\*, potem...

- To jest to, co ci opowiedziałam, tyle że to nieprawda. Moja matka przespała się z połową męskiej populacji stanu Nevada i nie umiała mi powiedzieć, kto był moim ojcem. Nie miała żadnego antykwariatu. Była alkoholiczką, oszukiwała ludzi i piła, i niczego więcej nie zrobiła w całym swoim życiu. Sztuka? Nie studiowałam na żadnym uniwersytecie, uczyłam się w Chowchilla, największym żeńskim więzieniu w Kalifornii. No widzisz, Matt. Byłam w więzieniu.

Matthew skonsternowany popatrzył April w oczy. Przez kilka chwil myślał nawet, że żartuje, jednak nie... Mówiła prawdę.

- Nie będę ci tu odmalowywać scen z Dickensa, ale moje dzieciństwo i młodość były co najmniej skomplikowane - ciągnęła. - Obracałam się w szemranym towarzystwie, uciekałam z domu, brałam narkotyki. Był okres, kiedy mogłam zrobić wszystko, żeby tylko dostać swoją działkę. Naprawdę wszystko. - Po jej policzku spłynęła nagle łza. Gwałtownie wróciły do niej bolesne i poniżające sceny z przeszłości, ale odepchnęła je. - Oczywiście moje zejście do piekieł skończyło się więzieniem. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, policja zatrzymała mnie za kradzież i rozbój. Dostałam trzy lata i zamknięto mnie w Chowchilla. Oto, kim jestem naprawdę...

- Przerwała, żeby odetchnąć, odsunęła nieposłuszny kosmyk, który wiatr zwał jej na oczy.

- Jestem tą kobietą, jednak nie tylko tą - odezwała się w końcu.

- Jestem też kobietą, która walczyła o drugą szansę, odbudowałam swoje życie na drugim końcu kraju, nie tknęłam drągów od dziesięciu lat i posiadam doskonale prosperującą galerię sztuki.

- Mogłaś mi zaufać - powiedział Matt.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?

- Bo trzeba w życiu iść naprzód. Przeszłości nie da się zmienić. Niech zmarli zostaną między zmarłymi...

\* UCLA - University of California, Los Angeles.

Matthew spuścił głowę. April skończyła swoją opowieść, przekonała go.

- Uspokój się, nie podawaj wszystkiego w wątpliwość, bo sprawisz sobie jeszcze większy ból. Pozory często mylą. Kate nie może opowiedzieć swojej wersji wydarzeń. Niech wątpliwość przemówi na jej korzyść. Robiąc test na ojcostwo, rozgrzebując przeszłość Kate, doprowadzisz do tego, że unieszczęśliwisz nie tylko siebie, ale także Emily. Puść to wszystko w niepamięć, błagam cię, Matt.

Oszołomiony, z oczami pełnymi łez, Matthew wręczył April teczkę. Wyjęła z niej laptopa i kopertę przeznaczoną dla laboratorium. Nachyliła się nad poręczą i wyrzuciła wszystko do rzeki.

Potem pomogła zdruzgotanemu Matthew wsiąść do samochodu i pojechali do domu.

\*

Koperta bąbelkowa została uniesiona przez silny prąd rzeki Charles i szybko znalazła się w Atlantyku. Co do laptopa, ten dostał się w lodowatą głębię, tam gdzie nikt go nigdy nie znajdzie.

Kontakt Matthew z Emmą stał się niemożliwy.

\*

Tyle że to nie było takie proste, na jakie by wyglądało...

Część czwarta  
Kobieta znikąd



**Boston, 2010**

**18.30**

Restauracja japońska w stylu zen zajmowała dogodną przestrzeń na parterze hotelu. Emma i Romuald przebili się do baru sushi i usiedli obok siebie. Romuald wyjął swój tablet z plecaka i wręczył go Emmie, żeby mogła się zapoznać z dokumentacją, którą ściągnął.

- Nick Fitch to ktoś pomiędzy Steve'em Jobsem a Markiem Zuckerbergiem - zaczął wyjaśniać.

- Nawet jeśli nie jest bardzo znany, to prawdziwa legenda w środowisku informatycznym. Emma słuchała go i jednocześnie przebiegała oczami notkę biograficzną.

Nicholas Patrick, znany jako Nick Fitch, urodzony 9 marca 1968 roku w San Francisco, amerykański informatyk, założyciel i dyrektor firmy Fitch Inc.

## **Pirat**

W wieku lat siedemnastu założył się z przyjacielem, że dostanie się za pomocą uniwersyteckiego komputera do serwerów NASA, uważanych za najlepiej chronione na świecie. Zrobił to i przez kilkanaście minut przeglądał dokumenty agencji rządowej, niczego nie kopiując. Po paru dniach policja zatrzymała go na terenie Uniwersytetu Berkeley i kilka miesięcy później był sądzony za włamanie się do systemu informatycznego instytucji państwowej. Z uwagi na jego młody wiek i fakt, że nie ukradł żadnych poufnych danych, sąd był dla niego wyrozumiały i Fitch został skazany tylko na dwa miesiące domu poprawczego i rok kurateli sądowej. - Ten facet miał mniej więcej taką młodość jak ty - zauważyła Emma.

- Nie mogła mi pani powiedzieć większego komplementu! - wykrzyknął Romuald, uśmiechając się szeroko. Zadowolony chwycił temaki z węgorka i włożył szybko do ust. Potrawy serwowano tu w systemie kaiten zushi, to znaczy przesuwały się one na specjalnym pasie transmisyjnym i klienci sami mogli dokonywać wyboru. Pod przezroczystymi kloszami wykładano specjalności restauracji na małych talerzykach w różnych kolorach w zależności od ceny.

Emma zamówiła herbatę i dalej czytała o kochanku Kate.

## **Autor gier komputerowych**

Na początku lat dziewięćdziesiątych Nick Fitch dał się poznać jako twórca Promised Land, strategicznej gry czasu rzeczywistego, osadzonej w wyimaginowanym świecie heroic fantasy. Gracz utożsamiał się z rycerzem o imieniu Czarny Książę, obrocą Trzech Ziemi, starającym się odeprzeć ataki wojowniczych stworów i udaremnić spiski wrogów królestwa. Grę kupiła od Fitcha za rekordową sumę firma DigitalSoft, która do roku 2001 wypuściła kilka kolejnych jej wersji.

## Twórca systemu operacyjnego

Jeszcze jako student Nick Fitch wpadł na pomysł ciekawego systemu operacyjnego, Unicorn, którego kod źródłowy opublikował w internecie, czyniąc go w ten sposób dostępnym za darmo dla wszystkich. Z czasem zaczynają go używać, kopiować i ulepszać całe grupy programistów. Powoli platforma zyskuje opinię stabilnej i godnej zaufania, ale jej popularność ogranicza się do środowiska informatycznego.

### Założyciel firmy Fitch Inc.

Aby rozwinąć system Unicorn, Nick Fitch stworzył własną firmę, Fitch Inc., która zajęła się uproszczeniem go, aby był łatwy w obsłudze dla mało doświadczonych użytkowników. Fitch Inc. stała się wyłącznym dystrybutorem Unicorn, komercjalizując liczne usługi związane z korzystaniem z tego programu, jak pomoc techniczna, doradztwo i szkolenia dla pracowników. Niektórzy z pierwszych „unicornowców” wyrzucali wówczas Fitchowi, że chce zmienić swój system operacyjny w produkt uproszczony i standardowy. Ta taktyka przyniosła jednak rezultaty, gdyż Unicorn powoli stał się programem konkurującym z systemem Windows, głównym produktem Microsoftu. Choć rzadko jest używany w komputerach osobistych, przypada mu lwia część rynku oprogramowania serwerów przedsiębiorstw, systemów nawigacji GPS, a zwłaszcza smartfonów.

- Ta kobieta, ależ to gorąca laska! - wykrzyknął Romuald. Emma uniosła głowę i zobaczyła, że chłopak siedzi przed jej laptopem.

- Nie krępuj się, co moje, to twoje!

- A więc to jest Kate Shapiro? - spytał, obracając ekran w jej kierunku.

- Zona tego faceta, który pisze do pani e-maile z przyszłości?

- Tak, to ona.

- Wygląda jak... jak jakiś anioł. - Romuald nie odrywał oczu od zdjęcia Kate, tego, na którym wyglądała najbardziej ponętnie, stojąc nago z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ale nie zasłaniając ich specjalnie. Emma spojrzała na niego zirytowana.

- Mężczyźni... Wszyscy tacy sami, niezależnie od wieku. To beznadziejne.

Romuald wpatrywał się w Kate z rozdziawioną gębą, wręcz pożerając ją wzrokiem. Emma poczuła irytację.

- Przestań się ślinić, to tylko zdjęcie, jesteś żaloszny! Do tego baba przeszła operację plastyczną, popatrz! - pokazała mu inne fotki.

- To prawda... - przyznał.

- Ale tak czy siak, jest piękna. Ma coś wspólnego z Nickiem Fitchem, prawda?

Emma otworzyła szeroko oczy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Z powodu tatuażu, tego jednorożca na lewym ramieniu.

To mityczne zwierzę zawsze było symbolem Fitcha. Najpierw używał go w grze komputerowej, którą stworzył, kiedy miał osiemnaście lat, a potem w swoim systemie operacyjnym. To zresztą jest symbol jego firmy.

- Unicorn... - wymamrotała Emma. —Jednorożec.

- Ten smarkacz ma rację, pomyślała, kontynuując lekturę.

## **Triumf systemu Unicom w przedsiębiorstwach, w administracji i w agencjach rządowych**

Masowo używany przez serwery przedsiębiorstw, system Unicorn zastosowany został również przez armię amerykańską. W rekordowo krótkim czasie firma Fitch Inc. stała się uprzywilejowanym i głównym kontrahentem informatycznym Departamentu Obrony. Od 2008 roku setki smartfonów i tabletów amerykańskich żołnierzy korzystają ze zmodyfikowanej wersji oprogramowania Unicorn. Pentagon uznał, że jest ono najbezpieczniejsze, jeśli chodzi o przesyłanie poufnych dokumentów najwyższej wagi. Unicorn zainstalowano również w dronach US Air Force, wykorzystują go także systemy naprowadzania pocisków amerykańskiej marynarki wojennej.

## **Życie prywatne**

Nazywany Czarnym Księciem, tak jak bohater stworzonej przez siebie gry komputerowej (oraz dlatego, że zawsze nosi czarne dżinsy, ciemny golf i skórzaną kurtkę), Nick Fitch to postać enigmatyczna i niekonwencjonalna. Właściciel i prezes firmy żyje w cieniu, od 1999 roku nie udzielił żadnego wywiadu i zawsze chroni swoją prywatność. „Mieć znane nazwisko i nieznaną twarz to sytuacja, która bardzo mi odpowiada”, zadeklarował w ostatnim wywiadzie udzielonym pismu „Wi-red”. Pasjonuje się jazzem i muzyką współczesną, jest znany z tego, że posiada wielką kolekcję dzieł sztuki surrealistycznej, która stanowi ekspozycję stałą Muzeum Sztuki Uniwersytetu Berkeley. Według czasopisma „Forbes” jego majątek jest oceniany dziś na ponad 17,5 miliarda dolarów.

Emma podniosła głowę znad iPada i przetarła oczy. W co ona wdepnęła? Komputerowy geniusz, który stał się miliarderem, imperium zbudowane na bazie nowych technologii, armia amerykańska... Jej „dochodzenie” w sprawie Kate prowadziło w miejsca, których istnienia nawet nie podejrzewała. Czy to wszystko ma sens? - pomyślała, nagle zniechęcona. Z jakiej racji mam śledzić tę kobietę? Co ja tu w ogóle robię? Dlaczego na dzień przed Wigilią utknęłam w jakimś hotelu z pucułowatym nastolatkiem, równie zagubionym jak ja? To po prostu śmieszne...

Przez chwilę obserwowała, jak kelner przygotowujący sushi precyzyjnym gestem rozkłada ryż na listku nori, żeby po chwili położyć na nim surimi, awokado i ogórka, a następnie zwinąć wszystko w sushi maki. Potem spojrzała na Romualda. Wpatrzony w ekran, odrywał od niego oczy tylko na moment, żeby chwycić któryś z przesuwających się przed nim talerzyków: carpaccio z przegrzebków, ciepłe sushi, temaki z jeżowcami, krab królewski...

- Wiesz, że nie musisz próbować całej karty dań tej restauracji...

Zatopiony we własnych myślach, odezwał się dopiero po chwili.

- A to... - powiedział, odwracając ekran ku Emmie. - Niech pani spojrzy, to naprawdę intrygujące...

Na ekranie otwartych było mnóstwo okien: zdjęcia Kate przed i po operacji plastycznej.

Romuald zanotował coś przy każdym i pozaznaczał na nich różne punkty.

- Co takiego?

- To jednak dziwne: poddać się operacji plastycznej, gdy jest się tak piękną i młodą, prawda?

- Owszem, to samo sobie pomyślałam. Zwłaszcza że zmiany są naprawdę niewielkie.

- I tak, i nie. W rzeczywistości twarz Kate po operacji odpowiada współczesnym kanonom piękna.

- Mówisz o proporcjach?

- Tak. Przeprowadzono badania dotyczące proporcji idealnej twarzy. Uczni starali się zrozumieć, dlaczego niektóre osoby wydają nam się atrakcyjne, a inne nie. Udowodniono, że ideał piękności odpowiada algorytmowi matematycznemu.

- Algorytmowi? - Zespołowi reguł, które za podstawę przyjmują symetrię twarzy i zachowanie pewnych proporcji.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Jestem w klasie maturalnej o profilu matematyczno-fizycznym. Jeden z profesorów dał nam do przeczytania artykuł z „Sciences & Vie” na ten temat i zapamiętałem to. Ale nie są to jakieś nowe teorie: te zasady znano już w czasach Leonarda da Vinci.

- Poza symetrią twarzy, jakie są pozostałe reguły?

- O ile sobie przypominam, idealne proporcje zachowane są wtedy, gdy odległość między żenicami jest trochę mniejsza od połowy całkowitej szerokości twarzy, a odległość między oczami i ustami musi być trochę większa od jednej trzeciej jej długości mierzonej od linii włosów do podbródka.

- I tak właśnie jest u Kate? Romuald pokiwał głową.

- W twarzy Kate proporcje są optymalne. Dlatego jest tak pociągająca. Kate była prawie doskonała, a stała się bardziej niż doskonała. Emma przyjęła tę informację w milczeniu. Wciąż tyle samo pytań, a tak mało odpowiedzi... - pomyślała.

- Dlaczego to zrobiła, pani zdaniem? - spytał chłopak, chwytając spomiędzy przesuwających się dań talerzyk z mango.

- Nie mam pojęcia! Żeby przypodobać się jakiemuś mężczyźnie albo żeby pewniej się pocuć... Romuald połknął owoc z taką szybkością, że prawie się udławił. Emma posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Czego się boisz, do cholery? - warknęła.

- Że ktoś ci ukradnie jedzenie? Zachowuj się przy stole jak należy, nie masz przecież sześciu lat! Urażony chłopak wzruszył ramionami.

- Idę się odlać - oznajmił, zsuwając się ze stołka barowego.

- Powiedz to jeszcze głośniej, żeby cała restauracja słyszała! Może zamieść tę informację na Facebooku, wtedy dotrze również do twoich kumpli.

- Nie mam żadnych kumpli - wymamrotał i odszedł z opuszczoną głową.

- Ojej, popłaczę się, Calimero\*. Czekam na ciebie w barze. Muszę wypić dwa lub trzy drinki, żebym mogła z tobą dalej wytrzymać.

Podpisała rachunek, wstała, schowała laptop do plecaka i wzięła kurtkę Romualda.

\*

Bar w Four Seasons wyglądał jak stary angielski klub: były tam wielki kominek, boazerie z drewna sekwoi, aksamitne kanapy, biblioteka, stół bilardowy i przyćmione światło. Tak jak należało się spodziewać w okresie Bożego Narodzenia, na barze stała waza z ponczem eggnog. Emma opadła na fotel Chesterfield i zamówiła caipiroskę.

Właściwie ucieszyła ją nieoczekiwana wizyta Romualda. Był trochę jak przybysz z Marsa, ale ożywiony i pełen pomysłów. Mógłby jej bardzo pomóc, gdyby umiała właściwie wykorzystać jego inteligencję.

Widząc, że postanowił uczestniczyć w prowadzonych przez nią poszukiwaniach, przestała

się krygować i opowiedziała mu wszystko, począwszy od tego, że zakochała się w Matthew \* Calimero - czarny, uroczy i bezradny kurczaczek w stadku żółtych kurczaczek z kreskówki włosko-japońskiej z 1972 roku.

po ich e-mailowym dialogu, a skończywszy na dzisiejszym poranku, kiedy to przeszukała dom Shapirów. Nie pominęła ani sprawy kasyna, ani ewidentnej niewierności Kate. Niczego nie przemilczała, nawet swojej próby samobójczej. Wyjawiała mu także, że znalazła pół miliona dolarów w sportowej torbie ukrytej w schowku pod sufitem.

Teraz, kiedy był w toalecie, szybko przeszukała kieszenie jego kurtki. Pomiędzy czekoladowymi batonikami odkryła wiele interesujących rzeczy. Przede wszystkim bilet kolejowy tam i z powrotem z Nowego Jorku do Scarsdale, zamożnej części Manhattanu. Bilet był skasowany poprzedniego dnia na przejazd o dziesiątej zero cztery w jedną stronę, a powrót o trzynastej czternaście, czyli Romuald wyskoczył tam na krótko. Na karteczce znalazła imię i nazwisko Michele Berkovic, dyrektor generalnej Imperatora, która faktycznie mieszkała w Scarsdale, wraz z mężem, finansistą z Wall Street, i dwojgiem dzieci. Berkovic była wyniosłą i zimną osobą, zaczęła zarządzać Imperatorem po odejściu Jonathana Lempereura. Co takiego robił Romuald w niedzielę u Berkoviców?

Inną, jeszcze dziwniejszą rzeczą okazał się bilet powrotny do Paryża na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Data była... dzisiejsza. Emma zamknęła oczy, żeby się spokojnie zastanowić. To wyjaśniało, dlaczego chłopak zjawił się w Bostonie tak szybko, razem ze wszystkimi swoimi rzeczami. Był już spakowany, bo zamierzał wracać do Francji, ale musiał odwołać podróż, kiedy zadzwoniła do niego z prośbą, żeby wyłączył system alarmowy w domu Shapirów. Nie rozumiała za bardzo tego jego gestu. Szybko włożyła wszystko z powrotem do kieszeni kurtki.

Kelner przyniósł jej caipiroskę, którą wypić jednym haustem. Mieszanka wódki i limonki zapiekła ją przyjemnie w przełyku. Zamawiała następną, kiedy w drzwiach baru pojawił się Romuald.

Skinęła na niego, ale jej nie zauważył. Zapatrzony w komórkę wystukiwał coś na klawiaturze, pogrążony w swoim świecie.

Co to za pokolenie, pomyślała Emma. Wciąż siedzą przed komputerem albo wędrują wpatrzeni w telefon czy tablet, jakby stanowiły przedłużenie ich ciała. Ale czy ja tak naprawdę jestem inna?

Romuald potrącił niechący kelnera, wymamrotał przeprosiny i w końcu zauważył Emmę.

- Czy mogę spróbować pani koktajlu? - spytał, siadając naprzeciwko.

- Nie, bo jesteś nieletni, a nieletni nie piją alkoholu. Zamów lemoniadę albo ciepłe mleko...

- Wyglądam na nieletniego? Jestem pewien, że wszyscy uważają nas za parę.

- Jasne, w twoich marzeniach...

Romuald spoważniał.

- Dobra, zastanowiłem się. Brakuje nam wiarygodnych informacji o młodości Kate. Tam kryje się klucz do tajemnicy. Ludzi można zrozumieć tylko wtedy, gdy się zna ich przeszłość.

To reguła bez wyjątków - zapewnił uroczyście.

- Zupełnie jakbym słyszała swoją psychoterapeutkę. - Emma westchnęła. - Ale mów dalej, w sumie zgadzam się z tobą.

- Założę się, że jej romans z Nickiem Fitchem trwa od bardzo dawna. Sądzę, że to on jest autorem tej fotki - powiedział Romuald, pokazując czarno-białe zdjęcie półnagiej Kate, które przeniósł na swój smartfon, to, na którym widać było tatuaż z jednorożcem.

- Całkiem możliwe - zgodziła się Emma.  
- Powinniśmy spróbować odnaleźć dawną koleżankę Kate i z nią porozmawiać.  
- Koleżankę?  
- Pamięta pani? Jedno z tych trzech zabezpieczających alarm pytań dotyczyło nazwiska jej najlepszej przyjaciółki z okresu studiów.

- Teraz sobie przypominam. - Emma podciągnęła rękaw, żeby przeczytać odpowiedzi, które zapisała na swoim przedramieniu.

- O, jaki fajny notes! Miałem taki sam jako ośmiolatek!

- Och, zamknij się, smarkaczu! - zrugła go. - Ta dziewczyna nazywa się Joyce Wilkinson. Jednak znalezienie jej zabierze nam mnóstwo czasu! Poza tym na pewno już wyszła za mąż i...

- To potrwa trzy minuty - przerwał jej Romuald.

Połączył się ze stroną internetową Uniwersytetu Berkeley, ale dostęp do danych byłych studentów zabezpieczono hasłem.

- Nie możesz się włamać?

- Gdyby to było tak proste jak pstryknięcie palcami... - Chłopak westchnął. - Najpierw spróbujmy zwykłej drogi.

Wystukał w wyszukiwarce słowa „Joyce Wilkinson + lekarz” i prawie natychmiast otrzymał żądane informacje.

- Widzę jakąś Joyce Wilkinson, neurolog z tytułem doktora nauk medycznych Uniwersytetu Stanford. Studiowała w Medical School w Berkeley od dziewięćdziesiątego trzeciego do dziewięćdziesiątego ósmego.

- To na pewno ona!

- Jest specjalistką od choroby Alzheimera - czytał dalej Romuald. - A tu niespodzianka: pracuje w Instytucie Badań nad Mózgiem i Pamięcią przy Massachusetts Institute of Technology.

Emma zagryzła wargi. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. MIT ma swoją siedzibę w Cambridge, kilkadziesiąt kilometrów od Bostonu...

- Joyce była na tym samym wydziale co Kate, przyjaźniły się, może nawet mieszkały razem w akademiku. Musi się pani z nią skontaktować.

- Dobrze, ale dlaczego miałaby odpowiadać na moje pytania? Nie mogę jej do tego zmusić.

- Trzeba ją zastraszyć. Ludzie puszczają farbę na policji.

- Gdybyś przypadkiem nie zauważył, to jestem sommelierką, a nie gliniarzem.

- Drobiazg. Mogę pani przygotować legitymację policyjną lepszą niż prawdziwa.

Emma pokręciła głową.

- Dziś jest dwudziesty trzeci grudnia. Joyce z pewnością wyjechała na urlop świąteczny.

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - oświadczył Romuald. Połączył się ze stroną instytutu, znalazł numer telefonu centrali telefonicznej i wystukał go na swojej komórce. - Teraz pani kolej - powiedział, wręczając smartfon Emmie.

- Instytut Badań nad Mózgiem i Pamięcią, czym mogę służyć? - odezwała się telefonistka.

Emma chrząknęła.

- Dzień dobry, chciałabym rozmawiać z doktor Wilkinson.

- A kto mówi?

- Ee... Jestem jej matką.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Zdenerwowana Emma rozłączyła się.

- Przynajmniej wiemy, że jest w pracy - rzuciła, dając znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek.

Potem zapytała Romualda:

- Mówiłeś poważnie o tej legitymacji?

Kiwnął głową.

- W business center są kolorowe drukarki, bardzo dobrej jakości. Niech pani tam do mnie przyjdzie za jakieś pięć minut.

Kiedy chłopak znikł, Emma sprawdziła swoją pocztę elektroniczną. Wciąż żadnej odpowiedzi od Matthew na wiadomość wysłaną rano. To dziwne. Czekaając na rachunek, znów wróciła myślami do tych wszystkich wydarzeń, które ostatnio przewróciły jej życie do góry nogami.

Jak mogłam dać się w to wciągnąć? - zastanowiła się w duchu.

Podpisała rachunek, który wręczył jej kelner, i wyszła z baru, żeby dołączyć do Romualda.

\*

Centrum biznesowe znajdowało się obok recepcji. Było to duże pomieszczenie, w którym po jednej stronie stały fotele, a po drugiej znajdowały się oddzielone od siebie przegrodami stanowiska, wyposażone w komputery, drukarki i faksy. Emma zobaczyła Romualda w jednym z boksów.

- Proszę się uśmiechnąć - poleciał i wycelował w nią komórkę. - Muszę pani zrobić zdjęcie. Woli pani legitymację FBI czy BPD\*?

- BPD, to bardziej prawdopodobne.

- Musi się pani inaczej ubrać. W tej chwili nie wygląda pani na policjantkę.

- A chcesz, żebym ci powiedziała, jak ty wyglądasz?

Usiadła obok niego i patrząc, jak pracuje, zaczęła mu się zwierzać ze swoich wątpliwości.

- Może w ogóle idziemy złą drogą. Może Kate nie ma sobie nic do zarzucenia.

- Żartuje pani? Ktoś, kto chowa pół miliona w skrytce pod sufitem, ma z pewnością coś na sumieniu. Powinniśmy się dowiedzieć, co to za pieniądze i co zamierza z nimi zrobić.

- Co proponujesz?

- Mam pewien pomysł, ale potrzebne mi do tego specjalne wyposażenie...

Emma zdecydowała się zaufać Romualdowi i wręczyła mu jedną ze swoich kart kredytowych.

- Dobrze, kup, co chcesz. Jeśli potrzebujesz, możesz wziąć gotówkę.

Potem znów podciągnęła rękaw koszuli, żeby odczytać kolejne notatki z przedramienia.

- Ach tak, jest coś jeszcze. Kate prowadzi blog, który się nazywa Bostonka w opałach.

Podaje tam między innymi praktyczne informacje na temat restauracji czy butików. Rzuć na to okiem. Coś mi się na tej stronie nie podoba, sposób narracji czy może prezentacja...

- Zgoda, sprawdzę to - obiecał nastolatek, notując adres strony.

\* Boston Police Department.

Potem wydrukował fałszywą legitymację policyjną na sztywnym papierze i wyciął ją bardzo starannie.

- Proszę, pani porucznik! - powiedział z dumą, wręczając Emmie cenny dokument.

Emma pokiwała głową z uznaniem, widząc, jak doskonale się spisał, i wsunęła fałszywą legitymację do portfela.

- Będziemy w kontakcie, okay? Nie zrobisz żadnego głupstwa i gdy tylko będziesz miał jakiś problem, natychmiast do mnie zadzwonisz.

- Capito - odparł, puszczając do niej oko i machając komórką.

\*

Na Boylston Street wciąż sypał gęsty śnieg, spowalniając ruch drogowy. Ale bostończycy nie zamierzali poddać się złej pogodzie. Uzbrojeni w szpadle dozorczy wygarniali biały puch spod bram, a pracownicy służb miejskich sypali sól na jezdnie i regulowali ruch.

Niedaleko Four Seasons znajdowało się centrum handlowe. Emma zrobiła w nim szybkie zakupy: dzinsy, sztyblety, kaszmirowy golf, skórzana kurtka.

W przymierzalni stanęła przed lustrem, zastanawiając się, czy udała jej się metamorfoza.

- Porucznik Emma Lovenstein z bostońskiej policji! - wygłosiła, pokazując legitymację swojemu odbiciu.



**Boston, 2010****19.15**

Płatki śniegu przyklejały się do okularów Romualda.

Chłopak zdjął je z nosa i przetarł szkła rękawem swetra, a potem włożył z powrotem, ale niewiele to zmieniło. Z okularami czy bez, świat wyglądał wciąż jak za mgłą, jawił się ciemny i skomplikowany.

Zawsze tak mam... - pomyślał. Przynajmniej raz postanowił działać logicznie. Jadąc z lotniska, zauważył sklep wielkiej firmy informatycznej. Była to wielka przezroczysta kostka, stojąca przy Boylston Street.

Właśnie tam powinien się udać. Chodnik powoli zmieniał się w ślizgawkę. Kilka razy Romuald się poślizgnął i omal nie upadł, ale chwycił się raz latarni, a raz jakiegoś znaku drogowego. W końcu dotarł do wielkiej szklanej trypoziomowej fasady. Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem sklep był otwarty do północy. Klienci kręcili się w środku jak mrówki w mrowisku. Przez ten tłum Romuald o mało nie zrezygnował. Zawsze, gdy znalazł się w takiej sytuacji, nagle ogarniała go panika. Teraz też serce zaczęło mu walić w piersi i oblał go zimny pot. Poczł zawrót głowy i instynktownie szukając wyjścia, wszedł na schody z pieksięglasu, newralgiczny punkt sklepu, który łączył wszystkie trzy poziomy.

Im wyżej wchodził, tym więcej było powietrza, i łatwiej mu się oddychało, więc powoli się uspokoił. Stał w kolejce i odczekał swoje, zanim podszedł do niego jeden ze sprzedawców. Gdy wreszcie mógł wytłumaczyć, o co mu chodzi, umiał zrobić to przekonująco, ponieważ nie tylko wiedział dokładnie, czego chce, ale także dysponował prawie nieograniczonym kredytem. Wybrał więc komputer szybki i o dużej mocy, kupił kilka monitorów i sporo różnych kabli i przedłużaczy. Wszystko to, o czym zawsze marzył. Sprawdząwszy, że karta kredytowa jest aktywna, sprzedawca zgodził się - biorąc pod uwagę znaczną wartość zakupów - żeby sprzęt dostarczono Romualdowi do hotelu w ciągu godziny.

Dumny z pozytywnego załatwienia pierwszej części swojej misji, wrócił pieszo do Four Seasons. Gdy wszedł do apartamentu Emmy, zadzwonił do room service, zamówił burgera Rossini z truflami, czekoladowe ciastko z bitą śmietaną i coca-colę light, to ostatnie, żeby zdusić wyrzuty sumienia spowodowane obżarstwem. Kiedy dostarczono mu sprzęt, podpiął iPod do głośników, zaprogramował odpowiednią playlistę (Led Zeppelin, Blue Oyster Cult, Weezer...) i cały wieczór spędził na montowaniu i konfigurowaniu kupionych urządzeń.

Tu, w ciepłym pokoju, przy akompaniamencie pomrukiwania aparatury, znalazł się wreszcie w swoim świecie. Uwielbiał komputery, gadżety, jedzenie oraz możliwość zagłębiania się w lekturze książek science fiction lub powieści fantasy. Oczywiście samotność potrafiła mu nieraz dokuczyć. Nawet bardzo. Wtedy nagle pogrążał się w smutku, zaczynało go ścisnąć w gardle i prawie płakał.

Wszędzie właściwie czuł się źle, nigdzie nie był na swoim miejscu, nie umiał wyglądać na

zadowolonego z siebie. Jego rodzice oraz psychoterapeuta, który się nim zajmował, powtarzali na okrągło, że musi więcej przebywać z ludźmi, uprawiać jakiś sport, znaleźć sobie kolegów i koleżanki. Żeby im zrobić przyjemność, zgodził się na kilka prób, zawsze nieudanych. Nie ufał zbyt wielu ludziom, bał się ich spojrzenia, osądu, ciosów, które byli zdolni mu wymierzyć. Czekał więc, aż ktoś wystrzeli w niego kilka pierwszych pocisków, i z powrotem chował się do skorupy, którą sobie metodycznie budował już od dzieciństwa.

Skończył instalować sprzęt i wypił do końca coca-colę. Był podekscytowany całą tą sytuacją, a zarazem nieco zdezorientowany. Co robił tutaj, w Bostonie, sześć tysięcy kilometrów od domu, w tym niesamowitym apartamencie luksusowego hotelu, z kobietą, którą ledwo znał i która twierdziła, że otrzymuje e-maile z przyszłości?

Cóż, po prostu dał się poprowadzić instynktowi. Rozpoznał w Emmie duchową starszą siostrę, może tak samo zagubioną i samotną jak on. Zgadywał, że pod swoimi złośliwymi uwagami ukrywa dobre serce. Poza tym domyślał się, że Emma stoi na skraju przepaści, i po raz pierwszy w życiu odniósł wrażenie, iż może przyjść komuś z pomocą. Nawet jeśli wiedział to tylko on sam, czuł, że ma w sobie potrzebną siłę i inteligencję, które tylko czekają, żeby zacząć działać.

Teraz palce jego śmigały po klawiaturze jak żołnierze piechoty atakujący wrogą cytadelę.

W Nowym Jorku podpatrzył, jak jego przyjaciel Jarod pokonuje pierwszy poziom zabezpieczeń Domain Awareness System, czyli systemu monitoringu publicznego całego miasta, który w czasie realnym przekazywał obrazy z wszystkich kamer ulicznych na Manhattanie. Zapamiętał parę komend. Dość, żeby zaatakować teraz swój cel, czyli system informatyczny Massachusetts General Hospital. Walka trwała długo, ale w końcu udało mu się przejąć kontrolę nad intranetem i nad wszystkimi kamerami nadzorującymi szpital. Po chwili uzyskał dostęp do danych medycznych pacjentów, a także do akt personalnych oraz harmonogramu pracy lekarzy i pielęgniarek.

Z rozpędu sprawdził od razu harmonogram Kate. Lekarka zakończyła już pracę tego dnia.

Kolejną zmianę zaczynała nazajutrz o ósmej rano w głównym budynku Instytutu Kardiologicznego, a po południu i wieczorem powinna się pokazać w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym w Jamaica Plain na przedmieściach Bostonu.

Romuald doskonale pamiętał opowieść Emmy: gdy Kate wyjeżdżała z parkingu szpitala dziecięcego, jej samochód został staranowany przez ciężarówkę rozwозяcą mękę.

Sprawdzonym przed chwilą sposobem w ciągu zaledwie kwadransa wszedł do systemu informatycznego także tego szpitala. Prawie przez godzinę testował kamerę po kamerze, żeby zapoznać się z tym miejscem, a potem przypomniał sobie blog Kate, który miał przejrzeć na prośbę Emmy.

Wszedł więc na stronę Bostonki w opałach. Był to blog prywatny, rodzaj katalogu użytecznych adresów - lista restauracji, kawiarni lub sklepów polecanych przez autorkę.

Każdy wpis zilustrowano odpowiednią fotką lub nawet kilkoma. Romuald spędził pół godziny na przeglądaniu tekstów według kolejności ich publikacji. Uderzyło go, że są tak zróżnicowane. Niektóre przedstawiały wszystko bardzo dokładnie, inne sprawiały wrażenie sporządzonych pośpiesznie notatek i roiło się w nich od błędów. Trudno było uwierzyć, że te wszystkie teksty napisała jedna i ta sama osoba. Z drugiej strony, równie niewiarygodne wydawało się, że taka zapracowana kobieta jak Kate znajduje jeszcze czas na eskapady w opisywane przez siebie miejsca.

Pogłębiając swoje poszukiwania, chłopak odkrył, że wpisy Kate to w rzeczywistości teksty

z innych blogów, które trafiły na stronę Bostonki w opalach przy użyciu metody kopiuj/wklej. Najwyraźniej zadowolili się duplikatami artykułów napisanych przez innych. Ale po co zwracała sobie tym głowę? Nie miał najmniejszego pojęcia. Jeszcze przez kilka minut przeglądał komentarze na blogu. Był on bardzo rzadko odwiedzany, choć jakiś „Jonas21” czytał wszystko wiernie i zostawiał pod każdym artykułem krótki komentarz: „Interesujące, chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej” lub: „znamy już to miejsce”, „restauracja nieciekawa”, „bardzo nam się tam podobało, brawo za wspaniałe rady!”. Romuald ziewnął. Nic z tego nie rozumiał. Na wszelki wypadek wysłał do Jaroda, swojego przyjaciela informatyka, link do tego bloga, prosząc go, żeby sprawdził, czy nie ma tam nic dziwnego. Dopisał, że sprawa jest bardzo pilna, i obiecał mu tysiąc dolarów za tę przysługę. Minęła pierwsza w nocy, gdy Romuald zasnął przed ekranami.

**Porucznik Lovenstein**

*Kobieta jest jak herbata ekspresowa - nie wiesz, jaka jest mocna, dopóki nie włożysz jej do ukropu.*

**ELEANOR ROOSEVELT**

**Boston,  
2010**

Ze swoją spiralną konstrukcją, błyszczącą w nocy, szklany budynek Instytutu Badań nad Mózgiem i Pamięcią przypominał gigantyczną cząsteczkę DNA.

Drzwi wejściowe otworzyły się z głośnym sykiem. Emma ruszyła pewnym krokiem ku recepcji.

- Porucznik Lovenstein z bostońskiej policji!
- przedstawiła się, wyciągając legitymację.
- W czym mogę pani porucznik pomóc?

Emma chciała porozmawiać z Joyce Wilkinson.

- Zaraz uprzedzę panią profesor - odparła recepcjonistka, chwytając za słuchawkę telefonu.
- Proszę chwilę poczekać.

Emma, lekko podenerwowana, rozpięła kurtkę i odwróciła się w stronę holu, którego opalizujące, mleczne ściany robiły wrażenie, jakby spacerowało się we wnętrzu statku międzyplanetarnego. Świetlne billboardy przedstawiały historię instytutu, zajmującego się badaniem tej najbardziej tajemniczej i fascynującej części organizmu ludzkiego, jaką jest mózg.

Ludzki mózg...

Idea utworzenia placówki specjalizującej się w neurologii była jasna: zgromadzić najwybitniejszych badaczy i zapewnić im takie warunki, by mogli swobodnie pracować nad różnymi patologiami układu nerwowego, jak choroba Alzheimera, Parkinsona albo schizofrenia.

- Proszę za mną, pani porucznik!

Emma poszła za recepcjonistką.

Cicha szklana kapsuła zawiozła je na ostatnie piętro wieży. Na końcu szklanego korytarza za przezroczystymi szybami znajdowało się miejsce pracy Joyce Wilkinson. Kobieta uniosła głowę znad laptopa w chwili, gdy Emma przekroczyła drzwi jej gabinetu.

- Proszę wejść, pani porucznik. Zechce pani usiąść? - Wskazała Emmie krzesło stojące naprzeciwko.

Tak jak można się było zorientować ze zdjęć, Joyce Wilkinson była pochodzenia hinduskiego. Jej śniada cera i błyszczące, czarne, krótko obcięte włosy kontrastowały z jasnym wesołym spojrzeniem rzucanym zza cienkich szkieł w półprzezroczystej oprawie.

Emma bez zmrużenia oka pokazała jej legitymację policyjną.

- Z góry dziękuję za poświęcenie mi kilku minut pani cennego czasu - powiedziała.

Joyce kiwnęła głową. Pod rozchylonym białym fartuchem widać było skromne płócienne spodnie koloru khaki i grubo tkany sweter. W stroju tym wyglądała prawie jak mały chłopiec.

Jej kwadratowa młoda twarz zdecydowanie wzbudzała sympatię.

Emma usiadła, rozglądając się dokoła. Wszędzie na ścianach wisiały plansze przedstawiające ludzki mózg w różnych przekrojach.

- To wygląda jak płótna Andy'ego Warhola -- zauważyła, mając na myśli żywe kolory sygnalizujące aktywność poszczególnych obszarów mózgu, przez co zdjęcia wydawały się prawie wesołe.

- Te plansze przedstawiają wyniki testów przeprowadzonych w Ameryce Południowej na kilku tysiącach osób z klanu, którego członkowie mają genetyczną predyspozycję do zachorowań na chorobę Alzheimera - wyjaśniła Joyce.

- I jakie są wnioski?

- Badania pokazują, że pierwsze symptomy choroby pojawiają się ponad dwadzieścia lat wcześniej, nim lekarze postawią diagnozę. Emma zapatrzyła się na jedną z plansz. Pomyślała o swoim ojcu, który w ostatniej fazie tej choroby przebywał w hospicjum w New Hampshire. Joyce jakby usłyszała jej myśli.

- U mojego ojczyma choroba Alzheimera wystąpiła przedwcześnie. Miała wpływ na moje dzieciństwo, a także na wybór zawodu - powiedziała lekarka.

- Mózg... Wszystko się tu dzieje, prawda? - zapytała Emma, wskazując palcem na własną głowę.

- Sygnały elektryczne, połączenia między grupami neuronów...

- Tak. - Joyce się uśmiechnęła.

- Mózg kieruje naszymi decyzjami, określa nasze zachowania i osądy. To on pozwala nam uświadomić sobie, gdzie i jak żyjemy, jacy jesteśmy, i wreszcie to on określa nawet sposób, w jaki się zakochujemy!

Joyce miała lekko ochrypy, ciepły głos i niewątpliwie była obdarzona charyzmą. Teraz pokiwała głową, odchylając się na krześle.

- To pasjonujący temat rozmowy, ale przecież nie po to pani do mnie przyszła, prawda, pani porucznik?

- Rzeczywiście. Jestem tutaj, bo bostońska policja prowadzi dochodzenie, w którym wpłynęło nazwisko Kate Shapiro.

Joyce była najwyraźniej zaskoczona.

- Kate? Co się jej zarzuca?

- Prawdopodobnie nic poważnego - pośpieszyła z zapewnieniem Emma.

- Kate nie jest naszą główną podejrzaną. Nie mogę na razie zdradzić nic więcej, ale z góry dziękuję za pomoc.

- W jaki sposób mogę pani pomóc?

- Odpowiadając na kilka pytań. Kiedy spotkała pani Kate po raz pierwszy?

- A więc... to było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

- Joyce policzyła lata na palcach. - Byłyśmy obydwie studentkami na pierwszym roku JMP.

- JMP?

- Joint Medical Program na Uniwersytecie Berkeley. To pięcioletnie studia, najlepszy program w całej Ameryce, bardzo trudno się na nie dostać. Po trzech latach uzyskuje się tytuł magistra nauk ścisłych, a potem odbywa się dwuletni staż w różnych szpitalach w Kalifornii.

- Była pani jej najlepszą przyjaciółką? Joyce zmrużyła oczy, w milczeniu wracając wspomnieniem do czasów studenckich.

- Tak, na pewno - odezwała się po chwili.

- Mieszkałyśmy w tym samym pokoju podczas trzech lat spędzonych w Berkeley, przez dwa lata dzieliłyśmy mieszkanie w San Francisco. Potem obie przeprowadziłyśmy się do Baltimore na staż specjalizacyjny.

- Jak może pani określić Kate z tego okresu?

Neurolog wzruszyła ramionami.

- Myślę, że tak samo jak teraz: piękna, ambitna, inteligentna, o bardzo silnej woli. Naprawdę błyskotliwa. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ona, kto byłby zdolny pracować tak szybko i tak długo bez żadnej przerwy. Pamiętam, że bardzo niewiele spała i miała niezwykłą zdolność koncentracji. To była na pewno najlepsza studentka naszego rocznika.

- Gdzie się uczyła przedtem?

- W małym katolickim liceum w Maine, zapomniałam nazwy. Była pierwszą z tego liceum osobą przyjętą na JMP. Pamiętam do dziś, ile punktów zdobyła na teście MCAT: najwięcej od czasu jego wprowadzenia. I jestem gotowa się założyć, że do dzisiaj nikt nie pobił jej rekordu.

- W jaki sposób się zaprzyjaźniłyście? Joyce rozłożyła ręce.

- Myślę, że zbliżyła nas choroba naszych rodziców. Matka Kate chorowała na stwardnienie rozsiane. Obie byłyśmy zdecydowane poświęcić życie na studiowanie przyczyn chorób neurodegeneracyjnych.

Emma zmarszczyła brwi.

- No tak, pani to zrobiła, ale Kate nie! Kate została kardiochirurgiem.

- Tak, w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku nagle zmieniła plany. To było w połowie naszego drugiego roku w Baltimore.

- Chce pani powiedzieć, że przerwała staż na neurologii na drugim roku, żeby zmienić specjalizację na chirurgię?

- Tak. Ponieważ była bardzo dobrą studentką, szpital kliniczny imienia Johnsa Hopkinsa zgodził się na tę zmianę w trakcie roku akademickiego.

- Jaki był powód jej decyzji?

- Do dzisiaj tego nie wiem. Zresztą od tego czasu nasze drogi zawodowe się rozeszły, a stosunki prywatne rozluźniły.

Emma nie ustępowała.

- Proszę spróbować sobie przypomnieć, co mogło wpłynąć na tę decyzję!

- To się działo ponad dekadę temu. Wtedy miałyśmy po dwadzieścia cztery lata. A poza tym w medycynie to nic niezwykłego, że student zmienia specjalizację w środku roku.

- Ale to przecież decyzja na całe życie! Mówiła pani, że Kate zamierzała specjalizować się w neurochirurgii.

- No tak - potwierdziła Joyce.

- Coś ważnego musiało się najwyraźniej wydarzyć w jej życiu tamtego roku, ale naprawdę nie wiem co.

Emma chwyciła długopis, który leżał na biurku, i zapisała na przedramieniu datę „1999” oraz pytanie: „Co się wydarzyło w życiu Kate?”.

- Czy dać pani karteczkę? Emma zignorowała propozycję i ciągnęła swoje „przesłuchanie”:

- Czy w tym okresie Kate się z kimś spotykała?

- Z Kate emanował magnetyczny urok, miała wielkie powodzenie. Krótko mówiąc: każdy facet ślinił się na jej widok i marzył, by zaciągnąć ją do łóżka.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie! - rzuciła Emma z naciskiem.

- Z kim się spotykała? Zakłopotana Joyce uciekła wzrokiem w bok. Najwyraźniej starała się chronić życie prywatne swojej byłej przyjaciółki.

- To bardzo osobiste sprawy. Chcąc pokonać resztki skrupułów Joyce, Emma sprecyzowała:

- Spotykała się z Nickiem Fitchem, prawda?

Joyce wydała z siebie dyskretne westchnienie ulgi. Zadowolona, że nie musi zdradzać sekretu Kate, powiedziała:

- To prawda, Nick był wielką miłością Kate.

- Od jak dawna się spotykali? - spytała Emma, żeby wykorzystać tę chwilę do końca.

- Od dziewięćdziesiątego czwartego roku. Miałyśmy wtedy po dziewiętnaście lat. Byłyśmy na drugim roku w Berkeley, kiedy Fitch przyjechał z wykładami na naszą uczelnię. Kate znała go już wcześniej. Po zajęciach podeszła do niego, żeby porozmawiać, no i wkrótce potem zaczęli się regularnie spotykać. Fitch był już wtedy legendą. Musiał mieć dwadzieścia pięć czy sześć lat i zarobił mnóstwo pieniędzy dzięki tej swojej grze. W środowisku informatycznym wszyscy mówili wtedy tylko o Unicornie.

- Kto wiedział o ich romansie?

- Bardzo niewiele osób. A właściwie nikt, poza mną i matką Nicka. Nick był zawsze bardzo dyskretny, jeśli chodzi o życie osobiste. Prawdziwy paranoik... Nie znajdzie pani ani jednego zdjęcia ani filmu, na których byliby razem. Bardzo tego pilnował.

- Dlaczego był aż tak dyskretny?

- Nie mam pojęcia, ale był strasznie czuły na tym punkcie.

Emma zamilkła. To nie bardzo pasowało do filmu, który nagrała tego ranka swoim telefonem. Dlaczego Kate i Nick spotkali się w pubie, gdzie każdy mógł ich zobaczyć?

- Ile czasu trwał ich związek?

- Wiele lat. Ale to był trudny układ: „Ani z tobą, ani bez ciebie”, rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Niestety, rozumiem aż za dobrze...

- Emma westchnęła.

Joyce się uśmiechnęła.

- Z opowiadań Kate wiem, że bardzo cierpiała z powodu ciągłej niewierności Nicka. Wyrzucała mu brak zaangażowania. Jednego dnia wydawał się bardzo w niej zakochany, a drugiego obojętny jak ktoś obcy. Wiele razy zrywali ze sobą, ale zawsze do siebie wracali.

Ona była naprawdę bardzo do niego przywiązana, zrobiłaby dla niego wszystko, zresztą zrobiła: tę głupią operację plastyczną. Emma poczuła ukłucie w brzuchu. A więc wydedukowała słusznie...

- Kiedy to było?

Joyce znów zaczęła liczyć na palcach.

- Latem dziewięćdziesiątego ósmego roku, kilka miesięcy przed zmianą kierunku specjalizacji...

- Według pani zrobiła tę operację, żeby przypodobać się Fitchowi?

- Tak, to dla mnie oczywiste. W tym okresie Kate nie rozumiała, dlaczego ją odpychał. Zaczęła w siebie wątpić. Ta operacja to był akt desperacji. Emma zmieniła temat.

- Jak długo się spotykali? Joyce pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Tak jak mówiłam, nasze stosunki się rozluźniły, gdy Kate poszła na inną

specjalizację. Od czasu do czasu e-mailowałyśmy z sobą, ale zwierzania się skończyły.

Po Baltimore Kate wróciła do San Francisco, żeby skończyć staż, a potem zrobiła dodatkowy kurs z chirurgii serca w Nowym Jorku. Pięć lat temu zakończyła specjalizację stażem w klinice transplantacji serca w Bostonie i udało jej się jednocześnie otrzymać stanowisko MGH.

- Więc znalazłyście się znów w tym samym mieście? - podchwyciła Emma.

- Mniej więcej. Ja zaczęłam pracę w Instytucie Badań nad Mózgiem trzy lata temu...

- Z pewnością starała się pani nawiązać kontakt ze starą przyjaciółką. Joyce zamilkła, najwyraźniej skrzepowana.

- Tak, skontaktowałam się z nią i poszłyśmy na drinka do kawiarni w Back Bay - odpowiedziała po chwili.

- To było kilka miesięcy po tym, jak urodziła córeczkę. Powiedziała, że jest szczęśliwa, wyjątkowo zadowolona ze swojego życia rodzinnego i bardzo zakochana w mężu, jakimś profesorze filozofii z Harvardu.

- Uwierzyła jej pani?

- Nie miałam żadnego powodu jej nie uwierzyć.

- Rozmawiałyście o Nicku?

- Nie, to nie był właściwy moment. Kate wyszła za kogoś innego i urodziła dziecko. Nie mogłam nagle poruszać problemów z przeszłości.

- Spotkałyście się jeszcze potem?

- Zaproponowałam jej spotkanie, ale nigdy nie odpowiedziała ani na moje e-maile, ani na telefony. Po jakimś czasie odpuściłam to sobie.

Joyce westchnęła. W pokoju zapadła cisza. Emma spojrzała w okno. Gdy zmrużyła oczy, dostrzegła ciemną i ponurą rzekę, która płynęła w dole.

- No dobrze, bardzo pani dziękuję za współpracę - powiedziała i podniosła się z krzesła.

- Odprowadzę panią, pani porucznik - rzuciła lekarka, sama również wstając.

Emma poszła za nią korytarzem do windy.

- Naprawdę nie może mi pani zdradzić, jakie są zarzuty wobec Kate? - spytała Joyce, naciskając na guzik parteru.

- To jeszcze zbyt wczesny etap śledztwa, przykro mi. Bardzo proszę również, żeby nikomu pani nie mówiła o naszej rozmowie.

- Jak pani sobie życzy. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Cokolwiek Kate zrobiła, musi pani wiedzieć jedno: jeśli ona się do czegoś zabiera, robi to inteligentnie i z determinacją. I dopina swego. Ma tylko jeden słaby punkt.

- Traci głowę, gdy się zakocha?

- Tak. Sama mówiła, że gdy się zakocha, czuje, że jej rosyjska dusza się budzi i pcha ją do najgłębszych ekscesów. Niech mi pani uwierzy, nie żartowała. Joyce wręczyła Emmie wizytówkę, gdy wchodziły do holu.

- Jeśli będzie pani potrzebować innych informacji, jestem do dyspozycji - oświadczyła.

- Bardzo pani dziękuję. Ostatnie pytanie: czy Kate mogłaby zrobić coś, by zemścić się na Nicku?

Joyce rozłożyła bezradnie ręce. Rozmawiały jeszcze przez dobre pół godziny, stojąc w młecznym świetle holu Instytutu Badań nad Mózgiem.

W końcu Emma wyszła w ciemną noc. Było późno. Śnieg przestał padać, ale na terenie uczelni zapanowało arktyczne zimno.



Nigdzie nie było widać taksówki. Emma ruszyła w stronę stacji Kendall/MIT, zeszła do metra i wróciła do centrum Bostonu.

Gdy pchnęła drzwi apartamentu w hotelu, zastała Romualda śpiącego przed ekranami, z głową złożoną na ramionach.

Zaintrygowana przyjrzała się rozstawionemu sprzętowi, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Chłopak przeistoczył pokój hotelowy w Kwaterę Główną Służb Bezpieczeństwa.

Wyszła bezszelestnie z pokoju i udała się do baru. O tej nocnej godzinie nie było tu wielu klientów.

Zamówiła znów caipiroskę i sącząc ją, myślała o tym, o czym opowiedziała jej Joyce Wilkinson pod sam koniec rozmowy.

\*

O pierwszym spotkaniu Nicka i Kate.

## Peruviańska nieśmiertelna partia

*Wyznania miłosne są jak strzały wystrzelone przez myśliwego. Jeleń, który został trafiony, wciąż jeszcze biegnie i nie od razu wiadomo, czy rana jest śmiertelna.*

**MAURICE MAGRE**

### Dziewiętnaście lat wcześniej

**Luty 1991**

**Kate ma szesnaście lat, Nick - dwadzieścia trzy**

Restauracja przy stacji benzynowej, niedaleko St. Helens w Oregonie.

Sypie śnieg. Sala jest prawie pusta. Jedyne obecne klient kończy jeść jajka po benedyktyńsku, rozgrywając jednocześnie partię szachów elektronicznych. Za ladą bardzo młoda kelnerka słucha płyty Nevermind. Przed nią leży otwarty podręcznik biologii i mimo że jej ciało dyskretnie porusza się w rytmie piosenek, wydaje się zatopiona w lekturze.

- Halo, proszę pani! Poproszę jeszcze jedną kawę! Kate podnosi oczy znad podręcznika, chwytając dzbanek z kawą, stojący na elektrycznym podgrzewaczu, i idzie w kierunku klienta. Nalewa mu kawę, unikając jego spojrzenia. Jej uwagę zwraca partia szachów. Zagryza usta, stara się milczeć, gdyż z założenia trzyma się jak najdalej od facetów. W końcu, kiedy widzi, że młody człowiek decyduje się na ruch i zamierza chwycić figurę, ale nie tę, nie tę... Nie wytrzymuje wówczas i rzuca:

- Niech pan odstawi wieżę i zapomni o roszadzie.

- Przepraszam? - pyta Nick.

Ma melodyjny, jasny głos. Po raz pierwszy Kate patrzy na niego tak, żeby go zobaczyć. Jest ubrany na czarno, ale twarz ma miłą, a włosy błyszczące jak miód.

- W tej sytuacji roszada to niedobry pomysł - mówi pewna swego.

- Raczej proszę przestawić gońca na e-siedem.

- A to czemu?

- To pana dziesiąty ruch, prawda?

Nick spogląda na szachownicę i kiwa głową.

- Tak.

- Więc ten układ jest taki sam jak w peruviańskiej nieśmiertelnej partii.

- Pierwsze słyszę.

- To słynna partia! - rzuca dziewczyna z lekką wyższością. Młody człowiek jest rozbawiony jej tupetem.

- A więc proszę mi o niej opowiedzieć.

- To partia rozegrana w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku w Budapeszcie przez słynnego szachistę Estebana Canala. Mat w czternastu ruchach po poświęceniu królowej i dwóch wież. Mężczyzna zaprasza kelnerkę, żeby usiadła.

- Niech mi pani to pokaże.

Dziewczyna się zastanawia, ale w końcu przysiada naprzeciw niego i zaczyna grać. Jeden

pionek, drugi, szybki komentarz:

- Więc jeśli pan zrobi roszadę, pionek przeciwnika weźmie pańskie b-cztery, a potem pana królowa zbije jego wieżę stojącą na a-jeden, zgoda? Następnie król przeciwnika przeniesie się na d-dwa i tu nie będzie pan miał wyboru: pańska królowa musi zbić jego wieżę na h-jeden.

Wtedy jego wieża bije pański pionek na c-sześć, zmuszając pana do zabrania królowej, i partia kończy się matem, gdy goniec przechodzi na a-sześć. Nick spogląda na nią zdumiony. Kate wstaje i kończy demonstrację słowami:

- To nazywa się mat Bodena.

Trochę urażony Nick patrzy na szachownicę, rozgrywając jeszcze raz partię w myślach.

- Nie, proszę zaczekać! Dlaczego moja królowa musi zbić jego wieżę? Kate wzrusza ramionami.

- Jeśli to było dla pana za szybko, proszę sobie spokojnie rozegrać tę partię w domu.

Zobaczy pan, że nie ma innego wyjścia. Przetykając zniewagę, Nick proponuje jej grę, ale dziewczyna rzuca okiem na zegarek i odmawia, a potem wraca za bar. Po chwili do pomieszczenia wchodzi właściciel.

- Wystarczy na dziś, Kate, możesz już iść! - rzuca i wręcza jej cztery banknoty dziesięciodolarowe.

Dziewczyna wsuwa pieniądze do kieszeni, zdejmuje fartuch, wkłada podręcznik do torby i idzie do drzwi. Nick woła za nią:

- Niech się pani zgodzi, krótka partyjka za dychę! - Kładzie banknot na stole.

- Dla pani białe figury.

Kate patrzy na dziesięciodolarówkę, waha się sekundę, siada i robi ruch pionkiem.

Nick uśmiecha się. Pierwsze posunięcia są błyskawiczne. Kate od razu orientuje się, że wygra partię, a nawet że może wygrać bardzo prędko, ale coś ją powstrzymuje. Prawie pod świadomością nie wykonuje pewnych ruchów, żeby gra trwała dłużej. Przez kilka chwil zmusza się, żeby nie patrzeć przez okno i nie widzieć sypiącego śniegu. Na dworze czekają zimno, wiatr, strach, niepewność. Wie, że prędzej czy później będzie musiała wyjść, ale na razie robi sobie przerwę u boku tego czarnego rycerza o złotych włosach, przy kojącej muzyce, w lepkawym cieple restauracji.

- Zaraz dokończymy - rzuca Nick, wstając. Kate patrzy, jak mężczyzna idzie do toalety.

Dwie minuty później wraca i wlewa sobie sam kawę do filiżanki, jakby był u siebie, po czym siada. Grają oboje coraz wolniej. Ona przedłuża przyjemność jeszcze o pięć minut, ale w końcu decyduje się i błyskawicznie kończy partię. Nick czuje się schwyty w pułapkę. Szach i mat.

- Koniec! - mówi dziewczyna twardo i zabiera banknot ze stołu, po czym wstaje i bierze torbę.

- Niech pani jeszcze nie odchodzi! - woła za nią Nick.

- A rewanz?

- Nie, to koniec.

Wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Nick patrzy za nią przez szybę. Jej ostatnie słowa rozbrzmiewają mu w głowie jak echo.

- „Koniec...”

- Cholera, co to za dziewczyna? - pyta, podchodząc do baru.

- Nie mam pojęcia - odpowiada właściciel.

- Chyba jakaś Rosjanka. Zatrudniłem ją dziś rano.  
- Jak się nazywa?  
- Nie pamiętam. Coś skomplikowanego. Rosyjskie nazwisko. Prosiła, żeby ją nazywać „Kate”.

- Kate - powtarza Nick cicho, jakby mówił tylko do siebie.  
Podnosi brwi, wyciąga portfel z kieszeni dżinsów i reguluje rachunek. Potem wkłada grubą kurtkę, obwiązuje szyję szalikiem i szuka kluczyków do samochodu, najpierw w kieszeni spodni, potem kurtki.

- Cholera jasna!  
- Co się stało? - pyta właściciel restauracji.  
- Ukradła mi kluczyki do samochodu!

\*

## **Tego samego dnia Pięć godzin później**

Głośne pukanie do drzwi wyrywa go ze snu. Nick otwiera oczy, rozgląda się. Potrzebuje kilku sekund, żeby uświadomić sobie, gdzie jest (w małym pokoju trochę podejrzanego motelu w Oregonie) i dlaczego (bo był na tyle głupi, że dopuścił, aby szesnastoletnia smarkata ukradła mu samochód, podczas gdy dosłownie za kilka godzin ma bardzo ważne spotkanie w San Francisco...).

- Tak? - pyta, otwierając drzwi.  
- Pan Fitch? Gabriel Alvarez, zastępca szeryfa okręgu Columbia. Znaleźliśmy pańskie auto i zatrzymaliśmy złodziejkę.  
- Naprawdę? Mogę je szybko odzyskać? Spieszę się, bo...  
- Chodźmy, zawiozę pana.

\*

Jeep szeryfa ofiarnie przebija się przez noc. Śnieg ustał, ale droga jest cały czas śliska.  
- Czego pan tu szuka w tej naszej dziurze? - pyta Gabriel Alvarez zrzędliwie.  
- Brałem udział w konferencji na temat gier strategicznych w Seattle. Wracałem do San Francisco, kiedy zaczął sypać śnieg, i...  
- Gry strategiczne, doprawdy! Mój smarkacz gra na komputerze całymi popołudniami. Szykuje nam się ładne pokolenie bezmózgów.  
- No, może niezupełnie - odpowiada Nick ostrożnie. - A mój samochód? Gdzie go znaleźliście?  
- Pod lasem, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. Dziewczyna spała w środku.  
- Jak ona się nazywa?  
- Jekatierina Swatkowska. Ma szesnaście lat. Według tego, co mówi, mieszkała z matką w Bellevue w przyczepie kempingowej, dwa miesiące temu matka umarła. Dziewczyna nie chciała iść do rodziny zastępczej, uciekła z domu dziecka, do którego została skierowana. Od tego czasu śpi na ulicy.  
- Co się z nią stanie?  
- Boję się, że nic dobrego. Skontaktowaliśmy się już z pomocą społeczną, ale to nie rozwiąże problemu.  
- Może powinienem wycofać skargę?  
- Zrobi pan, jak zechce.

- Czy mogę z nią porozmawiać?
- Jeśli pan sobie życzy... Ale uprzedzam pana, wsadziliśmy dziewczynę do celi, żeby trochę ją nastraszyć...

\*

Nick otwiera drzwi celi.

- Cześć, Katliin. Brrr! Ale tutaj zimno!

- Spadaj!

- Spokojnie! Jaki masz problem?

- Moja matka umarła, ojciec uciekł, nie mam forsy, nie mam gdzie spać. Wystarczy?

Nick siada przy niej na drewnianej ławce umocowanej do ściany celi.

- Dlaczego nie chcesz pójść do rodziny zastępczej albo do domu dziecka?

- Ach, niech się pan odczepi! - Kate daje mu mocnego kuksańca w ramię.

Żeby się obronić przed atakiem, Nick chwyta ją mocno za pięści.

- Uspokój się, do cholery!

Kate patrzy na niego agresywnie i odpycha go na drugą stronę ławki.

- Ale co chcesz zrobić w takie zimno? - irytuje się Nick. - Włóczyć się po tej okropnej okolicy?

- Odczep się pan ode mnie!

- Policjant pokazał mi twoją torbę. Widziałem podręczniki biologii. Chcesz zostać lekarzem?

- Tak, i zostanę.

- Nie, nie zostaniesz, bo wagarujesz,

Kate odwraca głowę, żeby Nick nie zauważył łez, które napływają jej do oczu. Wie, że on ma rację, jest jej wstyd.

- Pozwól sobie pomóc! - prosi Nick.

- Pomóc? Dlaczego miałby mi pan pomagać? Nawet się nie znamy.

- To prawda - przytakuje. - Ale co to zmienia? Nienawidzę wszystkich osób, które znam bardzo dobrze.

Kate milczy.

- Powiedziałam panu: nie - rzuca po chwili. - A poza tym ludzie nie pomagają sobie za darmo. Nie chcę być panu nic winna.

- Nie będziesz.

- Zawsze tak się mówi na początku.

Nick wyciąga z torby szachownicę i zmienia temat.

- Zgadzasz się na rewanż?

- Nigdy pan nie kapituluje, co? - Kate wzdycha.

- Mam wrażenie, że to cecha, którą ty również posiadasz, Katliin.

- Proszę przestać mnie tak nazywać! O co gramy tym razem?

- Jeśli wygrasz, znikam z twojego życia.

- A jeżeli przegram?

- Pozwolisz sobie pomóc.

Kate pociąga nosem. Nick wręcza jej papierową chusteczkę.

- Okay - zgadza się po chwili dziewczyna. - W końcu, jeśli lubi pan przegrywać...

Teraz pan gra białymi.

Nick z uśmiechem ustawia figury na szachownicy i robi pierwszy ruch. Kate odpowiada.

- To prawda, że tu jest lodowato - mówi, trzęsąc się z zimna.
- Weź moją kurtkę - proponuje Nick. Kate wzrusza ramionami.
- Nie potrzebuję.

Nick wstaje i zarzuca jej kurtkę na ramiona. Kate mości się w niej i wreszcie odzywa się miło:

- To waży tonę, ale za to jest superciepłe.

Wracają do gry. Przesuwają w milczeniu kolejne pionki. Kate spostrzega, że powoli opada z niej strach, znika nieufność.

A przecież strach towarzyszył jej od dzieciństwa, ciągle się czegoś bała: że umrze matka, że stracą mieszkanie, że zostanie sama na świecie...

Zamyka oczy i postanawia przegrać partię: dzięki temu wielki ciężar spada jej z serca.

Zgodzi się przyjąć pomoc od tego rycerza, który przybył znikąd.

Jeszcze tego nie wie, ale ten moment zadecyduje o całym jej życiu.

W przyszłości będzie w nieskończoność wspominała chwilę swego pierwszego spotkania z Nickiem Fitchem. Z pierwszym mężczyzną, którego naprawdę pokocha. Jedynym. Za każdym razem, gdy opuści ją odwaga albo gdy poczuje, że jej determinacja słabnie, wspomni tę magiczną, niespodziewaną chwilę, w której zjawił się Nick. Ten dzień, w którym zdecydowała, że na zawsze do niego należy, „na dobre i na złe, w bogactwie i w biedzie, w zdrowiu i w chorobie, w radości i smutku, dopóki śmierć ich nie rozdzieli”.

- Szach i mat - mówi Nick, przestawiając królową.

- Zgoda, druga runda dla pana. Zadowolony Nick kładzie dłoń na jej ramieniu.

- W takim razie posłuchaj, Katliin. Wycofam skargę i zadzwonię do swojego adwokata.

Tymczasem proszę cię, żebyś spokojnie tu czekała.

- Zadzwoni pan do adwokata?

- Wyciągnie cię z tej historii i nie pójdziesz do żadnego domu dziecka ani do rodziny zastępczej. Wszystko tak załatwi, żebyś miała prawo kontynuować naukę w St. Joseph College.

- A co to takiego?

- To małe prywatne katolickie liceum, prowadzone przez zakonnice. Ja je ukończyłem. To doskonałe miejsce dla kogoś, kto chce naprawdę się uczyć.

- Ale jak się panu...

- Będziesz miała prawo do trzech lat nauki, wszystko zostanie opłacone - przerywa Nick.

- Będziesz miała gdzie mieszkać i co jeść. Jedynym twoim obowiązkiem będzie nauka.

Jeśli potraktujesz ją poważnie, uda ci się dostać do szkoły medycznej. Tam będą stypendia i już sama dasz sobie radę. Zgoda?

Kate potakuje w milczeniu i pyta:

- Nic nie będę panu winna?

Nick kręci głową.

- Nie tylko nic mi nie będziesz winna, ale już nigdy nie usłyszysz o mnie ani słowa.

- Dlaczego pan to robi?

- Żebyś nie mówiła, że nie miałaś szczęścia w życiu - odpowiada Nick najnaturalniej w świecie.

Wkłada szachownicę do torby, wstaje i spogląda na zegarek.

- Jestem bardzo spóźniony, Katliin, czekają na mnie w San Francisco. Miło mi było cię spotkać. Dbaj o siebie.

Odchodzi, zostawiając jej swoją kurtkę. Specjalnie czy przez nieuwagę? Nieważne. Kate zachowa tę kurtkę przez całe życie.

## CZEŚĆ PIĄTA

Wybór zła

**Dzień szósty**

**20**

**Żywa pamięć**

*Mężczyźni wolą blondynki, bo blondynki  
wiedzą, co wolą mężczyźni.*

**MARILYN MONROE**

**Boston**

**24 grudnia 2010**

**7.46**

Słońce wstało nad Bostonem, a jego promienie wpadły do pokoju hotelowego, odbijając się od metalowych półek. Oślepiiony Romuald zasłonił oczy dłońmi i gwałtownie odwrócił głowę od światła.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby dojść do siebie. Miał zatkany nos, zaschło mu w gardle i czuł mrowienie w rękach i nogach. Zesztywniały ledwo wstał i zrobił kilka kroków, żeby wziąć butelkę z wodą mineralną, która stała na niskim stoliku, ale potknął się o swoją torbę podróżną i runął jak kłoda. Zirytowany podniósł się i zaczął na ślepo szukać okularów, które spadły mu z nosa.

Kiedy je znalazł, zobaczył, że Emmy nie ma w sypialni. Popatrzył na zegarek i wpadł w panikę. Przede wszystkim nie chciał przegapić chwili, gdy Kate przyjdzie do szpitala. Wcisnął klawisz, żeby pobudzić ekrany, i wystukał kod dostępu do obrazów przekazywanych przez kamery zewnętrznego parkingu.

Potem zadzwonił do Emmy.

- Dobrze spałeś, karaluchu? - spytała go zdyszana.

- Gdzie pani jest?

- Na ostatnim piętrze w klubie fitness. Ty również mógłbyś się poruszać i spalić trochę tłuszczu.

- Nie mam czasu - wymigał się. - Jeśli wciąż panią interesuje to śledztwo, to powinna pani jak najszybciej tu przyjść.

- Dobra, już wracam.

Chłopak podrapał się w głowę, patrząc na monitory.

Kilkoma poleceniami podporządkował sobie wszystkie kamery. Teraz mógł nie tylko sprawdzać, co pokazują, ale także zmieniać pole obserwacji oraz przybliżać i oddalać obraz. W ten sposób przejrzał cały zewnętrzny parking. Samochodu Kate jeszcze na nim nie było.

Do pokoju weszła Emma z butelką wody w ręce i z ręcznikiem zarzuconym na szyję.

- Masz coś nowego? - rzuciła od progu.

- Jeszcze nie, ale powinna zaraz przyjechać. A pani?

Emma wytarła pot z twarzy i zrelacjonowała mu ze szczegółami swoją rozmowę z Joyce Wilkinson. Romuald słuchał z zainteresowaniem, cały czas spoglądając na ekrany.

- Ten facet to mąż Kate czy tak? - przerwał jej nagle, wskazując mężczyznę, który parkował



motocykl.

Emma przysunęła twarz do ekranu. Romuald miał rację. Matthew był w trakcie zakładania kłódki na koło starego triumpfa.

- Co on tu robi sam?

- Zaraz pewnie przyjedzie jego żona! - zgadła Emma. Rzeczywiście w niecałą minutę nim wjechała na parking stara mazda coupe, zatrzymała się obok motocykla.

- Możesz przybliżyć obraz? Romuald wykonał polecenie i czerwony samochód wypełnił cały ekran. Charakterystyczna opływowa karoseria, kubełkowe fotele, chowane reflektory i chromowane klamki sprawiały, że był łatwo rozpoznawalny. Dziś już mniej ich jeździło, ale Emma pamiętała, że w latach dziewięćdziesiątych setki tysięcy egzemplarzy tego właśnie modelu zalało drogi na całym świecie. Kate otworzyła drzwi, wysiadła z auta i podeszła do męża. - Do diabła! - wykrzyknęła Emma, wskazując palcem na ekran.

- Patrz na to!

Kate, ubrana w elegancki wcięty trencz, szła w kierunku męża. W lewym ręku trzymała ciężką biało-czerwoną sportową torbę.

\*

Na parkingu był straszny przeciąg, ale świeciło słońce. Wielka ciężarówka ze znakiem Czerwonego Krzyża, w której pobierano krew, stała pośrodku asfaltowej nawierzchni pod banerem:

„Twoja krew może uratować życie”.

Matthew dmuchnął w dłonie, żeby się rozgrzać.

- Naprawdę chcesz mnie zmusić do oddania krwi z samego rana? - Westchnął, patrząc na żonę.

- Oczywiście! Ja zrobiłam to wczoraj - zapewniła go Kate. - Dziś twoja kolej.

- Wiesz, jak bardzo boję się igieł!

- Przestań się wygłupiać, kochanie! Możesz to zrobić dla mnie raz na pół roku! Wiesz dobrze, że to mój oddział organizuje tę akcję wraz z Czerwonym Krzyżem. Musimy dać przykład personelowi szpitala.

- Ale ja nie pracuję w tym szpitalu!

- Matt, nie rób z siebie widowiska. Pośpiesz się i potem pójdziemy na porządne śniadanie do bufetu. Powiesz mi, co myślisz o ich naleśnikach z syropem klonowym.

- W takim razie... - Matt się uśmiechnął. - Wiesz, że nie umiem ci odmówić.

Trzymając się za ręce, weszli do mobilnego punktu poboru krwi.

W środku było bardzo wygodnie: ogrzewanie działało na pełen regulator, z radia płynęły kolędy nadawane przez lokalną stację radiową.

- Cześć, Mary - rzuciła Kate do sekretarki siedzącej za małym biurkiem tuż przy wejściu.

- Dzień dobry, doktor Shapiro!

Już od kilku lat Matt i Kate oddawali krew dla Czerwonego Krzyża. Sekretarce wystarczyło wprowadzić ich nazwisko do programu, żeby dane pojawiły się na ekranie.

Mogli więc szybko przejść do strefy zabiegowej, w której stały cztery fotele.

- Jak tam, Vaughn? - spytała Kate, witając się z kolegą. - Znasz mojego męża, prawda?

Lekarz odpowiedzialny za zabiegi skinął głową i przywitał się z nimi.

- Matthew uważa, że jesteś zbyt brutalny, i woli, żebym to ja wbiła mu igłę w ramię.

Zresztą poznaliśmy się w podobnych okolicznościach.

- Dobrze, zostawiam was samych, gołąbki - powiedział Vaughn, nie bardzo wiedząc, jak

ma się zachować. - Idę na kawę. Zawołaj mnie, gdy skończycie.

Kiedy lekarz wychodził, Matthew zdjął płaszcz i opadł na jeden z przechyłanych foteli.

- Nie wiedziałem, że tak się tu można bawić - zażartował, podwijając rękaw koszuli.

- Nie powiesz mi, że cię to w ogóle nie podnieca - rzuciła Kate, wkładając lateksowe rękawiczki.

Zdezynfekowała ramię męża wacikiem zamoczonym w spirytusie, po czym obwiązała je gumką na poziomie bicepsa, żeby uwypuklić żyłę w zgięciu łokcia.

- Zaciśnij pięść.

Matthew wykonał polecenie i odwrócił głowę, nie chcąc patrzeć na wbijaną igłę.

- Co to za torba? - spytał, wskazując podbródkiem na czerwony worek. - Nigdy jej nie widziałem.

- Moje dresy i adidasy - odparła Kate, ustawiając pod igłą plastikową torebkę, do której zaczęła spływać krew.

- Wracasz do treningów?

- Tak, może pójde poćwiczyć w szpitalnym klubie fitness w przerwie obiadowej - wyjaśniła. - Muszę naprawdę znów zacząć się ruszać! Widziałeś moje pośladki?

- Uwielbiam twoje pośladki.

\*

Emma obgryzała paznokcie.

- Cholera, dlaczego tak ryzykuje i przechadza się z torbą, w której jest pięćset tysięcy dolców?

- Myśli pani, że jej mąż o tym wie?

Emma pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się.

Romuald przechadzał się nerwowo po pokoju ze schyloną głową.

- Jeśli wyszła z domu z tymi pieniędzmi, to z pewnością nie po to, żeby wpłacić je do banku.

Usiadł z powrotem obok Emmy. Razem wpatrzyli się w ekran, dopóki nie ujrzeli Matthew i Kate wychodzących z ciężarówki.

Dzięki systemowi monitoringu widzieli, jak Shapirowie szli holem i korytarzami szpitala aż do bufetu.

- Szkoda, że nie słyszymy, o czym rozmawiają! - zauważyła Emma.

- Panią to trudno zadowolić! - odezwał się zrzędliwie Romuald, biorąc uwagę do siebie.

- W każdym razie Kate ma wciąż pieniądze przy sobie - dodała Emma, wskazując sportową torbę leżącą na krześle.

Wpatrywali się w ekran przez dobry kwadrans. Ale widzieli tylko żonę i męża jedzących śniadanie.

- Zaczynam być głodny przez te ich naleśniki - poskarżył się chłopak, jakby nie jadł co najmniej od trzech dni.

Emma się zirytowała.

- Przecież istnieje w życiu coś jeszcze prócz żarcia i komputerów?

Romuald ugryzł się w język i zmienił temat.

- Naprawdę wyglądają na zakochanych... Trudno uwierzyć, że ona ma kochankę, prawda?

- Prawda... - przytaknęła Emma. - Świetnie udaje.

Po kilkunastu minutach Kate i Matt wstali od stolika, pocałowali się namiętnie i wyszli z

bufetu, każde w swoją stronę.

Matthew wrócił do motocykla na parkingu, a Kate minęła szatnię na oddziale chirurgii - tam zostawiła w swojej szafce sportową torbę - i poszła na górę, na blok operacyjny.

Romuald zajrzał do grafiku jej zajęć, który skopiował na swój komputer.

- Zaczyna dzień pracy od wymiany zastawki, potem wycięcie tętniaka na aorcie piersiowej. Chce pani zostać i obejrzeć?

- Nie, dziękuję. Do południa nic więcej się nie zdarzy, a widziałam już wszystkie odcinki Ostrego dyżuru i Chirurgów.

- Jestem bardzo głodny przez te ich naleśniki - powtórzył chłopak z rozbrajającą szczerością.

- Czy to aluzja, żebym postawiła ci śniadanie? - Emma się uśmiechnęła.

- Możliwe. - Romuald wzruszył ramionami, zadowolony z tego, że się domyśliła.

- No dobra, wygrałeś, bo ja też jestem głodna, a poza tym chciałabym jeszcze zamienić z tobą dwa słowa.

\*

Ubrany w kraciatą marynarkę kelner z hipsterską bródką przyniósł do stolika dwa cappuccino z kremową pianką z nakreślonym sercem na wierzchu.

Emma i Romuald usiedli w małej modnej kafejce na Boylston Street, dwa kroki od hotelu.

Miejsce pełne było kwiatów w doniczkach, starych stolików, ławek z surowego drewna i staromodnych lamp. Panowała tu sielankowa atmosfera.

Emma zamieszała musli z jogurtem, cały czas patrząc nie bez pewnej czułości na Romualda, który ostrożnie wylewał połowę butelki syropu klonowego na naleśniki.

- Musisz mi coś wyjaśnić, Romualdzie.

- Szystko co pani sce - zaseplenił z pełnymi ustami.

- Po co w ogóle przyjechałeś do Stanów?

Romuald przełknął kęs naleśnika i popił wielkim łykiem cappuccino.

- Powiedziałem już, przyjechałem tu za moją dziewczyną, która zatrudniła się jako au pair i...

- I która cię zostawiła. Tak, mówiłeś mi już o tym. Ale obydwójce wiemy, że to nieprawda.

- Oczywiście, że prawda! - oburzył się chłopak.

- Załóżmy więc, że to prawda - rzuciła z przekąsem Emma. - Dlaczego jednak nie przesyłasz żadnych wiadomości rodzicom?

- Przesyłam! - odpowiedział młody człowiek, gapiąc się w swój talerz.

- Nie kłam. Dzwoniłam do nich dziś w nocy. Bardzo się o ciebie martwią. Nie dajesz znaku życia od trzech tygodni.

- Ale jak pani znalazła ich numer?

- Och, dobra, jeśli myślisz, że tylko ty umiesz się posługiwać komputerem...

- To nie pani sprawa! - zaprotestował.

- Przynajmniej ich uspokoiłam. Ale skoro już o tym mówimy, dlaczego zostałeś w Nowym Jorku, jeśli faktycznie ta dziewczyna cię rzuciła? Dlaczego nie wróciłeś do Francji, do liceum?

- Bo miałem dosyć siedzenia w Beaune, dość moich starych i w ogóle, nie rozumie pani?

- Tak, bardzo dobrze rozumiem. Skoro jednak już zostałeś tutaj, mogłeś zabawić się w turystę, zwiedzać Stany, znaleźć jakąś fajniejszą, bardziej rozwijającą pracę. Stać cię na to, bo nie jesteś głupi. Zamiast tego spędziłeś dwa tygodnie, wegetując na stażu w Imperatorze,

robiąc coś, co ci się w ogóle nie podobało. Dlaczego?

- Niech pani się odczepi z tymi pytaniami. Nie jest pani policjantką.

- Trochę jestem, odkąd wyrobiłeś mi tę śliczną legitymację. I jak każdy szanujący się stróż prawa, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie: po co pojechałeś w zeszłą niedzielę do Scarsdale do Michele Berkovic, dyrektor generalnej Imperatora?

Romuald pokręcił głową.

- Nigdy tam nie byłem.

- Przestań traktować mnie jak idiotkę! - warknęła zirytowana Emma, kładąc na stoliku bilet kolejowy, który znalazła w jego kieszeni.

- Przeszukała pani moje kieszenie? Nie miała pani prawa!

- Ach tak? A co ty robisz przed tymi twoimi ekranami i kamerami? Całe dni grzebiesz w życiu innych ludzi. Siedzisz ich, naruszasz prywatność!

- Robię to, żeby pani pomóc! - bronił się Romuald.

- Ja też chcę ci pomóc. Po co pojechałeś do Michele Berkovic?

- Bo to moja matka.

Emma wzniosła oczy do nieba i tym razem naprawdę się wkurzyła.

- Co za bzdury mi tu opowiadasz?! Rozmawiałam z twoją matką dzisiaj w nocy! Nazywa się Marie-Noelle Leblanc. Pracuje w... w Funduszu Ubezpieczeń Zdrowotnych w Beaune! - Emma odczytywała swoje notatki z przedramienia.

Romuald odwrócił puste spojrzenie w stronę wielkiego okna i dziwnie zamilkł.

Emma potrząsnęła jego ramieniem.

- Hej, uparciuchu! Wyjaśnisz mi to czy nie?!

Chłopak westchnął i przetarł oczy. Wolałby być gdzie indziej, choć jednocześnie podświadomie marzył, żeby podzielić się z kimś swoim sekretem.

- Trzy lata temu - zaczął - przeszukując rzeczy mojej matki, odkryłem, że zostałem adoptowany jako noworodek.

Emma zachnęła się, zaskoczona.

- Twoi rodzice nigdy ci tego nie powiedzieli?

- Nie, ale sam się domyśliłem.

- W jaki sposób?

- Po różnych drobnych faktach, dziwnych komentarzach, przemilczaniu pewnych spraw...

Zacząłem się zastanawiać.

Emma odgadła, jaki był dalszy ciąg.

- I postanowiłeś odnaleźć swoich biologicznych rodziców.

- Zajęło mi to dwa lata. Najpierw wykradłem dokumenty z kliniki położniczej w Auxerre, ale tak jak się obawiałem, nie było tam nazwiska mojej prawdziwej matki. Później włamałem się na stronę Oddziału Pomocy Społecznej do spraw Dziecka przy Radzie Generalnej Côte d'Or. Tam również niczego nie znalazłem. Wszystko się zmieniło, gdy udało mi się dostać do krajowego systemu danych osobowych. Przejąłem korespondencję, w której przeczytałem, że moja prawdziwa matka urodziła dziecko w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim. W tym czasie nazywała się Michele Roussel. Wszystko sobie poukładałem i odnalazłem jej ślad. Odbudowała swoje życie w Stanach. Wyszła za mąż za bankiera i przyjęła jego nazwisko, Berkovic. Miała z nim dwoje dzieci. Kiedy zobaczyłem, że kieruje administracją Imperatora, postanowiłem przyjechać do Nowego Jorku i nawiązać z nią kontakt. Musiałem ją zobaczyć, porozmawiać... To było silniejsze od wszystkiego. Zmieniło

się w prawdziwą obsesję. Musiałem się dowiedzieć, skąd pochodzę...

- Dobrze, i co się stało?

- Właśnie, że nic. Udało mi się zatrudnić w Imperatorze. Co rano się z nią mijaliśmy, ale ona nawet na mnie nie spojrzała...

-- To normalne. Jak mogłeś oczekiwać, że...

- Kiedy minęły dwa tygodnie, postanowiłem powiedzieć jej prawdę. Znalazłem adres, włamując się na stronę listy płac. Zaczekałem na weekend i kupiłem bilet kolejowy do Scarsdale. Dotarłem tam trochę po jedenastej. Pół godziny zajęło mi dojście z dworca do jej dzielnicy. Było zimno, padało i kompletnie przemokłem. Trzęsły mi się nogi, serce waliło...

W końcu zadzwoniłem do drzwi, i to ona otworzyła. Cofnęła się na mój widok, prawie ze wstrętem. Myślę, że wzięła mnie za jakiegoś włóczęgę, bo byłem cały mokry i w ogóle...

- No i?

- No i powiedziałem jej, a ona...

\*

- Dzień dobry, pani Berkovic.

- Dzień do... Kim pan jest?

- Nazywam się Romuald Leblanc. Pracuję w biurze prasowym Imperatora. To pani mnie zatrudniła.

- Ach tak, przypominam sobie, stażysta z Francji. Czego pan sobie życzy?

Stała w uchylonych drzwiach i mogłem zauważyć przestronny salon i choinkę. Słyszałem muzykę, wesołe pokrzykiwania dzieci. Czuję zapach jakiejś dobrej potrawy, która gotowała się w kuchni.

Przez prawie minutę patrzyłem jej prosto w oczy. Aż do ostatniej chwili byłem pewien, że mnie pozna. Że dopatrzy się podobieństwa w moich rysach czy głosie.

Ale nie. Stała przed obcym sobie człowiekiem. Intruzem.

- Dobrze, wystarczy. - Zdenerwowała się. - Nie ma pan po co tu stać z tym głupim wyrazem twarzy. Proszę odejść albo mój mąż zadzwoni na policję.

Pokręciłem głową. Zawahałem się i w końcu powiedziałem: - Jestem pani synem.

Najpierw zamarła, a potem jej twarz się wykrzywiła.

- Co ty opowiadasz?! - wykrzyknęła w panice.

Teraz zamknęła za sobą drzwi, i zrobiła kilka kroków, kiwając na mnie, żebym za nią poszedł do ogrodu.

- Posłuchaj, nie wiem, kto ci naopowiadał tych głupstw, ale to nieprawda.

Pogrzebałem w kieszeni i wyciągnąłem dokumenty, które z takim trudem zdobyłem, w tym komplet papierów potwierdzających adopcję, w których figurowało jej nazwisko.

Przebiegła ten dokument wzrokiem i zobaczyłem w jej oczach panikę. Bez przerwy się odwracała, z obawy, że mąż albo dzieci do niej podejną. Przyjechałem w poszukiwaniu miłości, a dostałem tylko strach.

Oddała mi dokument i odprowadziła mnie na ulicę. Wyjaśniła, że to był „błąd młodości”.

Miała wówczas tylko osiemnaście lat i nie od razu zauważyła, że jest w ciąży. Przecież stosowała środki antykoncepcyjne, więc czemu...

\*

- Zakładam, że spytałeś ją o nazwisko ojca.

- Nie wiedziała, kto był ojcem. „Znajomość jednego wieczoru”, tak to określiła. Jakiś wojskowy poznany w barze w Besancon. W tamtym czasie była samotna, ale miała ambitne

plany. Postanowiła opuścić Francję i wyjechać na studia do Stanów. W tym projekcie nie było miejsca na dziecko...

- Zapytała o twoje losy?

- W ogóle o mnie nie pytała. Zrozumiałem, że chce o mnie wiedzieć jak najmniej.

Wyjaśniła mi, że ani jej mąż, ani dzieci nie wiedzą o tym okresie jej życia i że jest bardzo ważne, by się nigdy nie dowiedzieli, ponieważ ten rodzaj niespodzianki potrafi zniszczyć rodzinę. Potem na chwilę znikła i wróciła z książeczką czekową. Poprosiła mnie, żebym następnego dnia nie wracał do pracy w restauracji, i wystawiła mi czek na pięć tysięcy dolarów.

Wręczyła mi go, jakbyśmy byli kwita, i zażądała, żebym już nigdy więcej nie starał się z nią skontaktować. Wróciła do domu i zamknęła drzwi. Stałem kompletnie ogłuszony na deszczu.

Potem poszedłem na dworzec, wrzuciłem czek do kosza na śmieci i postanowiłem wrócić do Francji. Zadzwoiła pani w chwili, gdy się pakowałem...

- Tak mi przykro, że wszystko ułożyło się w ten sposób, Romualdzie. Ale musisz zobaczyć pozytywne strony tego zdarzenia. Twoi prawdziwi rodzice to ci, którzy cię wy-chowali, dobrze o tym wiesz. A teraz wiesz również, jacy są twoi biologiczni rodzice. Możesz iść przed siebie, nie oglądając się...

W tym momencie zadzwoniła komórka Romualda i Emma musiała przerwać swój wywód.

Chłopak spojrział na wyświetlacz i postanowił odpowiedzieć. To był Jarod.

Zamienił kilka słów z informatykiem i zrobił wielkie oczy.

- Musimy jak najszybciej wrócić do hotelu - oznajmił, wkładając kurtkę.

- Co się stało?

- Wiem, jak Kate zdobyła te pół miliona. Już wiem.

**Boston****24 grudnia 2010****9.43**

- Proszę nie dotykać tego komputera!

Kiedy wrócili do hotelu, zobaczyli pokojówkę, dyskutującą ze swoją zwierzchniczką, którą właśnie powiadomiła o dziwnej instalacji informatycznej Romualda. - Proszę pani, jest mi bardzo przykro, ale kontakty w naszym hotelu nie są przystosowane, żeby obsłużyć to całe wyposażenie - powiedziała do Emmy szefowa pokojówek, wskazując na splątane kable elektryczne i przedłużacze.

- Będę musiała panią poprosić o...

- Powyłączamy to wszystko, obiecuję! - zapewniła Emma, wypychając obie kobiety na korytarz.

Zamknęła drzwi i nacisnęła sygnał „Nie przeszkadzać”.

- Dobra, wyjaśnij mi wszystko. - Usiadła przy Romualdzie przed monitorami.

- Skąd Kate wzięła te pieniądze?

Romuald podłączył się do internetu i do swojej poczty.

- Pamięta pani ten blog Bostonka w opałach?

- Jasne!

- Tak jak mnie pani prosiła, rozpracowałem tę stronę, ale niczego dziwnego tam nie znalazłem. Jednak na wszelki wypadek podlinkowałem błoga Jarodowi i poprosiłem, żeby nad nim popracował.

- To ten twój kumpel informatyk?

- Aha. Powiedziałem, że zapłaci mu pani tysiąc dolców, jeśli znajdzie tam coś ciekawego...

- Ładnie szastasz cudzymi pieniędzmi - skomentowała to Emma złośliwie.

- Ale dobrze zrobiłeś.

- Najpierw zauważył, że zdjęcia wydają się trochę zbyt ciężkie jak na ten rodzaj błoga.

- A potem?

- To zachęciło go, żeby przepuścić pliki przez różne programy deszyfrujące.

- Żeby co deszyfrować? - spytała Emma, siadając na parapecie.

Romuald odwrócił się do niej z krzesłem.

- Słyszała pani o steganografii?

- Steganografii?

- Steganografii. To technika pozwalająca ukryć jeden obraz w drugim cyfrowym obrazie, zupełnie zwyczajnym.

Emma zmrużyła oczy.

- Zaczekaj, coś sobie przypominam... Ostatnio mówiono o tym w Wiadomościach, prawda?

- Tak. To była jedna z technik używanych przez dziesięciu rosyjskich szpiegów, których zatrzymano w USA zeszłego lata.

Dzięki internetowi przekazywali w ten sposób tajne dokumenty do Moskwy. Ukrywali je w zdjęciach z wakacji. O steganografii mówiono również po zamachach z jedenastego września. FBI zawsze dawała do zrozumienia, że ludzie bin Ladena porozumiewali się w sprawie tych ataków, ukrywając zaszyfrowane informacje w pozornie niewinnych zdjęciach na forach dyskusyjnych.

- I nie da się tego zauważyć gołym okiem?

- Właśnie.

- Ale jak to możliwe? W jaki sposób można wstawić jedno zdjęcie w drugie?

- Wbrew pozorom nie jest to specjalnie skomplikowane. Istnieje bardzo dużo programów, które pozwalają wykonać taką operację. Z grubsza biorąc, chodzi o to, żeby w sposób niezauważalny zmienić każdy piksel zdjęcia. Emma złapała krzesło i usiadła obok Romualda.

- Nic nie rozumiem. Wyjaśnij mi to w prostszy sposób.

- Dobrze. Wie pani, co to jest piksel?

- To te małe kwadraciki, z których składa się zdjęcie? Romuald kiwnął głową.

- Każdy piksel składa się z trzech bajtów - ciągnął.

- Jeden na kolor czerwony, jeden na zielony i jeden na niebieski. Każdy z tych trzech kolorów ma dwieście pięćdziesiąt sześć odcieni. Razem mamy więc dwieście pięćdziesiąt sześć razy dwieście pięćdziesiąt sześć razy dwieście pięćdziesiąt sześć, to znaczy ponad szesnaście milionów kolorów, czy wciąż pani mnie rozumie? - Emma była trochę zagubiona, ale nie pokazała tego po sobie, a Romuald kontynuował wykład: - Jeden bajt to osiem bitów. Dowcip polega na tym, żeby wykorzystać jeden bit z każdego bajtu tworzącego piksel. Dzięki temu jakość zdjęcia pogarsza się bardzo nieznacznie i nie jest to widoczne gołym okiem...

Emma połapała się, o co mu chodzi.

- Zabiera się ten bit, a w jego miejsce wkłada się inne dane...

Chłopak gwizdnął z podziwem.

- Nieźle jak na kogoś, kto robi notatki na przedramieniu! - Jego pocziwą twarz rozświetlił uśmiech satysfakcji.

Emma stuknęła go w ramię.

- Ale jaki to ma związek z Kate? - spytała.

- Kate używała swojego bloga jako martwej skrzynki kontaktowej\*. Wszystkie zdjęcia, które zamieszczała na tej stronie, były zaszyfrowanymi informacjami.

- Co tam ukrywała?

- Zobacz pani, to zdumiewające! Romuald wyświetlił pierwsze zdjęcie.

- Widzi pani? Kate zamieściła tę fotkę jako ilustrację do artykułu o cukierni w North End.

Emma pamiętała to zdjęcie przedstawiające wystawę z mnóstwem kolorowych ciastek.

Romuald nacisnął klawisz i na ekranie pojawiło się nowe okno.

- A oto ukryty obraz.

Tym razem nie było to zwykłe zdjęcie, ale rodzaj rysunku z formułami matematycznymi i liniami kodu informatycznego. Emma się skrzywiła.

- Co to jest?

- Według mnie to prototyp. Schemat czegoś, co dopiero będzie wyprodukowane, jeśli pani woli. Może jakiś czujnik ruchu... Ale bardziej interesujące jest to. Chłopak powiększył zdjęcie i poprawił kontrast, a wtedy pojawiło się logo w postaci stylizowanego jednorożca.



- Ten dokument jest własnością Fitch Inc.! - wykrzyknęła Emma.

- Myślisz, że Kate zajmuje się szpiegostwem przemysłowym?

Resztę poranka spędzili na deszyfrowaniu zdjęć z błoga Kate, w czym pomagał im Jarod.

Najstarsze materiały dotyczyły prób inżynierów z Fitch Inc., którzy pracowali nad czujnikami ruchu, absolutnie nowatorskimi rozwiązaniami, umożliwiającymi sterowanie komputerem za pomocą ruchów dłoni.

\* W języku szpiegowskim martwa skrzynka kontaktowa to taka, przez którą wymienia się tajne informacje bez konieczności osobistego kontaktu.

- Tak jak robił Tom Cruise w Raporcie mniejszości - wyjaśnił z uśmiechem Romuald.

Inne pliki dotyczyły wersji beta jakiegoś programu, zdolnego błyskawicznie rozszyfrować każdy materiał dźwiękowy. Ale najbardziej szokujące przekazy znajdowały się w najnowszych fotografiach. Były to ni mniej, ni więcej, tylko fragmentaryczne dane dotyczące konfiguracji amerykańskich dronów wojskowych MQ-1 Predator i MQ-9 Reaper, stanowiących broń najnowszej generacji w armii amerykańskiej i właśnie używanych w Afganistanie.

Tajemnice technologiczne i wojskowe, pomyślała Emma i żołądek jej się ścisnął.

Najwyraźniej Kate wykorzystywała bliskie stosunki z Fitchem, by wykraść mu tajne dokumenty, a potem musiała sprzedawać je za ciężką forszę jakiejś konkurencyjnej firmie lub państwu, które chciało poznać amerykańskie tajemnice wojskowe.

- Do tego służyły komentarze umieszczane na blogu! - odgadł Romuald, jakby czytał w jej myślach.

- „Nieinteresujące”. „Interesujące, chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej”.

Chodziło o to, aby pokierować działalnością Kate. Dać jej znać, które informacje są wartościowe, a które nie. Zachęcić ją do zbadania pewnych tropów i dostarczenia innych dokumentów.

Emma i Romuald wymienili zaniepokojone spojrzenia. Czuli wielkie podekscytowanie, ale i strach przed niebezpieczeństwem. Zupełnie jak bohaterowie filmu kryminalnego, których „śledztwo” zaprowadziło tam, gdzie nigdy nie powinni byli się zapuszczać. Cholera! - zakląła w duchu przestraszona Emma. Zamknęła oczy i oparła brodę na splecionych dłoniach. Jak do tego wszystkiego doszło? Pięć dni temu po prostu odpowiedziała na e-mail uroczego na pierwszy rzut oka profesora filozofii. Jedyne, czego pragnęła, to wreszcie znaleźć faceta! I zupełnie niechcący wdepnęła w coś niebezpiecznego, co ją kompletnie przerosło. Pod pozornie zorganizowanym, spokojnym życiem Matthew i Kate, kryła się rzeczywistość zbudowana z kłamstw i tajemnic. Aż do teraz miała szczęście, ale było jasne, że im bardziej zagłębia się w poszukiwania, tym większe niebezpieczeństwo jej grozi.

- Tyle że ta wiedza nic nam nie daje - zauważył Romuald.

- Kate musiała bardzo ryzykować, żeby zdobyć te dokumenty. A tymczasem wszystko, czego się o niej dowiedzieliśmy, wskazuje na to, że nie zależy jej na pieniądzu. Forsa w ogóle na nią nie działa, jest tylko środkiem do zdobycia czegoś innego.

- Czegoś, co kosztuje pół miliona dolarów... - wyszeptwała Emma.

- Musimy się dowiedzieć, co Kate robi z tymi pieniędzmi.

Ledwo skończyła mówić, Romuald złapał swoje okulary.

- Myślę, że zaraz się dowiemy! - wykrzyknął, wskazując palcem na jeden z ekranów.

Dochodziła pierwsza, Kate skończyła już drugą planową operację. Obserwowali to jeden ekran, to drugi, żeby nie stracić jej z oczu, gdy opuszczała salę operacyjną i przechodziła korytarzami szpitala. Zobaczyli, jak zatrzymuje się przy swojej szafce w szatni i wyjmuje z

niej sportową torbę. - Idę! - oświadczyła Emma, wkładając kurtkę. - Ale... Złapała swój plecak, komórkę i wyskoczyła z pokoju.

- Nie spuszczaaj jej z oczu - rzuciła do Romualda i wychodząc z pokoju, trzasnęła drzwiami.

\*

Szybciej! - poganiała się w myślach Emma, sadząc wielkimi susami w kierunku szpitala.

Po opuszczeniu hotelu skręciła na prawo, w Charles Street, jedną z wielkich arterii miasta, która oddzielała Boston Common od Public Garden, dwie wielkie zielone przestrzenie miasta.

Ogarnął ją przeraźliwy ziąb. Gnała pod wiatr, mróz szczypał jej twarz. Przy każdym wdechu miała wrażenie, że nozdrza, gardło i oskrzela napełniają się lodem. Biegła, wciąż przyśpieszając, przez jakieś dwieście metrów, a potem, żeby zyskać na czasie, skręciła w prawo, do parku: zamierzała ściąć drogę i popędzić na przełaj w kierunku wschodnim. Było jej ciężko, bolały ją wszystkie mięśnie, z trudem łapała oddech. Poza tym miała śliskie buty i niewygodne wąskie dzinsy. Przede wszystkim zaś ciążył jej plecak: przy każdym kroku obudowa laptopa wbijała jej się w krzyż.

Szybciej!

Wydostawszy się z parku na Joy Street, potrzebowała kilku sekund, żeby uprzytomnić sobie, gdzie właściwie się znajduje. Chciała ruszyć dalej, ale musiała zaczerpnąć tchu. Kręciło jej się w głowie, zimno kłuło ją w oczy, a płuca stały w ogniu. Zachwiała się i potknęła o brzeg chodnika.

Nie zatrzymuj się, nie teraz! - perswadowała sobie w myślach i na skraju zapaści, z płonącym bólem w klatce piersiowej. Zdołała jednak zmusić się do dalszego biegu. Wiedziała, że jeśli dłużej tu postoi, Kate jej ucieknie.

Najtrudniejsze było ostatnie trzysta metrów dzielące ją od bramy szpitala. Dotarłszy do Cambridge Street, wyjęła komórkę. Miała mdłości i zawroty głowy, ledwie widziała na oczy.

- Gdzie ona jest, Romualdzie?! - krzyknęła, przyciskając komórkę do ucha. Kaszłała. Najchętniej położyłaby się na chodniku.

- Zgubiłem ją - jęknął załamany chłopak. - Opuściła teren szpitala. Już jej nie widać przez kamery!

- Cholera! Dokąd poszła?

- Zniknęła mi na Blossom Street, na poziomie Holiday Inn, niecałe dwie minuty temu.

Emma rozejrzała się. Widziała tę ulicę, była o niecałe sto metrów od niej. Kate musiała być gdzieś blisko, czuła to.

- Jak jest ubrana?

- Nie zdjęła fartucha i wzięła płaszcz przeciwdeszczowy.

Emma, z dłońmi opartymi o kolana, oddychała głęboko, a z jej ust wydobywała się para.

Fartuch lekarski, płaszcz przeciwdeszczowy - starała się wypatrzeć te ubrania na którymś z pieszych, lecz nie było to łatwe, ponieważ o tej godzinie chmara lekarzy, pielęgniarek, i sanitariuszy wychodziła na lunch do okolicznych restauracji i fast foodów.

Białe fartuchy, zielonkawe i pomarańczowe uniformy... - Emma wytarła krople potu, które ją oślepiały. Nagle przez mgnienie oka zobaczyła czerwony punkt, pięćdziesiąt metrów przed sobą, w tłumie, który zmierzał do Whole Foods Market.

Torba sportowa... - pomyślała i natychmiast ekscytacja wzięła górę nad zmęczeniem. Emma ostatkiem sił dotarła do supermarketu.

- Czekaj przy telefonie, karaluchu! Znalazłam Kate!

Emma wpadła do supermarketu i rozejrzała się, Kate była sama i wciąż miała przerzuconą przez ramię dużą torbę. Starając się nie stracić jej z oczu, Emma wtopiła się w tłum. Whole Foods proponował wielki wybór ekologicznej żywności, którą kupowali głównie ludzie dobrze sytuowani. Z powodu Wigilii w kółko puszczano kolędy i w sklepie panował ogromny tłok. Przy wejściu zorganizowano kafenię, w której można było napić się czegoś orzeźwiającego lub zjeść lunch, korzystając z bufetów i stoisk, proponujących dania ciepłe, sushi i bajgle.

Emma zbliżyła się do Kate i szła kilka metrów za nią, krok w krok. Tak samo jak ona stanęła w kolejce, wzięła talerzyk, nałożyła sobie po trochu różnych sałatek i kiełków, wzięła również butelkę kombuczy i zapłaciła za wszystko w kasie.

Potem ruszyła za Kate długą salą ze stolami barowymi, gdzie klienci mogli jeść lunch, obserwując przez oszkloną ścianę ruch na zatłoczonej ulicy.

Pomieszczenie było pełne ludzi, którzy potrącali się i rozpychali łokciami, żeby znaleźć miejsce siedzące na drewnianych ławkach ustawionych przy dużych stołach.

Panował tu nastrój bezpretensjonalnej jadłodajni. Ludzie wstawali i sami szli odgrzewać sobie dania w ogólnodostępnych mikrofalówkach, okazując innym nieco przesadną życzliwość. Ale czas był tu drogi, jedzono szybko: przegryzano cokolwiek w przyjaznym hałasie i wracano do pracy w szpitalu czy do biur na West Endzie. Było to idealne miejsce, żeby pozostać niezauważonym.

Patrząc, jak Kate prześlizguje się między stolikami, Emma zrozumiała, że lekarka przyszła się tu z kimś spotkać. Usiadła na rogu przy jednym ze stołów, na krześle, które zarezerwował jakiś mężczyzna, kładąc na nim swój płaszcz. Emma starała się podejść jak najbliżej, ale jedyne wolne miejsce było odległe o prawie sześć metrów. Rozdzielały ich dwa długie stoły, a panujący hałas uniemożliwiał Emmie usłyszenie czegokolwiek z rozmowy prowadzonej przez tamtych dwoje.

Ale pech! - pomyślała i zmrużyła oczy, żeby lepiej przyjrzeć się nowo przybytemu. Miał około pięćdziesiątki, krótkie szpakowate włosy, ubrany był w ciemny dopasowany garnitur w paski. Zimne spojrzenie niebieskoszarych przezroczystych oczu pasowało do jego nieruchomej, jakby wykutej w marmurze twarzy.

- Słyszysz mnie, karaluchu?

Kilkoma zdaniem Emma wyjaśniła Romualdowi sytuację.

- Cholera! - zaklęła na koniec. - To jemu Kate odda torbę! Muszę się koniecznie dowiedzieć, o czym rozmawiają!

- Proszę podejść bliżej, to wystarczy - odpowiedział Romuald.

- Coś u ciebie nie styka pod sufitem - syknęła zirytowana Emma. - Przecież ci mówię, że nie mogę. A poza tym Kate i ja wpadliśmy na siebie w niedzielę i wczoraj rano, w końcu mnie rozpozna.

- Dobra, dobra, niech się pani tak nie denerwuje! - obruszył się chłopak.

- Romuald, nie pora na dąsy, musisz mi pomóc! Bardzo intensywnie o czymś dyskutują, jeśli masz jakiś cudowny pomysł, najwyższy czas, żebyś go wprowadził w życie!

Chłopak milczał przez trzy sekundy, po czym wykrzyknął: - Pani komórka! Proszę położyć ją na podłodze i pchnąć w ich kierunku! Nagram wszystko.

- Naprawdę jesteś nienormalny! - rzuciła Emma przez zęby. - Przecież to nie zadziała.

Zaniepokojona zaczęła obgryzać paznokcie. Jednak nie widziała innego wyjścia. Położyła

komórkę na parkiecie z jasnego drewna, udając, że poprawia sznurowadła, i pchnęła ją niczym krążek hokejowy w stronę dyskutującej pary.

Komórka śmignęła po lakierowanej podłodze, pod ławkami i nogami jedzących, i zatrzymała się pod wielkim stołem, przy którym Kate rozmawiała z nieznajomym.

Szcście debiutanta... - skwitowała w duchu Emma. Spięta przycupnęła na krześle i wypila swój napój ze sfermentowanej herbaty, w milczeniu modląc się, żeby nikt nie zauważył telefonu. Jej męka szybko się skończyła, ponieważ niecałe trzy minuty później Kate z nieznajomym podnieśli się z miejsc.

Emma również się podniosła i odprowadzana zaskoczonymi spojrzeniami pozostałych klientów sięgnęła po swoją komórkę leżącą na podłodze, a potem pośpieszyła za Kate i nieznajomym mężczyzną.

\*

Emma wybiegła z supermarketu.

- Słyszałeś, o czym mówili, Romualdzie?

- Nie za bardzo... - jęknął chłopak. - Straszny hałas w tej restauracji, muszę wyczyścić nagranie.

- No, to się pośpiesz! - rozkazała i wyłączyła komórkę.

Kate wracała do szpitala, a nieznajomy poszedł w przeciwną stronę. Emma woląła pójść za facetem, który dostał od lekarki czerwoną torbę z pięciuset tysiącami dolarów.

Obserwowała ich przez całe spotkanie i była pewna, że nie doszło do żadnej wymiany.

Mężczyzna wziął pieniądze, ale nie dał Kate nic w zamian.

Co to za facet? Co ma zrobić dla Kate za tę forszę? - zastanawiała się w duchu.

Mężczyzna przez kilkaset metrów szedł Cambridge Street. Emma podążała za nim w rozsądnej odległości, nie tracąc go z oczu. Na ulicy był tłok. Boston przygotowywał się do świąt Bożego Narodzenia. Szeroką aleję udekorowano setkami światełek. Na każdym drzewie wisały lampki lub girlandy, na każdej fasadzie przymocowano wieniec z ostrokrzewu lub jemioly. Wielu przechodniów obładowanych pakunkami miało wesołe miny, powoli wszystkich opanowywał świąteczny nastrój. Nawet lodowaty wiatr na swój sposób przyczyniał się do tworzenia tej radosnej atmosfery, niosąc zapachy sosny, cynamonu i pieczonych kasztanów.

Kiedy doszli do stacji Bowdoin, Emma myślała, że facet zejdzie do metra, ale przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do autobusu numer osiemnaście. Emmie cudem udało się wskoczyć za nim do środka, gdzie użyła swojego LinkPassa, kupionego poprzedniego dnia, gdy wracała ze spotkania z Joyce Wilkinson.

Znalazła sobie wolne miejsce trzy rzędy za mężczyzną, którego śledziła. Siedział nieruchomo przez całą drogę, patrząc obojętnie na miejski pejzaż przesuwany się za oknem.

Autobus wziął szeroki zakręt i wjechał w Park Street. Jego trasa prowadziła wzdłuż Boston Common i Public Garden od północy, potem skierował się na zachód Commonwealth Avenue.

Przejechał ponad kilometr szeroką aleją obsadzoną wiązami i kasztanowcami, kiedy mężczyzna wstał i skierował się do tylnych drzwi.

Wysiadł na przystanku przy Gloucester Street. Emma skorzystała z zamieszania w autobusie, gdy pojawili się nowi pasażerowie, i też wyskoczyła na ulicę. Teraz szła tuż za nieznajomym. Szli tak około stu metrów w kierunku południowym aż do Boylston Street.

To ulica luksusowych hoteli w Back Bay, przypominała sobie Emma.

Mężczyzna wszedł do hotelu St. Francis, którego szklano-ceglana fasada łączyła w sobie modny luksus z wiktoriańskim urokiem tradycyjnej bostońskiej zabudowy. Emma знаła ten prestiżowy hotel, a zwłaszcza jego restaurację, która w zeszłym roku zdobyła trzecią gwiazdkę Micheline. Poszła za nieznanym aż do wind i gdy wszedł do jednej z nich, w ostatnim momencie wskoczyła za nim. Poczekala, aż włoży kartę uruchamiającą szklaną kabinę i naciśnie guzik trzeciego piętra.

- Ja też jadę na trzecie piętro - powiedziała na swoje usprawiedliwienie.

Popatrzył na nią w milczeniu, lustrując ją od stóp do głów.

Już po mnie... - pomyślała przestraszona.

Winda się otworzyła i Emma zobaczyła przytulny korytarz. Mężczyzna nie okazał nawet szczypty dobrego wychowania i nie przepuścił jej przed sobą. Szybko wyszedł i skręcił w prawo. Emma zrobiła kilka kroków w przeciwnym kierunku, po czym odwróciła się na mgnienie oka, akurat w porę, by zauważyć, które drzwi się zamykają. Zanotowała numer pokoju i zjechała windą do lobby.

Właśnie wpadła na pomysł, w jaki sposób może się dowiedzieć, kim jest ten tajemniczy facet.

\*

Nowoczesna sala restauracyjna w hotelu St. Francis przypominała szkatułkę na biżuterię.

Całość, od satynowych parawanów ustawionych w czterech rogach po metalowe koronki zwisające z karniszy, utrzymana była w tonacjach kremowych, nawet monumentalny żyrandol z kryształowymi wisiorami był w odcieniu kości słoniowej.

- Witam panią, czy ma pani rezerwację? - spytał szef restauracji.

- Nie chcę nic jeść. Muszę pilnie porozmawiać z waszym sommelierem, Mickaelem Bouchardem.

- Proszę zaczekać.

Nie minęła minuta, gdy zjawił się jej kolega Mickael, młody Kanadyjczyk.

- Lovenstein? Co ty tu robisz? - spytał.

Nie byli przyjaciółmi, ale często spotykali się na różnych seminariach, degustacjach czy konkursach.

- Cześć, Mickael. Potrzebuję twojej pomocy.

- Jestem w tej chwili bardzo zajęty. Wiesz, jak to przed świętami. Możemy pójść później na drinka, co ty na to? - zaproponował.

Emma podeszła do niego i powiedziała z naciskiem: - Przepraszam cię bardzo, ale to naprawdę pilna sprawa.

- Okay, mów.

- Możesz się dowiedzieć, kto zajmuje pokój numer trzysta dwadzieścia jeden?

- Chyba żartujesz? A ochrona tożsamości naszych gości? Tak traktujecie klientów w Imperatorze?

- Proszę cię, Mickael, to bardzo ważne! Zadzwoń do recepcji albo do konsjerża.

- Nie zamierzam stracić pracy!

- Nie przesadzaj, pytam tylko o nazwisko.

- A co ja z tego będę miał?

- Nie wiem. Co chcesz? Zrobić ci tutaj naprędce laskę? O, za kuchennymi drzwiami jest świetne miejsce.

Emma celowo podniosła głos. Kilku klientów restauracji popatrzyło na nich z uwagą.

Kanadyjczyk zbladł i pociągnął Emmę za sobą do lobby.

- Odwal się, Lovenstein! Jesteś nienormalna!

- Idź do recepcji i dowiedz się, kto zajmuje pokój trzysta dwadzieścia jeden! Bardzo cię proszę!

Mickael niechętnie się zgodził. Wrócił za niecałe dwie minuty i oznajmił: - Typ, który tam mieszka, zameldował się jako Oleg Tarasów. Zadowolona?

Emma wyjęła pióro z kieszonki swojego plecaka.

- Dzięki za współpracę, drogi kolego - rzuciła, zapisując nazwisko na przedramieniu.

- Spadaj stąd, Lovenstein! - burknął Mickael, odwracając się na pięcie.

\*

Oczy Romualda błyszczały intensywnym płomieniem, gdy patrzył na swoje ekrany. Właśnie wprowadził nagranie do komputera i zamierzał je oczyścić z wszystkich możliwych zakłóceń.

Włączył odpowiedni program i poczekał, aż otworzy się okno montażowe. Wysłuchał nagrania, żeby znaleźć moment, w którym szum tła był stały i uporczywy. Tą „próbką” posłużył się, żeby określić „profil” hałasu, identyfikując dokładnie częstotliwość fal i liczbę decybeli.

Następnie zaprogramował wyciszenie hałasu w całym nagraniu i odsłuchał początek. Nie był przekonany co do rezultatu. Tylko w serialach telewizyjnych nigdy nie mają z tym problemu... - pomyślał.

Nie zniechęcając się jednak, przez kilkanaście minut sprawdzał różne zakresy fal, zmieniając ich amplitudy, żeby uzyskać jak najlepszą jakość dźwięku. Potem odtworzył całość od nowa, a to, co usłyszał, ścięło mu krew w żyłach.

\*

Emma usiadła przy barze w hotelu St. Francis, wybierając miejsce bliżej drzwi, dzięki czemu miała doskonały widok na całe lobby, gdyby Tarasów zdecydował się nagle wyjść. Zamówiła caipiroskę, potem wyjęła laptop i połączyła się z hotelowym Wi-Fi.

Była bardzo czujna, całkowicie pochłonięta swoją rolą detektywa. Nigdy jeszcze nie doznała podobnego uczucia, adrenalina i ekscytacja zmuszały ją do ekstremalnego wysiłku, wydawało jej się, że jest zdolna do wszystkiego.

Wystukała nazwisko „Oleg Tarasow” w wyszukiwarce. Zobaczyła wiele propozycji: profile na Facebooku, LinkedIn, VK\*. Wybrała grafikę Google i - o, wspaniała niespodzianko! - prawie \* VKontakte - najpopularniejszy rosyjski portal społecznościowy.

natychmiast zobaczyła zdjęcie Olega Tarasowa, którego szukała. Na fotce był młodszy o dobre dziesięć lat, ale już miał tę samą niewzruszoną twarz, jakby wykutą w kamieniu. Zdjęcie odsyłało do pliku z internetowej biblii kinomanów, Internet Movie Database. Jeśli wierzyć temu, co tam przeczytała, Oleg Tarasów był „kaskaderem” i „koordynatorem popisów kaskaderskich” w bardzo wielu filmach akcji z lat dziewięćdziesiątych. Większość z nich nie kwalifikowała się do kategorii dzieł sztuki: były to seriale telewizyjne, filmy klasy B, niskobudżetowe thrillery, które nawet w tamtych czasach musiały od razu wychodzić na wideo czy DVD. Pracował prawie zawsze z bratem, Wasilijem, ich specjalnością były sceny kaskaderskie na motocyklach. Karierę „artystyczną” zakończyli mniej więcej po dziesięciu latach, ale kilkoma kliknięciami Emma odnalazła ślad braci w Los Angeles, gdzie najwyraźniej się przekwalifikowali - świadczyli teraz usługi ochroniarskie. Według strony internetowej ich agencji specjalizowali się w monitoringu i ochronie celebrytów.

Miała właśnie wyjąć komórkę, żeby powiadomić Romualda o tym odkryciu, ale on ją uprzedził. Odebrała telefon, zanim jeszcze przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Znalazłeś coś, zabójadzie?
- Tak - usłyszała słaby głos chłopaka.
- Zobaczyłeś ducha czy co?
- Wyczyściłem nagranie... - zaczął.
- No i?
- Niech pani słucha. To jest... przerażające.

Emma zmarszczyła brwi. Przyłożyła telefon do prawego ucha i zatkała lewe, żeby nie uronić ani słowa.

**Kate:** *Pieniądze są w torbie. Wywiązałam się ze swoich zobowiązań co do joty: oto drugie pięćset tysięcy. Pięćset pakietów po sto dolarów.*

**Oleg:** *A reszta?*

**Kate:** *Dostanie pan resztę, gdy będę pewna, że wykonał pan zadanie dokładnie według moich instrukcji.*

**Oleg:** *To ma się odbyć dziś wieczór?*

**Kate:** *Tak, ale musi pan koniecznie poczekać na mój telefon, nim pan zacznie działać. I to z pewnością nie nastąpi przed dwudziestą pierwszą. Jeśli do pana nie zadzwonię, rezygnuje pan, zrozumiano?*

**Oleg:** *A miejsce?*

**Kate:** *Zrobiłam panu notatkę na tym pendrwie. Miejsce nazywa się Gzyms. To betonowa rampa, wąska, jednokierunkowa, za dworcem na Jackson Square w Jamaica Plain. Trasa pozwala uniknąć korków i świateł, ale ludzie boją się tamtędy jeździć ze względu na chuliganów i narkomanów, poza tym ratusz jej nie zaleca.*

**Oleg:** *Jest pani pewna, że nikogo nie będzie?*

**Kate:** *Nigdy nie można być niczego pewnym, ale w ten mróz dealerzy i narkomani będą siedzieli w swoich norach. Nie muszę panu przypominać ustaleń?*

**Oleg:** *Nie, wszystko zrozumiałem.*

**Kate:** *Zanotował pan adres?*

**Oleg:** *Tak.*

**Kate:** *Musimy się dobrze zrozumieć, jeśli nie wykona pan moich poleceń co do najmniejszego szczegółu, nasza umowa wygasa.*

**Oleg:** *W porządku. Ostatnia rzecz: jak nazywa się człowiek, którego mam zabić?*

**Kate:** *To ten człowiek ze zdjęcia, mój mąż, Matthew Shapiro,*



Serce podskoczyło Emmie do gardła. Przez ponad minutę, zszokowana, nie mogła wymówić ani słowa. Kate wynajęła płatnego mordercę, żeby zabić Matta... Ale dlaczego? Bo już go nie kochała i chciała być z Nickiem? Niemożliwe, to nie jest powód do morderstwa.

Wystarczy się rozwieść. Chciała mieć prawo do wyłącznej opieki nad córką? To też nie trzymało się kupy. Pieniądze? Z tego, co zrozumiała, Matt nie miał żadnej fortuny, a Nick był jednym z najbogatszych mężczyzn w całym kraju. W takim razie co? Zemsta?

Emma starała się uspokoić i zacząć myśleć logicznie. Czego była absolutnie pewna? Kate nigdy nie przestała darzyć uczuciem swojej młodzieńczej miłości, Nicka Fitcha. Po długim okresie rozstania najwyraźniej z powrotem nawiązali kontakt, ale przecież wykorzystywała tę znajomość, by wykraść kochankowi tajne informacje. Musiała je sprzedać za bardzo wysoką cenę, skoro mogła sobie teraz pozwolić na usługi płatnego mordercy, który miał wyeliminować jej męża.

To jakaś idiotyczna historia... - skwitowała w myślach. Z pewnością te wszystkie wydarzenia były jakoś z sobą związane, lecz w tym momencie nie wiedziała jak. Złapała się za głowę. Miała sztywną z bólu szyję, odczuwała klucie w nogach i klatce piersiowej.

Męczyło ją poza tym jeszcze jedno pytanie: dlaczego w dwa tysiące jedenastym roku Matt wciąż żył? Dlaczego płatnemu mordercy nie udało się go zabić?

- Jesteś tam, Romualdzie?! - zawołała do telefonu.

- Daj mi jeszcze raz to przesłuchać, bardzo cię proszę.

Chłopak puścił nagranie powtórnie. Emmę zastanowiła jedna wypowiedź Kate: (...) musi pan koniecznie poczekać na mój telefon, nim pan zacznie działać i to z pewnością nie nastąpi przed dwudziestą pierwszą. Jeśli do pana nie zadzwonię, rezygnuje pan, rozumiano?

Przypomniała sobie słowa Matthew. Kierowca ciężarówki z mąką, który staranował samochód jego żony, przez cały czas utrzymywał, że rozmawiała przez komórkę. Matthew sądził, że dzwoniła do niego, by go uprzedzić, że w końcu jej mazda ruszyła. Ale tak naprawdę Kate starała się dodzwonić do płatnego mordercy, żeby dać mu zielone światło. Nie udało się z powodu wypadku.

Matt żył tylko dlatego, że jego żona zginęła, zanim zdążyła wydać na niego wyrok śmierci.

Życie za śmierć... - pomyślała Emma. Spoglądając raz po raz do lobby, podzieliła się wnioskami, do jakich doszła, z Romualdem, który wysłuchał jej, nie mogąc opanować wzburzenia. Teraz mieli już w ręku dużo wskazówek i dowodów, ale wciąż nie wiedzieli najważniejszego, a mianowicie: co było motywem takiej decyzji Kate. Motyw był brakującym ogniwiem, bez niego ta makabryczna sprawa nie miała żadnego sensu.

- A Kate? Co z nią? - spytała w końcu Emma o drugą bohaterkę dnia.

- Tak jak było do przewidzenia, wróciła do samochodu i przyjechała właśnie do dziecięcego szpitala w Jamaica Plain.

- Nic więcej?

- Jest coś, choć to pewnie bez znaczenia... - zaczął Romuald.

- Mów.

- Kiedy Kate wróciła z Whole Foods, szybko poszła sprawdzić swoją firmową pocztę i jedyny e-mail, który otworzyła i wydrukowała, dotyczył wyników analizy krwi jej męża.
- Chodzi o krew, którą Matthew oddał dziś rano w punkcie pobrań Czerwonego Krzyża?
- Tak. To dziwne, że Kate dostała wyniki, prawda?
- Nie mam pojęcia. Nie znam tutejszych zwyczajów. Mogłeś zajrzeć do tej wiadomości?
- Mogę zajrzeć do wszystkich wiadomości wszystkich członków personelu! - oznajmił Romuald z dumą.
- No to prześlij mi go, proszę, do mojej skrzynki.

\*

Wyniki badania krwi Matthew zajmowały dwie strony. Emma, która była kompletnym laikiem w tej dziedzinie, zaczęła je studiować z uwagą. Jednak jej wiedza była niewystarczająca, żeby mogła się rozeznać w dziwnych nazwach i skomplikowanych liczbach. Na początku znajdował się bilans hematologiczny: eryocyty, hemoglobina, hematokryt, MCV, leukocyty, limfocyty, trombocyty, OB, żelazo, ferrytyna... Emma przebiegała wzrokiem zdanie po zdaniu, mając nadzieję, że znajdzie tu jakiś trop. Porównywała wyniki Matthew z zakresami referencyjnymi, które towarzyszyły każdej analizie.

Potem był bilans biochemiczny: glukoza, kreatynina, kwas moczowy, enzymy, gamma GT, transaminazy, TSH, dobry cholesterol i zły...

Wątroba, tarczyca, nerki... Wszystkie wyniki są chyba w normie... - pomyślała Emma.

Przeczytała całość jeszcze raz i nie zauważyła nic nienormalnego... z wyjątkiem tekstu w maleńkiej ramce w prawym rogu dokumentu, który brzmiał: Rzadki fenotyp krwi: grupa Helsinki.

Emma wyprostowała się na krześle. Grupa Helsinki? Co to znaczy? - zapytała samą siebie w myślach. Patrzyła w ekran, łudząc się, że dozna olśnienia, niestety, nic takiego nie nastąpiło. Ostatnie dni były bardzo męczące, ale uwolniły ją od ciągłego strachu i zmusiły do wyjścia ze skorupy oraz wykazania się odwagą. Teraz jednak naprawdę nic nie rozumiała.

Trzeba by poprosić o pomoc biologa lub lekarza, a nikogo takiego nie знаła.

Spojrzała w okno, wzdychając. Popołudniowe słońce zalewało ulicę, a jego promienie odbijały się w płatkach śniegu, które zalegały na chodniku.

Mimo że męczył ją początek migreny, nie zamierzała się poddać. Przejrzała w myślach swoją książkę adresową i przypomniała sobie, że mąż jej psychoterapeutki kieruje laboratorium analiz medycznych w Upper West Side. Laboratorium znajdowało się w tym samym budynku co gabinet jego żony, ale Emma zorientowała się w tym dopiero, kiedy oboje przyszli kiedyś na kolację do Imperatora. Z tym że Margaret Wood wyjechała na ferie zimowe do Aspen. Emma znała numer jej komórki, ale psychoterapeutka nigdy nie odpowiadała bezpośrednio na telefony swoich pacjentów, a co dopiero na urlopie. Postanowiła jednak spróbować. Oczywiście odezwała się poczta głosowa, zostawiła więc wiadomość, błagając lekarzkę o jak najszybszą odpowiedź, dodając, że „jest to kwestia życia i śmierci”.

Psychoterapeutka musiała pomyśleć, że Emma stoi na prześle mostu Brooklyńskiego i szykuje się do skoku, ponieważ od-dzwoniła już po minucie. Emma przeprosiła i wyjaśniła, że pilnie potrzebuje ważnej informacji i że tylko jej mąż może takiej udzielić.

- Stoję na szczycie Aspen Mountain, jestem na nartach, ale jeśli zależy pani na skomunikowaniu się z George'em, został na dole i sączy whisky w Ajax Tavern. Wysyłam pani numer jego komórki.

\*

- Pan Wood?

- Tak, słucham?

- Przykro mi, że zawracam panu głowę podczas urlopu, ale to pańska żona przysłała mi ten numer telefonu.

- Hm... - w słuchawce rozległo się mało zachęcające odchrząknięcie.

- Może pan mnie pamięta, nazywam się Emma Lovenstein. Jestem sommeliérką, obsługiwałam pana w zeszłym roku, kiedy przyszedł pan na kolację do Imperatora. Teraz głos George'a Wooda stał się znacznie bardziej przyjazny.

- Ależ bardzo dobrze pamiętam! To był wspaniały wieczór!

W dużej części zresztą dzięki pani. Doradziła mi pani wspaniałe porto do roqueforta.

- Tak, pamiętam.

- Quinta do Noval, jeśli się nie mylę.

- Tak, Quinta do Noval National Vintage z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku.

- Podobno rocznik sześćdziesiąty czwarty jest jeszcze lepszy.

- Nie, sześćdziesiąty trzeci - poprawiła go Emma. - To legendarny rocznik, zostało już tylko kilka butelek. Postaram się znaleźć jedną specjalnie dla pana. Panie Wood, mam kilka pytań, jeśli to nie sprawi panu kłopotu...

- Oczywiście, młoda damo, wszystko, czego pani sobie życzy!

Emma nachyliła się nad ekranem, żeby nie zrobić błędu w wymowie nieznanych słów.

- Co to jest „rzadki fenotyp krwi”?

- Ach, krew, dużo mniej atrakcyjny temat niż wino, prawda? Chociaż nasze zawody nie są aż tak bardzo oddalone: „Pijcie z niego wszyscy, bo to jest kielich krwi mojej...”, jak mówił nasz przyjaciel!

Zadowolony ze swojego żartu, roześmiał się głośno.

- No, a ten „rzadki fenotyp”? - powtórzyła Emma, starając się ukryć zniecierpliwienie.

- To tylko żargon biologów na określenie rzadkiej grupy krwi.

- Jak rzadkiej?

George Wood odchrząknął.

- Czy pani wie, co to znaczy grupa krwi, Emmo?

- Tak jak wszyscy znam cztery główne grupy: A, B, AB, i 0. I współczynniki Rh plus i minus.

- No tak, dobry początek, ale w istocie to dużo bardziej skomplikowane. Bardzo niewielu ludzi wie, że niektóre osoby nie są ani A, ani B, ani AB, ani 0.

- Naprawdę?

- Tak, grupa krwi tych ludzi określana jest jako „Bombay”, od nazwy miasta w Indiach, w którym po raz pierwszy naukowcy trafili na taki przypadek. Są też osoby, które nie mają Rh ani pozytywnego, ani negatywnego. To nazywa się „fenotyp Rh nuli”. Podałem pani tylko dwa przypadki różnic. Żeby uprościć, rzadka grupa krwi to taka, w której brak jednego lub więcej antygenów, obecnych zwykle w systemach innych grup. - Profesor Wood ożywił się, najwyraźniej dzielenie się wiedzą sprawiało mu przyjemność. - Specyfika tych fenotypów oznacza obecność pewnego typu antyciał, które mogą na przykład wywołać reakcję odrzutu podczas transfuzji czy przeszczepu. Osobom, które mają fenotyp „Bombay”, można prze-taczać tylko identyczną krew.

Emma zadała pytanie, które paliło jej wargi.

- A grupa „Helsinki”? Wie pan, co to jest?

Biolog odchrząknął z satysfakcją.

- Oczywiście, grupa „Helsinki"! To jeszcze rzadziej występujący fenotyp niż pani butelki porto z sześćdziesiątego trzeciego roku. Tak określa się ludzi, u których występuje kilka rzadkich fenotypów erytrocytów jednocześnie. O ile wiem, na terytorium Ameryki mieszka nie więcej niż dwanaście osób należących do tej grupy.

A Matthew jest jedną z nich... - pomyślała Emma i poczuła ogromną ekscytację. Ból głowy zniknął. Nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale była pewna, że klucz do tajemnicy leży w tej bardzo rzadkiej grupie krwi Matthew.

- Ostatnie pytanie, panie profesorze, już nie będę dłużej przeszkadzać panu w urlopie. W jakich okolicznościach odkrywa się, że określona osoba ma tak rzadką grupę krwi?

- W różnych okolicznościach: podczas kontroli ciąży albo gdy następuje odrzucenie krwi podczas transfuzji, gdy robi się dokładniejsze badanie u potencjalnego dawcy krwi. Kiedy jakieś laboratorium odkryje rzadką grupę krwi, ma obowiązek wprowadzić jej posiadacza na specjalną krajową listę.

- Bardzo panu dziękuję, panie profesorze, niezwykle mi pan pomógł.

- Liczę na panią z tym porto! - przypomniał profesor na pożegnanie, pół żartem, pół serio.

— Załatwione!

\*

Serce Emmy znów przyśpieszyło rytm. Oto znalazła informację, której od początku szukała! Nawet jeśli nie odgadła jeszcze jej znaczenia, była pewna, że ta wyjątkowo rzadka grupa krwi, którą posiada Matthew, jest epicentrum całej tajemnicy otaczającej Kate.

Spokój, tylko spokój... - powtarzała sobie.

Musiała się opanować i myśleć logicznie, skupiła się więc najpierw na perłowozielonych refleksach świetlnych na dnie swego kieliszka. Postanowiła uporządkować wszystko, co wiedziała o Kate i Matthew. Najpierw skoncentrowała się na tym, jak się spotkali.

Przypomniała sobie słowa Sarah, pierwszej żony Matthew.

Jesień 2006: Matt udaje się do szpitala po tym, jak skaleczył się sekatorem, pracując w ogrodzie. Trafia na Kate, która ma wówczas dyżur. Flirtują ze sobą, ona udziela mu pierwszej pomocy, zakłada szwy.

I z pewnością bada krew... - myśli Emma. Jeśli Kate wykonała dokładną analizę krwi, musiała odkryć, że Matthew należy do osób z rzadką grupą krwi, grupą „Helsinki". Zaczęli się spotykać i kilka miesięcy później pobrali się.

Ale dlaczego Kate go poślubiła? - zastanawiała się, unosząc głowę. W tym momencie zobaczyła, że Oleg Tarasów właśnie oddał swój klucz w recepcji i skierował się ku wyjściu.

Skuliła się na krześle, mając nadzieję, że mężczyzna jej nie zauważy.

Z telefonem przy uchu wyszła z baru i biegiem wypadła z hotelu na ulicę.

- Romuald? Tarasów opuszcza hotel. Spróbuję za nim iść, nie rozłączaj się. Odkryłam coś niesamowitego.

- Ja też mam pani coś do powiedzenia...

- Później, ja... Cholera!

- Co się dzieje?

- Chyba ma samochód!

Osłoniła dłonią oczy, żeby uchronić się od oślepiającego światła odbijającego się od śniegu. Nieoczekiwanie ujrzała, jak parkingowy podejżdża masywnym bordowym pick-upem z

ciężką kratkowaną osłoną chłodnicy, ozdobioną posrebrzaną figurką barana, i wręcza kluczyki do ogromnego samochodu kaskaderowi, który natychmiast siada za kierownicą.

Zaskoczona Emma rozpaczliwie zaczęła rozglądać się za taksówką. Poprosiła parkingowego o pomoc, ale samochód Tarasowa dołączył już do wstęgi jadących drogą aut, powoli znikając z jej pola widzenia.

Cholera! - zaklęła w duchu.

- Zgubiłam go, Romualdzie! Odjechał w kierunku parku.

- Na Boylston Street?

- Tak.

- Czym jedzie?

- Wielkim bordowym dodge'em, ale...

- Zaraz go wytropię!

- Co ty opowiadasz? Tylko nie rób żadnych...

\*

Romuald włożył grubą kurtkę z futrzanym kołnierzem i wsunął komórkę do kieszeni.

Pośpiesznie wyszedł z pokoju i zbiegł po schodach tak szybko, jakby od tego zależało jego życie. W lobby luksusowego hotelu omal nie przewrócił jakiejś starszej pani, która z trudem posuwała się do przodu, oparta o balkonik, potknął się o drobnego maltańczyka i wpadł na gońca hotelowego, który niósł na tacy kieliszki do szampana.

- Bardzo przepraszam, ja...

Rzucił się w kierunku dziedzińca przed hotelem Four Seasons. Zauważył portiera w ciemnym uniformie ze złotymi guzikami, który pomagał jakiejś rodzinie wyładowywać walizki.

Przynajmniej raz się nie zastanawiaj... - pomyślał. Silnik wciąż był na chodzie. W ułamku sekundy Romuald usiadł za kierownicą i gwałtownie ruszył do przodu.

SUV zapiszczał oponami, zostawiając na ziemi ciemne ślady.

**Linia serca**

*Któż nie zadrżałby ze strachu na myśl o nieszczęściach, które może sprowadzić na człowieka jeden niebezpieczny związek...*

**CHODERLOS DE LACLOS**

Kiedy Romuald wyjechał na szeroką aleję, zobaczył przed sobą bordową półciężarówkę. Z kieszeni dochodziły do niego poprzez trzaski krzyki Emmy, która się nie rozłączyła.

Przyłożył komórkę do ucha.

- Zatrzymaj ten samochód, wysiadaj j wracaj natychmiast do hotelu! - krzyknęła Emma.

Szybkim krokiem, potrącając przechodniów na Boylston Street, wracała do Four Seasons.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

- To nasz jedyny konkretny trop!

- Jedziesz kradzionym wozem, nie umiesz prowadzić!

- Umiem, umiem...

- Będziesz miał wypadek i wsadzą cię do więzienia!

- Nie ma mowy, żebym teraz zrezygnował!

Romuald się rozłączył.

Po raz pierwszy od czasu ich spotkania Emma zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie narażała młodego Francuza. Wciągając go bez specjalnego zastanowienia w swoje śledztwo, myślała głównie o sobie. Teraz była przerażona swoją krótkowzrocznością, ale już nie mogła niczego cofnąć: straciła kontrolę nad Romualdem.

Weszła do lobby hotelu i skierowała się do wind. Musiała się uspokoić. Musiała odzyskać panowanie nad sobą. Powinni działać razem. Wystukała numer komórki chłopaka, odebrał.

- Jesteś tam, karaluszku? Dobrze, słuchaj, zgoda. Jedź za tym facetem. Ale proszę cię, prowadź ostrożnie, nie daj się złapać, ani jemu, ani policji. Nie wolno ci ryzykować i nie wysiadaj pod żadnym pretekstem z samochodu, rozumiesz?

- Tak, mamusiu.

- I nigdy nie wolno ci przerywać rozmowy ze mną!

Telefon Romualda wydał z siebie ostry sygnał. Chłopak spojrział na ekran: wskaźnik baterii pokazywał tylko siedem procent mocy.

Miał ochotę wyrywać sobie włosy z głowy. Jak on, którego życie płynęło między telefonem i komputerem, mógł być tak nieuważny?

- Pada mi bateria - jęknął zmartwiony. - Zadzwońię do pani, gdy tylko zdarzy się coś nowego.

\*

Emma weszła do apartamentu wściekła na siebie, przygnieciona poczuciem winy i bezsilnością. Mogła się tylko modlić o bezpieczeństwo Romualda. Starła się nie poddawać emocjom. Chłopak wybiegł z pokoju w pośpiechu, zostawiając włączone monitory i działające aplikacje. Emma usiadła w fotelu i popatrzyła na cały ten sprzęt. Romuald najwyraźniej przeglądał archiwa „Wall Street Journal”. W jednym z okien zauważyła artykuł, który gazeta poświęciła Nickowi Fitchowi. Nie był to tekst najnowszy, pochodził z 2001 roku, miał długość depechy agencyjnej, ale zawierał interesujące informacje.

## Sprawa Nicka Fitcha

*Firma Nicka Fitcha, Fitch Inc., odnosi coraz więcej sukcesów, ale czy kapitan jest jeszcze na pokładzie?*

*„Co się dzieje z Nickiem Fitchem?” - oto pytanie, które zadają sobie wszyscy w Dolinie Krzemowej. Coraz dłuższa nieobecność współzałożyciela i głównego akcjonariusza zaczyna być intrygująca. Co gorsza, podczas tych dwóch miesięcy „wagarów” Fitch nie przyszedł ani na walne zgromadzenie, ani na prezentację nowych produktów programistom.*

*To bardzo dziwne, gdyż jak ogólnie wiadomo, Nick Fitch jest pracoholikiem, więc inwestorzy niepokoją się i wartość akcji firmy spadła.*

*Rzecznik prasowy grupy w lakonicznym komunikacie zawiadomił, że „z Nickiem już wszystko dobrze”, że cierpiał po prostu na ciężkie zapalenie oskrzeli i że wkrótce pojawi się w firmie.*

Emma kliknęła na inne linki na tej stronie. Najwyraźniej Nick rzeczywiście dość szybko wrócił na swoje stanowisko. Akcje spółki poszły w górę i informacja o jego absencji wkrótce znikła z pamięci ludzi i zagubiła się w kosmosie internetu. Emma przeczytała jeszcze raz koniec artykułu. Zapalenie oskrzeli... Akurat! - pomyślała. Pokręciła głową i zamknęła oczy, żeby się skupić. A gdyby Nick był poważnie chory? Powoli układanka zaczynała nabierać sensu.

Choroba, krew, medycyna, zdrowie... - wszystkie te elementy tworzyły swoistą nić Ariadny, która mogła pomóc jej wydostać się z labiryntu sekretów i rozwiązać zagadkę. Emma otworzyła oczy i popatrzyła na pozostałe ekrany. Przecież Romuald włamał się do wewnętrznej sieci szpitala... Potrzebowała pięciu minut i wielu kliknięć myszką, żeby zrozumieć, jak się dostać do danych pacjentów, i zacząć wyszukiwanie według słów kluczowych.

Najpierw wystukała: „Nick Fitch1”.

Brak wyników.

- Nie mam żadnych szans - mruknęła i wystukała dwa następne słowa: „Grupa + Helsinki”.

Na ekranie pojawiła się dokumentacja medyczna jakiegoś pacjenta.

Serce Emmy znów zaczęło szybciej bić. Nigdy jeszcze nie była tak blisko prawdy.

Chodziło o niejakiego P. Drake'a, aktualnie przebywającego na oddziale kardiologicznym w Jamaica Plain.

Kliknęła, żeby otworzyć plik. Gdy tylko przeczytała imię chorego, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Mężczyzna nazywał się Prince Drake. Prince Drake, Dark Prince: Czarny Książę.

To był Nick Fitch. Nick Fitch był teraz w szpitalu, leżał na oddziale kardiologicznym u Kate!

Oszołomiona tym odkryciem, podekscytowana i zdenerwowana, zaczęła z uwagą studiować historię choroby Czarnego Księcia. Zajęło jej to dużo czasu, ale rozumiała najważniejsze. I to, co rozumiała, załamało ją.

Fitch urodził się z jedną komorą serca: była to poważna wada genetyczna, która uniemożliwiała poprawne utlenowanie krwi, zmieniając go w „niebieskie dziecko” - dziecko z sinicą, które nie miało wielkich szans na osiągnięcie wieku dorosłego. Gdy miał osiem lat,

zrobiono mu operację paliatywną, aby polepszyć utlenowanie krwi, a siedem i dziesięć lat później przeszedł jeszcze dwie kolejne operacje na otwartym sercu.

Te operacje umożliwiły mu dalsze życie, ale tylko opóźniły ostateczność: wcześniej czy później, aby żyć, potrzebowałby przeszczepu serca. Przeszczepu praktycznie w jego przypadku niemożliwego, jeśli się wzięło pod uwagę wyjątkowo rzadką grupę krwi płynącej w jego żyłach, czyli grupę „Helsinki”. To, że udało mu się dożyć czterdziestu dwóch lat, graniczyło z cudem. Przez cały czas w największej tajemnicy podlegał skrupulatnej kontroli lekarskiej. Z pewnością bardzo chciał żyć, miał żelazną wolę i sporo szczęścia. Ale dziś jego serce odmawiało dalszej pracy.

Emma przesunęła palcem po touchpadzie, żeby przeczytać cały dokument. Ostatnie adnotacje wskazywały, że Fitch jest w szpitalu od dwudziestu czterech godzin w oczekiwaniu na przeszczep serca.

Tym razem było to jego ostatnie rozdanie: albo transplantacja, albo śmierć.

\*

Romuald prowadził w skupieniu. Przed chwilą najadł się strachu, kiedy na czerwonym świetle na Beacon Street nagle zgasł silnik w SUV-ie i sporo czasu zajęło mu, żeby ruszyć z miejsca. Przez chwilę bał się, że Rosjanin mu uciekł. Ale odnalazł błyszczącego pick-upa na autostradzie, którą objeżdżało się miasto od północnego zachodu.

Ruch na moment zwolnił z powodu korka na skrzyżowaniu autostrad przy zjeździe na drogę międzystanową numer 93. Tym razem, posuwając się powoli zderzak w zderzak z innymi samochodami, bardzo uważał, żeby się nie pomylić przy zmianie biegów. We Francji uczył się jeździć pod okiem ojca, ale nie spodziewał się, że tak prędko przyjdzie mu zasiąść za kierownicą zupełnie samemu.

Ruch szybko stał się płynny. Romuald cały czas obserwował bordowego pick-upa, pilnując się, żeby Tarasów go nie zauważył. Jechał dość szybko na północ: najpierw przez park narodowy Middlesex Felis, pełen dębów, srebrnych jodeł i orzechów włoskich, potem samochód killera skręcił na wschód, a po około dziesięciu kilometrach znów skierował się na północ, tym razem drogami lokalnymi.

Gdy zbliżali się do Lowell - niegdyś kwitnącego miasta przemysłowego - chłopak starał się jechać w rozsądnej odległości od Rosjanina. Okolica była tak piękna, że zatykało dech w piersiach. Promienie widocznego na horyzoncie słońca zdobiły niebo żółtopomarańczowymi pasami, łączącymi się w świetlistą aureolę. Jak okiem sięgnąć otaczały ich wielkie, nieskalane śnieżnobiałe przestrzenie, co jakiś czas połyskiwały jeziora czy srebrzyste wody strumyków.

W chwili gdy Romuald najmniej się tego spodziewał, pick-up nagle skręcił w prawo w wąską dróżkę między sosnami. Dokąd on jedzie? - zdziwił się chłopak i zjechał na pobocze.

Zatrzymał się i zadzwonił do Emmy, żeby zawiadomić ją, gdzie jest.

\*

Tymczasem w Bostonie słońce znikło za chmurami, a Emma siedziała w ciszy w półmroku pokoju. Czas wokół niej stanął. Mimo ewidentnych dowodów, trudno było jej uwierzyć w tę okrutną prawdę, że Kate zamierza zamordować męża, by zdobyć serce do przeszczepu dla swego kochanka.

Myśli jej były skłębione, ale obrazy, które widziała oczami wyobraźni, zastraszająco wyraźne. Informacje, które zebrali w ciągu ostatniego tygodnia, zaczęły się układać w całość.

Powstawał plan diabelskiej intrygi, a w tle Emma dostrzegła postać szaleńczo zakochanej kobiety, używającej całej swojej inteligencji, żeby ten okrutny plan zadziałał.



Jak w filmie przed oczami Emmy pojawiały się sceny, w których nie uczestniczyła, ale których się domyślała. Nie była w stanie oczywiście zrekonstruować każdego szczegółu, lecz miała pewność, że się nie myli.

Lata dziewięćdziesiąte. Kate i Nick przeżywają szalony romans. Są dla siebie stworzeni, stworzeni, żeby być razem, stworzeni, żeby się kochać. Magnetyczna uroda i błyskotliwa inteligencja. Oczarowują siebie nawzajem. Łączy ich coś bardzo silnego, wyjątkowego.

Wszystko zaczyna się podczas tego słynnego pierwszego spotkania, o którym opowiedziała Emmie Joyce Wilkinson, spotkania pewnego śnieżnego dnia w barze przy stacji benzynowej nieopodal autostrady. To wydarzenie zmieniło na zawsze życie Kata: gdy rozpoznali w sobie pokrewne dusze, gdy Nick ją uratował...

Ale Nick miał sekret: był chory na serce, wiedział, że to choroba nieuleczalna, i ukrywał to od najmłodszych lat. Nie chciał wzbudzać niczyjej litości, a później chodziło także o to, by nie utracić kontroli nad firmą. Wiedział, że w każdym momencie może umrzeć, i nie chciał obciążać tym Kate. Wobec tego odsunął się od niej, unieszczęśliwił ją, żeby zmusić do odejścia. Kate rozpaczała. Straciła grunt pod nogami, nie rozumiała, dlaczego Nick ją odepchnął. Stąd pomysł z operacją plastyczną, myślała, że dzięki temu go odzyska.

Co się wówczas wydarzyło? Niewątpliwie Nick zrozumiał, że poszedł złą drogą i powinien wyjawić Kate prawdę. Tę wiadomość dziewczyna przyjęła z ulgą. Nick był w dalszym ciągu w niej zakochany, a w dodatku teraz to ona mogła go uratować, tak jak on ją kiedyś. Podjęła decyzję o zmianie specjalizacji, z neurologii na kardiologię. To był początek nowego życia, poświęconego w całości pracy klinicznej, badaniom naukowym i monitorowaniu stanu zdrowia Nicka. Jej prace były błyskotliwe i multidyscyplinarne - zajmowała się leczeniem immunosupresyjnym, modyfikacjami genetycznymi grup krwi... - ale w sumie nie doprowadziły do żadnego konkretnego rezultatu, który pomógłby Nickowi choćby krótkoterminowo. Wciąż stała przed nią ta sama przeszkoda: jedynie przeszczep mógłby uratować mężczyznę, którego kochała, tymczasem ze względu na rzadko spotykany fenotyp krwi Nicka szanse na znalezienie odpowiedniego dawcy były minimalne.

\*

Jak daleko można się posunąć dla miłości? Daleko. Bardzo daleko.

Ale jest granica, której większość ludzi nigdy by nie przekroczyła.

Kate się nie zawahała.

Jak to się stało? Kiedy zrobiła ostateczny krok? Tu też dziwnym sposobem Emma niemal widziała tę scenę, jakby siedziała w kinie.

Jesień 2006 roku. Kate czeka, aż minie ciągnący się w nieskończoność dyżur na szpitalnym oddziale ratunkowym. I oto staje przed nią uroczy pacjent: mężczyzna, który zaciął się sekatorem podczas pracy w ogródku. To młody profesor filozofii. Facet na luzie, inteligentny i zabawny. Kate opatruje ranę i zakłada szwy. Czuje, że nie jest mu obojętna. Facet wygląda na porządnego, ale zaczyna z nią flirtować. Bo Kate działa w ten sposób na wszystkich mężczyzn. Mimo że nie jest to dla niej powód do szczególnej dumy, Kate wie, że ma to coś, czego nie mają inne kobiety. To jej nie pochlebia, nie dodaje pewności siebie. Bo Kate od dawna już walczy na innym froncie, w innej wojnie.

Ale tego popołudnia puszczają w niej jakieś hamulce. Dlaczego? Może miała trudny dzień, a może Matthew umiał ją rozśmieszyć, może zaimponowało jej jego obycie, a może to, że nie starał się jej uwieść, więc nie czuła się zagrożona? Tak czy inaczej zgodziła się pójść z nim na coca-colę.

Październik. Babie lato. Żłociste słońce zalewa parking szpitala, na którym stoi ciężarówka Czerwonego Krzyża, centrum krwiodawstwa. Oboje stoją nieopodal i piją colę. Kate, tak jak ma w zwyczaju, zaczyna namawiać swego pacjenta do oddania krwi. Opowiada mu o znaczeniu krwiodawstwa, mówi, że to ona kieruje tą inicjatywą i że byłoby miło z jego strony, gdyby wziął w niej udział. Matthew słucha, nie słysząc jej. Spogląda, jak Kate odgarnia nieposłuszny kosmyk za ucho. Lekarka wygląda jak Grace Kelly w którymś ze starych filmów Hitchcocka. Matthew zastanawia się, czy istnieje facet, który ma szczęście co rano budzić się przy tej nieziemskiej istocie, i od razu czuje się zazdrosny. Jak by się tu z nią umówić... Fakt, że Kate tak naciska, by oddał krew, wydaje mu się uroczy. Ale wymawia się, że nie jest na czczo. Ona odpowiada, że to nieważne. On - że się boi ukłucia igły. Wtedy Kate proponuje, że z nim pójdzie. Matthew ulega, wniebowzięty.

Potem każde z nich wraca do swoich zajęć. Może jeszcze wymienili numery telefonów, a może nie. Kate szybko by o nim zapomniała, ale dwa dni później odkrywa wyniki analizy krwi.

Najpierw nie wierzy własnym oczom. Prosi laboratorium o powtórzenie analizy na innej próbce. Rezultat jest jednak taki sam. Przystojny profesor należy do grupy osób o rzadkim fenotypie krwi „Helsinki”! W dodatku urodził się tego samego roku co Nick. Jest podobnie zbudowany. To dawca idealny.

Jak nie widzieć tutaj znaku z nieba? Taka okazja nigdy się już nie powtórzy.

Co się wówczas dzieje w mózgu Kate? Co czuje, gdy dociera do niej, że tylko morderstwo może uratować mężczyznę jej życia? Jak przekracza się granicę między miłością a szaleństwem?

\*

Telefon dzwonił już kilka razy, zanim zatopiona w swoich myślach Emma go usłyszała.

- Tak, Romualdzie? Gdzie jesteś?

- Jakieś dziesięć kilometrów na południe od Lowell. Pick-up wjechał w leśną drogę.

- No tak. Facet musi mieć domek czy coś innego, co służy mu za kryjówkę. Teraz, gdy już wiemy, gdzie się ukrywa, wracaj jak najszybciej.

Romuald się zawahał. Emma słyszała odgłos pracującego silnika samochodu.

- Wracaj! Mam ci do opowiedzenia mnóstwo rzeczy! Musimy podjąć decyzję.

Ale chłopak nie słuchał.

- Proszę cię, wracaj do hotelu!

Romuald przetarł okulary. Nie mógł się wycofać w samym środku tej ryzykownej akcji.

Byłoby tchórzostwem, osobistą klęską nie dowiedzieć się, co jest na końcu ścieżki. Włożył z powrotem okulary na nos i wrzucił pierwszy bieg.

- Zobaczę tylko, dokąd ta droga prowadzi - powiedział do Emmy. - Niech się pani nie rozłącza.

Zerknął na wskaźnik baterii telefonu: zostało mu tylko trzy procent. Wjechał w las. Ścieżka była przykryta grubą warstwą śniegu, ale szerokie opony dodge'a przetarły szlak.

Im dalej wjeżdżał w las, tym ciemniej się robiło. Słońce znikło, zasłonięte gęstymi drzewami iglastymi. Jechał krętą drogą w półmroku przez prawie pół kilometra.

Pełna wyrzutów sumienia Emma czekała z komórką przy uchu.

- Jesteś tam, karaluchu?

- Tak. To chyba ślepy zaułek.

Chłopak zacisnął dłonie na kierownicy. Na końcu ścieżki zobaczył dodge'a, który zawrócił

i stał teraz przodem do niego.

- Pick-up jest tutaj, ale,.. Zmrużył oczy.

- Ale co?!

- Chyba nie ma nikogo za kierownicą.

- O cholera! Romuald, wracaj!

- Tak, tak, wracam, nie wygląda to najlepiej! - zgodził się z Emmą chłopak.

Teraz naprawdę się bał. W kilka sekund zapadła zupełna ciemność i miał wrażenie, że las się nad nim zamyka. Zaczął zawracać, jednak ścieżka była wąska i ugrzązł w śniegu.

Ożeż... - zaklął w myślach.

Pot wystąpił mu na czoło. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z wozu. W lesie panowała idealna cisza. Z gałęzi spadały pojedyncze płatki śniegu i wirowały w powietrzu.

- Jest tam kto?! - zawołał drżącym głosem.

Odpowiedziała mu cisza.

Podszedł do pick-upa i zajrzał przez szybę.

Pusto.

Zauważył, że drzwi nie są zatrzaśnięte. Zamierzał je uchylić, gdy usłyszał skrzypiące na śniegu czyjeś kroki. Odwrócił się nagle i dostrzegł jakiś ciemny cień, który w niego celował.

Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale uderzony w głowę rękojeścią broni, osunął się na ziemię bez czucia.

Emma usłyszała jeden za drugim głuche dźwięki i wpadła w panikę.

- Karaluszku?! Słyszysz mnie?! Powiedz, co się dzieje! Romualdzie! - krzyknęła przerażona i rozplakała się. Nie mogła dalej mówić. Zresztą w telefonie rozległ się przeciągły sygnał, najwyraźniej połączenie zostało przerwane.

CZEŚĆ SZÓSTA  
Od miłości do szaleństwa

24

**Bohaterowie i szuje**

*Żałuj tchórzy, gdyż budują własny strach,*  
**STEPHEN KING**

Noc już zapadła, gdy bordowy pick-up dojechał do strefy przemysłowej New Hartland, między Nashua i Salem, na granicy New Hampshire i Massachusetts. Na pierwszy rzut oka miejsce było strzeżone - otoczone na przemian siatką i drewnianym płotem -- ale niewystarczająco dla kogoś, kto uparł się, żeby tu wjechać. Dodge minął główne wejście i powoli dotarł na strzeżony teren dyskretniejszą niż główny podjazd żwirowaną alejką, po czym zatrzymał się przed ciężkimi metalowymi drzwiami zamkniętymi łańcuchem. Zahamował gwałtownie i wysiadł z samochodu, trzymając w rękach stalowy lewar i nożyce do cięcia metalu. Pozostawił zapalone reflektory, żeby oświetlały bramę.

Otworzył ją w kilka sekund. Wsiadł z powrotem do wozu i wjechał do środka.

Miejsce to, wciśnięte między stare tory a rzekę, zostało opuszczone jakieś dziesięć lat temu. Ponury pejzaż rozciągał się hen na kilka hektarów. Same hangary i magazyny, wszystko porzucone, fabryki z zamurowanymi oknami, nieużytki.

Oleg Tarasów wjechał do długiego hangaru, który kiedyś był rzeźnią okręgu Hillsborough.

Przedsiębiorstwo zbankrutowało jako ostatnie, trzy lata wcześniej, ale część lokali, wykupionych przez prywatnego inwestora, wciąż miała działającą elektryczność.

Miasto próbowało tchnąć drugie życie w ten opustoszały teren, opracowując z lokalnymi inwestorami projekt budowy mieszkań i centrum rekreacyjno-kulturalnego, lecz z powodu recesji żaden z tych planów nie został zrealizowany. Porzucone tereny, lokale i walące się budynki uszczęśliwiły squattersów, gangi młodzieżowe i narkomanów.

Tarasów wyskoczył z furgonetki i włączył kontakt. Magazyn zalało słabe światło.

Brutalnie wyciągnął ciało Romualda z samochodu i uderzył chłopaka kilka razy w twarz, żeby przywrócić go do przytomności.

Bez powodzenia.

Rosjanin się zaniepokoił. Z uwagą obejrzał paszport, znaleziony w jednej z kieszeni spodni chłopaka. Młokos okazał się po pierwsze niepełnoletni, a po drugie, był cudzoziemcem.

Dlaczego jechał za nim od samego hotelu St. Francis? Czy to miało coś wspólnego ze zleceniem, które podjął się wykonać? Zaczął przypominać sobie wydarzenia tego wieczoru i stanęła mu przed oczami młoda kobieta, która wsiadła razem z nim do windy. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że zachowywała się dziwnie. Czy ona też go śledziła? Ale dlaczego? Przecież był bardzo ostrożny. Jak zwykle słabym ogniwem kontraktu wydawał się zleceniodawca. Zawahał się. Czy powinien zadzwonić do Kate Shapiro? Ale umowa jasno określała: żadnych telefonów, żadnego kontaktu, żadnego śladu.

Po prostu miał wykonać to, czego się podjął, i kropka. Zaczął się zastanawiać, czy suma, za którą to robi, jest tego warta. Stwierdził, że tak. Kobieta była w porządku. Już mu wypłaciła dwie raty na w sumie pół miliona dolarów. Nie wiedział, jak zebrała takie pieniądze, i to nie była jego sprawa. Banknoty nie były znaczone. Miał dostać jeszcze milion.

Postanowił działać do końca.

Smarkacz leżący na podłodze był wciąż nieprzytomny. Tarasów musiał zaczekać, aż się ocknie, żeby go wypytać. Złapał jakieś metalowe krzesło, otarł je z pajęczyny i usiadł przy żelaznym stole. Włożył do ust papierosa i zapalił go, a pudełko zapalek położył na blacie. Wydmuchując dym, wyjął z kufierka notes, otworzył go i zaczął czytać szczegółowe informacje na temat mężczyzny, którego miał zabić.

\*

Romuald zobaczył jakieś pomarańczowe drżące światło. W głowie mu szumiało i czuł przenikliwy ból. Leżał na twardej, lodowatej podłodze. Spróbował wstać, ale dłonie miał skrępowane plastikowym zaciskiem.

Gdzie ja jestem? - pomyślał oszołomiony.

Kiedy naprawdę doszedł do siebie, zobaczył, że znajduje się w betonowym hangarze oświetlonym mdłym światłem. Szarpnął rękami, żeby się uwolnić, ale plastikowy zacisk wbił mu się w skórę.

Skrzywił się z bólu. Zrozumiał, że nic nie może zrobić.

Kiedy łzy napływały mu do oczu, zauważył jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się zdecydowanym krokiem. Chciał usiąść, a nawet wstać, lecz but Tarasowa przycisnął go do podłogi.

- Nie ruszaj się!

Zastraszony chłopak nie śmiał nawet spojrzeć w górę.

- Dlaczego mnie śledziłeś? - But Tarasowa zgniatał mu klatkę piersiową.

Romuald zamknął oczy i starał się zwinąć w kłębek.

- Dlaczego?! - ryknął Tarasów.

Romuald się rozplakał.

Wyprowadzony z równowagi Rosjanin kopnął go w bok. Chłopak stracił oddech i rozkaszał się.

Tarasów z siłą olbrzyma złapał go za kurtkę i pociągnął do pomieszczenia, które nie miało okien i w którym ściany i sufit pokryte były metalowymi płytami. Pchnął go na podłogę, a sam wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Romuald dość szybko się zorientował, gdzie jest, bo poczuł zimny wiatr na twarzy, który wydobywał się z ogromnego parownika. Został zamknięty w chłodni.

\*

## **Boston**

### **Delikatesy Zellig Food**

Matthew pchał wózek, starając się dotrzeć do działu z owocami i warzywami.

- Szybciej, tato, szybciej! - poganiała go z uśmiechem Emily, trzymając się siedzenia dla dzieci. Matthew pogłaskał córkę po policzku i wziął z półki pęczek pietruszki, pęczek estragonu, trochę szalotek i małych cebulek. To, czego szukał, ujrzał za zakrętem: młode ziemniaki Rattes de Noirmoutier - Kate je uwielbiała. Zaliczył już co najmniej połowę bostońskich sklepów warzywnych, ale ich nie znalazł. Dziś wieczorem miało być idealnie. Postanowił przyrzędzić na świąteczny wieczór ulubione dania Kate. Mimo wygórowanej ceny ziemniaków, wziął ich całkiem sporo, sprawdził na liście, czy wszystko już ma, i ruszył do kasy.

- Tato, zapomnieliśmy picia dla Świętego Mikołaja! - krzyknęła Emily.

- Tak, masz rację. - Matthew zawrócił.

W dziale garmażeryjnym wzięli kartonowy pojemnik egnoga.

- Dodamy whisky. Święty Mikołaj bardzo to lubi, a przy tym zimnie mu nie zaszkodzi - powiedział Matthew, puszczając oko do córki.

- Świetny pomysł! - Emily zachichotała.

Matthew też się do niej uśmiechnął i pomyślał, żeby tylko nie zapomniał wypić jutro rano kieliszka tego trunku, zanim córeczka wpadnie do salonu.

\*

Romuald zeszywniał z zimna, chociaż zwinął się w kłębek, przyciskając kolana do piersi, a twarz ukrył w futrzanym kapturze kurtki. Popatrzył na zegarek. Siedzi w tej chłodni już ponad dwadzieścia minut. W rogu leżały połamane drewniane palety. Wcześniej szybko obszedł całe pomieszczenie. Ściany były pokryte pleśnią i rdzą. Od razu się zorientował, że nie zdoła wyłączyć chłodni od środka ani otworzyć drzwi.

Rozpaczliwie dmuchał na dłonie, żeby je ogrzać. Trząśł się cały, wargi miał sine, szczekał zębami. Serce waliło mu w piersiach jak po długim wysiłku.

Na początku przesakał z nogi na nogę, żeby nie zamarznąć, ale zimno było silniejsze, przenikało ubranie, wywołując gęsią skórę, paraliżując ciało.

Nagle, gdy już stracił wszelką nadzieję, usłyszał dźwięk dekompresji, który zagłuszył na chwilę szum silnika chłodni. Drzwi się otworzyły i Rosjanin podszedł do niego powoli, w jednej dłoni trzymając pistolet, w drugiej nóż.

- Zimno to straszna rzecz, prawda? - spytał, nachylając się ku niemu. - Dopóki człowiek tego sam nie przeżyje, trudno sobie wyobrazić, jaka to tortura.

Jednym gestem rozciął plastikową taśmę, która wrzynała się Romualdowi w nadgarstki. Prawie na czworakach chłopak wyczołgał się na zewnątrz.

Tarasów patrzył na niego. Wiedział, co może spowodować nagła zmiana temperatury.

Romuald nie mógł złapać tchu. Rozkaszał się, zacierał ręce, masował sobie ramiona i twarz, ale wciąż było mu tak samo zimno. Tylko głębokie wdechy cieplejszego powietrza dawały trochę ulgi.

Tarasów nie zostawił go długo w spokoju.

- Nie będę cię pytał sto razy! - oznajmił. - Albo mi natychmiast odpowiesz, albo wracasz do chłodni, żeby już nigdy z niej nie wyjść!

Chłopak zacisnął powieki. Dyszał. Tarasów nie ustępował.

- Myślisz, że przeżyłeś piekło? Mylisz się! To był drobiazg w porównaniu z tym, co cię czeka. Wyobraź sobie tylko: tu jest kompletne odludzie, możesz wykrzyczeć sobie płuca, a i tak nikt nie usłyszy. Jeśli teraz będziesz milczał, zdechniesz tu w samotności okrutną śmiercią.

Romuald otworzył oczy i szybko przesunął wzrokiem dokoła. Żadnej nadziei ucieczki.

Nigdzie nie można się ukryć. Rosjanin stanął tuż przed nim.

- Pytam po raz ostatni: dlaczego mnie śledziłeś?

Chłopak zaniósł się kaszlem. Tarasów stracił cierpliwość i chwycił go za włosy.

- Gadasz czy nie?!

Zebrawszy całą swoją energię, Romuald pochylił głowę i nagle wymierzył cios czołem w pierś napastnika.

Zaskoczony Rosjanin się zachwiał, a nastolatek skorzystał z okazji i rzucił się w przeciwną stronę, lecz killer podstawił mu nogę.

- I dokąd to się wybieramy?

Romuald padł ciężko na metalowy stół, na którym leżały rzeczy Rosjanina.

W jedną sekundę mężczyzna rzucił się na niego i zaczął go bić. Ciosy w brzuch, sierpowe, ciosy łokciem w żebra spadały na Romualda jak uderzenia. Gdy bezsilnie stoczył się na podłogę, Rosjanin zaczął go kopać.

Kiedy Tarasów w końcu się uspokoił, Romuald był w takim stanie, że nie miał siły się podnieść. Rosjanin ponownie chwycił go za kurtkę i pociągnął do chłodni.

- Idi k czortu! - wrzasnął, zamykając stalowe drzwi.

Upewnił się, że są zaryglowane, i wrócił do głównego magazynu. Postawił stół, przewrócony przez Romualda przy upadku. Podniósł swój laptop, papierosy i klucze.

Sprawdził, czy laptop działa, i włożył go do specjalnej teczki, którą umieścił na siedzeniu pasażera w pick-upie. Wyjął papierosa i spojrzął na zegarek.

- Zapalę później - zdecydował, wsuwając papierosa z powrotem do paczki.

Poszedł w głąb hangaru, gdzie znajdował się rząd boksów chronionych metalowymi drzwiami. Otworzył pierwszy, w którym stał motocykl: był to harley davidson Fat Boy, jaskrawo-żółty i chromowany, modny w latach siedemdziesiątych.

Tarasów wyprowadził motor z boksu i wciągnął go pod światło lampy. Maszyna miała ogromny bak, szerokie opony, masywną kierownicę i dziurkowane felgi.

Sprawdził, czy wciąż ma glocka w wewnętrznej kieszeni kurtki, potem wsunął inną broń, mniejszą, do futerału przymocowanego do kostki. Włożył kask, po czym dosiadł stalowego rumaka.

Uruchomił silnik i włączył GPS, żeby wprowadzić dokładny adres Matthew Shapiro.

Prawie natychmiast system geolokalizacji wyliczył różne trasy do Beacon Hill. Tarasów wybrał tę, która pozwalała dostać się na miejsce w najkrótszym czasie. Włożył rękawice, jeszcze raz spojrzął na zegarek i podjechał do wyjazdu z hangaru. Wyłączył światło i opuścił teren dawnych rzeźni.

\*

Motocykl wydostał się z krętych dróg, które otaczały Windham, i jechał teraz drogą międzystanową numer 93 w kierunku Bostonu. Oleg Tarasów prowadził z podniesioną osłoną twarzy, pozwalając się kołysać miarowemu dźwiękowi swojego dwutaktu. Ruch na drodze był zadziwiająco płynny. Jeśli to się nie zmieni, będzie w mieście za niecałe czterdzieści minut.

Cały czas skupiony na drodze, podsumował swój plan wykonania tego niecodziennego kontraktu. Prościej byłoby wpakować w głowę Matthew Shapiro kulę albo nawet poderżnąć mu gardło. Ale Kate Shapiro była konkretna: nie chciała użycia broni. Pistolet lub nóż oznaczał prawie na pewno śledztwo policyjne. A jej bezwzględnie zależało na tym, aby policja się w to nie w mieszała.

Jeszcze dzisiejszego popołudnia powtórzyła, że wypłata reszty wynagrodzenia zależy od tego, czy zlecenie zostanie wykonane dokładnie tak, jak to zaplanowała: mąż musi zginąć w wypadku drogowym, takim, który spowoduje uraz czaszki, a następnie wylew krwi do mózgu.

Oleg przełknął ślinę. Kate wybrała go dlatego, że dawniej, jeszcze w Rosji, studiował medycynę i pracował jako pielęgniarz. Nie miał więc problemów, by zrozumieć wskazówki chirurga: musiał całkowicie i nieodwracalnie zniszczyć centralny system nerwowy Matthew Shapiro, nie uszkadzając reszty ciała. Inaczej mówiąc, musiał doprowadzić do wypadku, który zniszczyłby ofierze mózg, ale oszczędził resztę organów. Serce mogło przetrwać jeszcze ponad dwadzieścia cztery godziny dzięki specjalnej aparaturze.

Zasadą Tarasowa było nigdy nie zastanawiać się nad motywami klientów i nie osądzać ich.

Każdy ma swoje powody. Ale jednak ten makiaweliczny plan pięknej kobiety wywoływał dreszcze. Przewidziała wszystko w najmniejszych szczegółach, a nawet podsunęła mu miejsce, w którym powinien doprowadzić do wypadku. I był to naprawdę doskonały pomysł...

Gzymsem nazywano wąską betonową rampę na wzniesieniu terenu, która pozwalała objechać zakorkowane ulice. Jeśli znało się to miejsce, można było zyskać cenny czas, wybierając tę trasę, łączącą Connolly Avenue z Ropę Street, małą uliczką za dworcem Jamaica Plain.

Mimo że ukształtowanie tej drogi nie pozwalało zbyt szybko rozpędzić, w ciągu dwóch ostatnich lat zginęło na niej trzech motocyklistów. Głównym powodem była metalowa barierka biegnąca wzdłuż obrzeża rampy. Działacze ze stowarzyszenia motocyklistów zresztą wielokrotnie już podkreślali, jakim zagrożeniem dla zdrowia i życia jest ta barierka, jeśli motocykl się wywrócił i wpadł w poślizg. W ciągu kilku miesięcy dwóm mężczyznom nieszczęśliwie kaski utkwily w tej przerwie między metalową szyną a ziemią, a trzeci, pędząc, wbił się w jeden ze słupków. Trzy wypadki w tym samym miejscu zwróciły uwagę służb miejskich. Rozpoczęła się debata publiczna w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa użytkownikom tego fragmentu drogi. Na razie jednak władze miejskie zrzuciły z siebie odpowiedzialność, zakazując motocyklom wjazdu.

Ale kto tak naprawdę respektował ten zakaz?

Według Kate, na pewno nie jej mąż.

Oleg opuścił osłonę na twarz. Spojrzał w lusterko i zjechał na lewo, przyspieszając i wyprzedzając jadące jedna za drugą ciężarówki. Coraz więcej znaków drogowych wskazywało na bliskość miasta. Kaskader zdwoił uwagę, żeby nie przegapić zjazdu numer 26 prowadzącego do Storow Drive. Tak jak mu wskazał GPS, jechał drogą szybkiego ruchu wzdłuż rzeki Charles aż do skrzyżowania z Beacon Street. Tam skręcił w kierunku Copley Square, wjechał w Mount Vernon Street i dotarł do Louisburg Square. Zaparkował motocykl pod drzewami na placu, zdjął kask i włożył do ust papierosa. Przeszukał kieszenie, ale nie mógł znaleźć zapalek. Zirytowany spojrzał niechętnie w okno, które wskazała mu Kate Shapiro.

Przez szybę widział niewyraźne sylwetki mężczyzny i dziecka.

No cóż, to przykre, ale za niecałe dwadzieścia minut ten mężczyzna zginie.

\*

- Ładnie narysowałam, prawda? - spytała Emily, wręczając ojcu trzy kartoniki.

Matthew popatrzył na nie z uwagą: pośrodku symfonii ciepłych barw wyraźnie widać było renifery ciągnące sanki ze Świętym Mikołajem, księżniczkę i bałwana. Nieźle jak na trzypółletnią dziewczynkę.

- Wspaniale, kochanie! - wykrzyknął z entuzjazmem, głaszcząc dziecko po włosach. - Mamusia będzie bardzo zadowolona, gdy zobaczy, jak ślicznie pomalowałaś nasze menu.

Chodź, teraz ułożymy je na stole.

Emily kiwnęła posłusznie główką i pobiegła do części jadalnej. Wskoczyła na krzesło i położyła na każdym z trzech talerzy menu tego specjalnego wieczoru:

*Carpaccio z przegrzebków z kawiozem*

*Zupa z karczochów z grzanką z truflami*

*Ostrygi a la Rockefeller*

*Homar z Maine duszony z młodymi ziemniakami z Noirmutier*



## *Tarta z orzechami pekanowymi i czekoladą*

- Uważaj, nie spadnij! - zawołał Matthew, pilnując Emily z daleka.

Wytrzeł ręce w fartuch, powtarzając w pamięci składniki do ostryg a la Rockefeller: czosnek, masło, pietruszka, estragon, szalotka, bekon, bułka tarta, oliwa, pieprz kajeński...

Zerknął na zegar kuchenny. Kate już niedługo wróci. Sprawdził, czy wstawił do lodówki szampana, którego trzymał na tę okazję, a potem zajrzał do gotujących się ziemniaków i zastanowił się, czyby już nie rozgrzać piekarnika...

- Tato, jestem głodna! - poskarżyła się Emily.

Wzniósł oczy do nieba. Dziewczynka pobiegła bawić się pod choinką.

- Za kilka minut, kochanie - obiecał.

Światełka na choince mieniły się na różowo, srebrno i błękitno, tworząc feeryczną aureolę wokół córeczki, która wyglądała teraz jak księżniczka z bajki.

- Zrobię ci zdjęcie na tle choinki i wyślę je do mamy, żeby szybciej wracała! - postanowił.

Wziął do ręki komórkę, która w tej samej chwili zawibrowała. Dzwoniła Kate.

*Przeciwności, jak szalony wichur,  
przeszkadzają nam iść tam, dokąd chcemy,  
ogółając nas i stawiają nas naprzeciw siebie  
takimi, jakimi naprawdę jesteśmy, a nie  
takimi, jakimi myślimy, że jesteśmy.*

**ARTHUR GOLDEN**

**24 grudnia 2010**

**Jamaica Plain (przedmieście Bostonu)**

**20.59**

Pokój szpitalny był skąpany w białym świetle. Pograżony w śpiączce Nick Fitch czekał na przeszczep. Jego życie zależało obecnie tylko od respiratora umieszczonego obok łóżka. Kate zmrużyła oczy, sprawdziła podłączenie kroplówki i odczyt elektrokardiogramu. Potem pochyliła się i złożyła szybki pocałunek na wargach ukochanego. Idę i zaraz wracam. Nie martw się niczym, zadbam o wszystko, obiecała mu w myślach.

Zamknęła oczy, żeby zaczerpnąć wewnętrznej energii, odetchnęła głęboko, zdjęła biały fartuch i wyszła z pokoju.

Najważniejsze - nie załamać się! Trzymać się planu!

Zjechała windą na parter i pozdrowiła tych niewielu kolegów, których jeszcze spotkała w korytarzu prowadzącym do izby przyjęć. Nie tracić czasu.

Tak jak przewidywała, w szpitalu panował spokój. Poza ranami ciętymi od noża do ostróg niewiele było innych nieszczęśliwych wypadków w wieczór wigilijny, w porównaniu z nocą sylwestrową. Nawet sala rekreacyjna mimo świątecznych dekoracji wyglądała apatycznie.

Kate sięgnęła do swojej szafki, wyjęła z niej płaszcz, torbę i komórkę. Najpierw zadzwoniła do męża. Rozmawiała z nim, idąc długim świetlistym korytarzem na parking, perfekcyjnie odgrywając rolę wzorowej żony, celnie przewidując reakcje Matthew.

- Kochanie, znów nawalił mi samochód! - skłamała. - Stoi na szpitalnym parkingu! Jak zwykle miałeś rację. Muszę się wreszcie pozbyć tego grata! - Sto razy ci mówiłem..

- Ale jestem tak przywiązana do tej mazdy! To mój pierwszy samochód. Kupiłam go za własne pieniądze w studenckich czasach!

- Czyli ponad dziesięć lat temu, kochanie, a już wtedy nie był nowy.

- Postaram się wrócić metrem. - Chyba żartujesz! O tej porze to zbyt niebezpieczne! Biorę motor i jadę po ciebie.

- Nie, nie, jest za zimno. Pada deszcz ze śniegiem. Lepiej nie przyjeżdżaj, Matt!

Dobrze wiedziała, że Matthew się uprze. Pozwoliła mu zagrać rolę opiekuna i w końcu „ustąpiła”.

- No dobrze, ale uważaj, błagam! Czekam na ciebie - zakończyła, przechodząc przez rozsuwane drzwi. Rozłączyła się i weszła na parking.

Zimno zmroziło jej twarz, lecz wcale tego nie czuła.

\*

**21.03**

Sameer Naraheyem przekręcił kluczyk w stacyjce ciężarówki i wyjechał z terenu fabryki mąki firmy AllWheat, po zachodniej stronie przemysłowej części Jamaica Plain. Był to jego ostatni kurs tego wieczoru, potem wracał już do domu, do żony, Sajani. Dzień miał długi i trudny. Nie powinien pracować w tę Wigilię, ale rano zadzwonił spanikowany szef, prosząc, żeby zastąpił kierowcę, który nie zjawił się na odprawie. Mimo że ten dzień mieli z żoną spędzić w rodzinnym gronie, Sameer nie śmiał odmówić szefowi. Recesja, ciąża Sajani - to nie był moment, żeby ryzykować utratę pracy.

Ale jednak pech z tym zastępstwem, pomyślał i popatrzył na zegar na tablicy rozdzielczej. No, muszę się pośpieszyć! Miał dostarczyć mąkę do piekarni w Quincy, na południu Bostonu, przed dwudziestą drugą.

Przyśpieszył, lekko przekraczając dozwoloną tutaj prędkość.

Nawet nie przypuszczał, że za kilka minut spowoduje śmiertelny wypadek...

\*

## 21.05

Kate szła przez parking do samochodu. Gdy dotarła do miejsca numer sześćdziesiąt sześć, ze zdumieniem spostrzegła, że jest puste! Ukradziono jej wóz!

To niemożliwe... - pomyślała.

Kiedy przyjechała dziś do szpitala, na pewno zaparkowała na tym miejscu co zawsze!

Czuła, jak rośnie w niej złość. Zawahała się, nie wiedząc, co robić. Miała zadzwonić do faceta, żeby dać mu zielone światło, zanim Matt wyjedzie z domu. Ale powodzenie tego planu zależało również od tego, żeby to ona znalazła się pierwsza na miejscu „wypadku”.

Musiała za wszelką cenę dopilnować przyjazdu pogotowia i sprytnie rozegrać całą sytuację. Po pierwsze zamierzała wykorzystać swoją pozycję lekarki, a po drugie żony ofiary.

Miała zamiar nie odchodzić od ciała Matthew ani na chwilę, siedzieć przy nim podczas transportu do szpitala, przyśpieszyć angiografię, mającą zaświadczyć o śmierci mózgu, i szybko uregulować formalności związane z przekazaniem organów do przeszczepu. Tego ranka nie zapomniała sprawdzić, czy w portfelu męża znajduje się karta dawcy organów, którą wyrobił sobie wskutek jej perswazji trzy lata wcześniej. Wiedziała, że to do niej zwrócą się lekarze i ją poproszą o podjęcie decyzji: jej mąż nie utrzymywał bliskich kontaktów z rodzicami, którzy mieszkali na Florydzie, a w Bostonie nie miał innej rodziny.

Plan się powiedzie, jeśli wszystko zostanie załatwione jak najprędzej. W chwili podjęcia decyzji o możliwości pobrania organów laboratorium wyda ocenę, w jakim są one stanie, wykorzystując diagnostykę obrazową, a następnie przygotowuje bilans serologiczny. Chodziło o dopasowanie dawcy i potencjalnego biorcy. Nick znajdował się na priorytetowej „szkarłatnej liście”, i zostałby natychmiast wyznaczony. Od dwóch miesięcy Kate monitorowała harmonogram pracy ekip lekarskich, a ponieważ nie mogła operować w pojedynkę, upewniła się, że dyżurny kardiochirurg jest prawdziwym mistrzem w swej profesji.

Przez tygodnie, miesiące i lata obmyślała każdy szczegół.

Przewidziała wszystko, ale nie to, że ukradną z parkingu jej stary samochód...

Zachować spokój... Nie wzięła pod uwagę takiego przypadku, lecz nie wolno jej było stracić głowy. Tak jak w szachach. Przypomniała sobie zdanie Tartakowera, mistrza w tej dyscyplinie: Taktyka polega na przewidzeniu, co należy zrobić, gdy można coś zrobić, a strategia - na przewidzeniu, co należy zrobić, gdy już nic nie można zrobić.

Pobiegła do budki strażnika i zgłosiła kradzież samochodu.

- Niemożliwe, proszę pani. Jestem tutaj od południa. Znam doskonale to coupe i mogę panią zapewnić, że nie opuściło terenu szpitala.

- Ale widzi pan, że go tu nie ma! - To znaczy, że zaparkowała pani w innym miejscu! Codziennie się tak zdarza. W zeszłym tygodniu doktor Stern też myślał, że mu skradziono porsche, bo zapomniał, że przyjechał do pracy taksówką!

- Jeszcze nie zwariowałam i...

- Niczego takiego nie sugeruję, pani doktor! - wszedł jej w słowo.

- Zaraz sprawdzimy niższe piętra - dodał, wskazując ekrany kamer przemysłowych.

No, akurat... - zachnęła się w duchu Kate i już odchodziła, gdy usłyszała wołanie strażnika:

- Tu jest pani samochód, na trzecim poziomie, miejsce sto dwadzieścia pięć! - Postukał palcem w ekran, z triumfalnym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „Ci wszyscy lekarze to kretyni...”.

Kate cofnęła się od wind i rzuciła na schody prowadzące do podziemi.

Jak to się stało? Miała swoje miejsce na powierzchni. Nigdy nie wjeżdżała na niższe piętra. Ktoś z pewnością przestawił jej auto. Ale dlaczego? Czy to miało coś wspólnego z tym, że w zeszłym tygodniu zgubiła kluczyki? Myśli kłębiły jej się w głowie, ale postanowiła odsunąć to od siebie i skupić się na najważniejszym. Spojrzała na telefon. „Brak zasięgu”. No tak, jest w podziemiu.

Wsiadła do mazdy, przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała na powierzchnię, przyspieszając przy wyjeździe z parkingu. Zanim skręciła na drogę, wykonała szybki telefon do Tarasowa, żeby dać mu wreszcie zielone światło.

Kiedy włączyła się do ruchu, zauważyła w lusterku wstecznym ciężarówkę skręcającą na rogu alei w kierunku przeciwnym, niż ten, w którym sama jechała.

\*

## **Dawny teren przemysłowy Windham**

**21.08**

Chłodnia była pogrążona w ciemnościach.

Romuald zapalił kolejną zapałkę z pudełka, które udało mu się ukraść napastnikowi, kiedy tamten go bił. Naiwnie myślał, że to mu w czymś pomoże, ale w tej lodowni nie było nic do podpalenia. Drewniane palety okazały się zbyt wilgotne. Drewnienko błysnęło słabym światłem, które wkrótce zgasło.

Lodowate zimno dusiło chłopaka, twarz mu zdrętwiała, nie czuł ani nosa, ani uszu. Zimny powiew mroził dłonie, chłód wciskał się wszędzie, przenikał do szpiku kości. Niewidzialny wróg, z którym nie umiał walczyć.

Przyspieszone początkowo tętno teraz zdecydowanie słabło. Do dreszczy i strachu dołączyło wyczerpanie. Czuł, że siły go opuszczają. Żeby nie popaść w letarg, postanowił co dziesięć minut zapalać zapałkę i trzymał się kurczowo tej decyzji. Stopy i nogi mu zeszywniały, był jak sparaliżowany. Z lekcji biologii pamiętał, że mechanizmy termoregulacyjne działają jeszcze przez jakiś czas, a gdy organizm stara się zwalczyć hipotermię, krew opuszcza koniuszki ciała i gromadzi się w najważniejszych organach, czyli w mózgu i sercu. W głowie mu się kręciło, był u progu utraty przytomności. Nie umiałby otworzyć ust i przemówić, myślał w zwolnionym tempie. Płuca go bolały, ale nie miał siły

kaszleć.

Oddychał z trudem.

Nigdy nie wyobrażał sobie, że zimno może być tak okrutne. Rosjanin miał rację: najgorsza była pewność, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą, świadomość, że umrze w samotności, w ciemności i w strasznych cierpieniach.

## **Boston**

### **Beacon Hill**

#### **21.09**

Nie minęła minuta od rozmowy telefonicznej z Kate, gdy Oleg Tarasów zauważył, jak Matthew Shapiro zbiega po schodkach ganku. Nie spuszczać go z oczu, Rosjanin nałożył z powrotem kask i rękawiczki. Widział, jak Matthew wsiada na motocykl: błyszczący chromami Triumph Tiger Cup z lat pięćdziesiątych, wspaniale odnowiony, z pięknym okrągłym reflektorem i niskim siodełkiem.

Pozwolił Matthew nieco się oddalić, a potem dodał gazu na swoim harleyu i ruszył w ślad za nim.

\*

#### **21.10**

Matthew chciał jak najszybciej spotkać się z żoną, więc gnał przez miasto. Dzielnice znał jak własną kieszeń, tę trasę również przemierzał setki razy. Charles Street, Beacon Street, Arlington Street... Mimo deszczu ze śniegiem stary motor jechał jak przyklejony do asfaltu, doskonale trzymał się drogi. Na Columbus, szerokiej, biegnącej prosto alei, łączącej centrum miasta z South End, Roxbury i ze wschodnią częścią Jamaica Plain, Matthew jeszcze przyspieszył. Było co prawda dość wcześnie, ale miasto wyglądało jak wyludnione.

Dekoracje świąteczne nakładały się na neony biurowców i sklepów. Srebrzyste anioły przymocowane do latarni i gwiazdne girlandy błyszczały tysiącem świateł i razem z dziwnymi fluorescencyjnymi wężami zaczepionymi wokół koron drzew tworzyły prawdziwie futurystyczną atmosferę. Na przedmieściach było o wiele mniej świateł. Matthew poczuł, że zbyt szybko wjechał na rondo tuż przed dworcem na Jackson Square, wpadł w lekki poślizg. Z łatwością opanował maszynę, minął dworzec i wskoczył na słynny Gzys, betonową rampę łączącą Ropę Street z Connolly Avenue, ulicą, przy której znajdował się szpital Kate. Teoretycznie motocykle miały zakaz jazdy skrótem, ale nigdy nie widział, żeby stali tu jacyś policjanci. Mimo to jechał ostrożnie, ponieważ było ślisko. Tuż przed ostrym wirażem zauważył w lusterku innego motocyklistę, dosiadającego ogromnego harleya przerobionego według własnego gustu.

Harleyowiec jechał trochę zbyt blisko. Jego reflektor oślepił Matta.

Nie mam najmniejszej ochoty się ścigać, pomyślał i zwolnił, zjeżdżając na prawo, by dać się wyprzedzić. Tamten zmienił pas, żeby go wyminąć, ale w ostatnim momencie zrezygnował i znów znalazł się za Mattem. Przednie koło harleya zahaczyło o tylne koło triumphu i pozbawiło go równowagi. Zaskoczony gwałtownością uderzenia Matthew stracił kontrolę nad maszyną.

W ostatniej chwili udało mu się skrócić kierownicę i zablokować tylne koło, żeby motor, który ruchem ślizgowym sunął po mokrym asfalcie, nie wbił się między szyny metalowej

barierki. Matthew wyleciał z siodełka i potoczył się po ziemi. Jego kask odbił się kilkakrotnie od jezdni, a noga uderzyła w słupek barierki, po czym zatrzymał się. Potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, co się stało. Chciał się podnieść, ale tylko zawył z bólu. Najwyraźniej złamał nogę. Oparł się o barierkę i zdjął kask. Nagle zorientował się, że kierowca harleya pędzi w jego stronę z kijem baseballowym. Facet już się zamachnął, gotów zrobić z niego miazgę, gdy nagle...

\*

Dwa żądła tasera wbiły się Rosjaninowi w kark, rażąc go ładunkiem elektrycznym. Mężczyzna upadł bezwładnie na ziemię, jak trafiony piorunem.

Ubrana w czarne legginsy i skórzaną kurtkę Emma użyła swojego paralizatora, żeby unieszkodliwić napastnika.

- Czy wszystko w porządku? - spytała, podbiegając do Matthew.

Matthew spojrzał na tę kobietę w ciemnej kominiarce, która zjawiała się znikąd, żeby mu uratować życie.

- Ale... Co się dzieje?

- To pańska żona! - wykrzyknęła Emma. - Kate chce pana zabić!

- Co?! Co pani wygaduje? I kim pani w ogóle jest?

Emma nie miała czasu odpowiedzieć.

Dwa okrągłe błyszczące reflektory przebiły ciemność. Mazda Kate ustawiła się obok harleya davidsona. Lekarka wyszła z samochodu i zimno oceniła sytuację.

Nic nie odbywało się według planu.

- Kochanie! - zawołał Matthew.

Kate nawet na niego nie spojrzała. Zastanawiała się, co to za Catwoman pokrzyżowała jej szyki.

Najpierw jedno, potem drugie... - pomyślała.

Nachyliła się nad Tarasowem i zauważyła igły paralizatora wbite w kark. Morderca leżał bezwładnie na asfalcie, z trudem odzyskując przytomność. Przeszukując wewnętrzną kieszeń jego kurtki, Kate znalazła to, czego szukała: polimerowego glocka 17 z magazynkiem. Odbezpieczyła pistolet i wystrzeliła w stronę Emmy, żeby zmusić ją do ucieczki, a potem z wyciągniętą do przodu ręką, z palcami zaciśniętymi na spuście, ruszyła w kierunku męża.

Mogę jeszcze uratować Nicka, pomyślała. Kula w głowę zabije Matthew, lecz serce będzie nietknięte!

- Kate, kochanie, co ty wyrabiasz?! Co ty ro...

- Milcz, milcz! - wrzasnęła. - Nie mów do mnie „kochanie”! Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz. NIC!

Skończę w więzieniu, ale Nick będzie uratowany. . - zdecydowała w duchu.

Twarz pięknej lekarki zmieniła się nie do poznania. Znikł gdzieś wdzięk, znikła uroda, pozostała porcelanowa maska bez życia. Tylko w oczach palił się szalony płomień. Jak robot sunęła w kierunku męża.

- Chciałabym móc ci to wyjaśnić, Matt, lecz nie zrozumiałbyś.

Emma uciekła na drugą stronę ulicy. Mrużąc oczy, zauważyła, że były kaskader próbuje dźwignąć się na nogi. Dostrzegła futerał przypięty do jego kostki. Szalona myśl przemknęła jej przez głowę. Podczołgała się do Rosjanina i wyrwała z etui smitha & wessona 36. Zaciśnęła dłonie na rewolwerze i uniosła je, celując w Kate.

Nie mam czasu na zastanawianie się... - pomyślała.

Kate skierowała lufę glocka w stronę głowy męża, Emma wycelowwała smitha & wessona w Kate. Obie były gotowe do strzału.

Emma pomodliła się, żeby dłoń jej się nie zatrzęsała.

Pierwsza nacisnęła spust.

\*

Trafiona w pierś Kate upadła do tyłu. Jej ciało przechyliło się nad barierką bezpieczeństwa i spadło po stromej ścianie wąwozu.

\*

Zapadła długa, nierealna cisza.

Siła odrzutu przewróciła Emmę, która przez dłuższą chwilę leżała w dreszczach kompletnie zszokowana, niezdolna do wymówienia słowa.

Oleg Tarasów wreszcie wstał i od razu zrozumiał, że najlepiej zrobi, jeśli natychmiast zniknie. Bez kasku wsiadł na harleya, dodał gazu i odjechał.

Gdy przejechał pięćdziesiąt metrów, na skrzyżowaniu wjechała w niego rozpędzona ciężarówka z mąką prowadzona przez Sameera Naraheyema.

\*

Emma powoli dochodziła do siebie. O kilka metrów od niej na ziemi leżał Matthew w stanie szoku. Ale żył.

Romuald!

Pobiegła do rozbitego harleya i wyrwała GPS przyczepiony na rzepy i silną przyssawkę.

Potem wróciła i wsiadła do samochodu Kate.

\*

Już w aucie zdjęła kominiarkę i spojrzała na mapę GPS-u. Tak jak miała nadzieję, system zachował w pamięci ostatnie przejazdy Rosjanina. Przekręciła kluczyk w stacyjce i z piskiem opon opuściła Gzyms.

Boston ział pustkami. Dojechała do drogi szybkiego ruchu numer 93 od strony północnej.

Jechała nieostrożnie, nie zważając na przepisy. Miała w nosie ograniczenia prędkości, patrole policji czy sam fakt, że naraża się na niebezpieczeństwo. Najważniejszy był teraz Romuald.

Boże, żeby nic mu się nie stało...

Przez około pół godziny wciskała gaz do dechy, po czym na poziomie Windham, na granicy Massachusetts i New Hampshire zjechała z autostrady. Dalej prowadził ją GPS, kierując na drogi lokalne aż do ogrodzonego dawnego terenu przemysłowego.

Co teraz?

Emma spojrzała na ekran: punkt docelowy był dość blisko, ale nie można było dostać się tam samochodem. Zostawiła więc zapalone światła i wysiadła. Ta część drogi była zupełnie ciemna. Emma niewiele widziała poza wysokim ogrodzeniem, które wznosiło się przed nią.

Przechodząc przez nie, zawadziła o kawałek ostrego jak nóż drutu, który wbił jej się w ramię i rozorał skórę na długości co najmniej pięciu centymetrów.

Zachwiała się z bólu. Poczwała, jak krew spływa po swetrze i kurtce, ale postanowiła się nad sobą nie litować. Zeskoczyła, przeturlała się po ziemi, a kiedy udało jej się wstać, wbiegła na skarpe, skąd roztaczał się widok na martwe miasteczko. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się rzędy starych fabryk i pustych magazynów. Surrealistyczny pejzaż. Idealna sceneria do filmu grozy.

Kilka wagonów rdzewiało na starym torze. Wył wiatr, skrzypiały metalowe konstrukcje.

Miało się wrażenie, że zza baraków wychyną za chwilę jakieś potwory. Dolina cieni, która rozciągała się na pięciu czy sześciu hektarach.

Jak znaleźć Romualda w tym labiryncie zardzewiałego żelastwa i powyginanej blachy?

- Romuald! Romuald! - krzyknęła kilka razy, ale wiatr i śnieg zagłuszyły jej głos.

Zaczęła się rozglądać, wypatrując jakichś śladów, lecz nie widziała dalej niż na trzy metry.

Strzepując płatki śniegu lepiące się do twarzy, przyświecając sobie komórką, pobiegła jak najszybciej pod wiatr, na północny wschód. Tarasów pewnie zostawił swój samochód daleko od drogi.

Nagle coś skrzypnęło jej pod stopami. Wzięła głęboki oddech i włączyła komórkę, w której świetle ujrzała zwirowaną drogę, prowadzącą do gigantycznego hangaru.

Podeszła bliżej i oświetliła pokrytą rdzą tablicę z napisem:

## **RZEŹNIE MIEJSKIE OKRĘG HILLSBOROUGH**

Pobiegła dalej aż do głównego budynku. Tam zauważyła ślady opon, częściowo już zasypane śniegiem. Serce podskoczyło jej w piersi. Ktoś tu niedawno był.

Ze wszystkich sił pchnęła wysokie rozsuwane drzwi do magazynu, a potem zasunęła je za sobą, żeby wiatr nie wpadał do środka.

- Romuald!!!

Wokół było kompletnie ciemno, ale skądś dobiegał pomruk działającego ogrzewania lub klimatyzacji.

Włączyła kontakt i pomieszczenie zostało zalane sinym światłem. Był to prawie pusty magazyn o ścianach z surowego betonu.

Pośrodku stał pick-up Rosjanina.

Podeszła bliżej i zajrzała do środka. Pusto.

Żałowała, że nie zabrała ze sobą małego rewolweru.

- Romuald!!!

Od głównego pomieszczenia odchodził korytarz z rzędem żelaznych drzwi. Za pierwszymi znajdowało się puste pomieszczenie. Inne były zamknięte na klucz. Emma przymknęła oczy, zniechęcona, ale ten stan trwał bardzo krótko.

Kiedy wynajęty morderca opuszczał to miejsce, powyłączał wszystko oprócz...

To musi być odgłos pracującego generatora prądu! Zawróciła, starając się zlokalizować źródło pomruku. Dochodził z chłodni. Zabębniła palcami po metalowej powierzchni.

- Romuald?

Nie, to niemożliwe, nie tam...

Spróbowała otworzyć drzwi, ale nie dała rady. Zmartwiona opuściła głowę i wtedy zauważyła kawałek metalu w kształcie steru. Przekręciła go do końca, drzwi chłodni ustąpiły.

Owiał ją lodowate powietrze. Wbiegła do środka.

- Romualdzie!

W świetle komórki, w kompletnych ciemnościach, zauważyła futrzany kaptur kurtki chłopaka.

Rzuciła się ku niemu. Leżał bez ruchu. Zebrawszy wszystkie siły, wyciągnęła go ze śmiertelnie chłodni na normalne powietrze. Przełączyła telefon na głośnik, wybiła dziewięćset jedenastkę i poprosiła, żeby jak najszybciej przysłano karetkę do nastolatka w stanie hipotermii.



Czekając na pomoc, patrzyła, czy Romuald oddycha, lecz nie potrafiła tego ocenić, nie mogła też wyczuć pulsu, tak się zdenerwowała. Romuald był trupio blady, wyglądał jak martwy.

Cholera!

Nie miała nic, czym mogłaby go przykryć i rozgrzać. Na szczęście przypomniała sobie, co trzeba zrobić, żeby utrzymać przy życiu nieprzytomnego człowieka. Nauczyła się tego kilka miesięcy wcześniej podczas obowiązkowego dla wszystkich pracowników Imperatora szkolenia w zakresie pierwszej pomocy. W tamtym momencie uważała to za bezużyteczną głupotę, nie przypuszczała, że coś takiego kiedykolwiek jej się przyda. Na szczęście okazało się, że pamięta wszystkie ruchy wykonywane wówczas na manekinie. Położyła Romualda płasko na podłodze, uklękła na wysokości jego klatki piersiowej, podciągnęła mu w górę sweter i położyła jedną dłoń na mostku, a drugą nad nią. Z wyprostowanymi ramionami nacisnęła z całej siły, wbijając dłonie w pierś Romualda, potem się wyprostowała i znów nacisnęła, kontynuując cykl, żeby przywrócić krążenie krwi.

I raz, i dwa, i trzy! I raz, i dwa, i trzy!

Po trzydziestu uciśnięciach dwa razy wdmuchała mu powietrze przez usta.

- Nie umieraj!

Zrozpaczona, znów zaczęła robić masaż serca, starając się zachować regularny rytm.

I raz, i dwa, i trzy!

Za każdym uciśnięciem klatki piersiowej mogła mu połamać żebra.

I raz, i dwa, i trzy!

Czas się zatrzymał. Emma była gdzieś indziej, prowadziła wojnę. Wojnę życia przeciw śmierci.

Nie umieraj, Romualdzie, nie umieraj!

**Rok później**

**Replay**

*Jeśli prawdą jest, że żyjemy tylko częścią nas,  
co się dzieje z resztą?*

**PASCAL MERCIER**

**Uniwersytet Harvarda**

**Cambridge**

**19 grudnia 2011**

W wypełnionej po brzegi auli panowała kompletna cisza.

Wskazówki na brązowej tarczy starego zegara ściennego wskazywały godzinę 14.55.

Profesor Matthew Shapiro kończył wykład z filozofii. Po chwili rozbrzmiał dzwonek i studenci zaczęli się podnosić ze swoich miejsc. Matthew uporządkował rzeczy, włożył płaszcz, okręcił szyję szalikiem i wyszedł na zewnątrz. Gdy tylko znalazł się na dworze, skrzył sobie papierosa i wyszedł przez wielki dziedziniec na teren kampusu. Park skąpany był w pięknym jesiennym świetle. Od dziesięciu dni utrzymywała się wysoka jak na tę porę roku temperatura i świeciło słońce. Mieszkańcom Nowej Anglii trafiło się spóźnione, ale bardzo przyjemne babie lato.

- Panie Shapiro! Panie psorze! Uwaga! Matthew odwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegał głos, i odruchowo spojrzał do góry. W samą porę, gdyż prosto na niego leciała piłka futbolowa.

W ostatniej chwili złapał ją i rzucił do rozgrywającego, który do niego krzyknął.

Wyszedł z uczelni przez ogromną bramę od strony Harvard Square. Przejściem dla pieszych kierował się do metra, kiedy z za rogu skrzyżowania Massachusetts Avenue i Peabody Street nadjechał stary terkoczący chevrolet camaro.

Matthew cofnął się w ostatniej chwili, jaskrawoczerwony kabriolet z piskiem opon zahamował tuż przy nim.

Szyba w oknie zjechała w dół i Matthew ujrzał rudą czuprynę April Ferguson, swojej lokatorki od czasu zabójstwa jego żony.

- Hej, przystojniaku, może cię podwieźć?

- Wolę wrócić metrem - wymówił się. - Prowadzisz tak, jakbyś była awatarem z gry wideo!

- Och, nie zgrywaj tchórza. Wiesz, że świetnie prowadzę!

- Daj spokój! Jeszcze mi życie miłe. Nie chciałbym, żeby moja córka została całkowitą sierotą w wieku czterech i pół lat!

- Dobrze już, dobrze... Nie przesadzaj! No, pośpiesz się, blokuję przez ciebie ruch!

Symfonia klaksonów przybrała na sile. Matthew westchnął z rezygnacją i wszedł do auta.

Ledwo zapiął pas, gdy samochód, łamiąc kilka zasad kodeksu drogowego, wykonał przy dużej prędkości niebezpieczny zwrot, po czym odjechał z piskiem opon na północ. - Boston jest w przeciwnym kierunku! - zaprotestował, kurczowo trzymając się drzwi.

- Robię mały objazd przez Belmont. To tylko dziesięć minut drogi stąd. I nie martw się o Emily, poprosiłam opiekunkę, żeby została z małą godzinę dłużej.

- Nie brak ci tupetu! Uprzedzam, że...

April zadziwiająco szybko przerzuciła dwa biegi i gwałtownie przyśpieszyła, przez co słowa uwięzły Matthew w gardle. Kiedy samochód nieco zwolnił, wręczyła mu teczkę z rysunkami. - Wyobraź sobie, że chyba znalazłam klienta na rycinę Utamaro - oznajmiła przejęta.

Chevrolet opuścił dzielnicę uniwersytecką i wjechał na drogę szybkiego ruchu, biegnącą wzdłuż Fresh Pond. Wkrótce znaleźli się w Belmont, miasteczku na zachód od Bostonu. April wprowadziła adres do GPS-u, który skierował ją do sztywnej dzielnicy willowej. Mimo wyraźnego zakazu wyprzedziła autobus szkolny i zaparkowała samochód przy spokojnej uliczce obsadzonej drzewami.

- Idziesz ze mną? - spytała, chwytając teczkę. Matthew pokręcił głową.

- Nie, wolę poczekać w samochodzie.

- Pośpieszę się! - obiecała, poprawiając makijaż w lusterku wstecznym.

- „Nie jestem zła, tak mnie po prostu narysowali...”

- Wykrzywiła usta, przedrzeźniając Jessikę Rabbit, po czym wyprostowała swoje niebotycznie długie nogi w legginsach i wysiadła z samochodu.

Matthew został sam. Popatrzył na drugą stronę ulicy. Dwoje dzieci rozwieszało w ogródku świąteczne dekoracje pod czujnym okiem matki. Przypomniawszy sobie, że za kilka dni jest Boże Narodzenie, i ogarnęła go panika. Bał się jak ognia tej pierwszej rocznicy śmierci Kate, która nastąpiła dwudziestego czwartego grudnia 2010, zmieniając mu życie w pasmo udręk. Od czasu, gdy zastrzelono jego żonę, życie stało się koszmarem. Jak tu zrozumieć fakt, że kobieta, z którą przez ponad cztery lata dzielił wszystko, matka jego córeczki, wyszła za niego za męża z zamiarem zamordowania go? Zamordowania go, aby wyjąć mu serce i przeszczepić je umierającemu kochankowi? Jak miał teraz żyć? Jak nadal ufać ludziom? Jak w ogóle myśleć o związaniu się kiedyś jeszcze z jakąś kobietą? Matthew westchnął. Tylko istnienie córeczki powstrzymywało go od szaleństwa i popełnienia samobójstwa. Gdy wszystko zostało podane do publicznej wiadomości po śmierci Nicka Fitcha, musiał walczyć, żeby ochronić Emilię przed ciekawskimi dziennikarzami. Prasa i telewizja nie dawały mu spokoju. To był bardzo ciężki okres. Wydawcy proponowali astronomiczne sumy za opisanie tej historii, w Hollywood zaś chcieli jego osobistą tragedię zekranizować. Przez chwilę zamierzał uciec przed intruzami i wyprowadzić się z Massachusetts, ale był zbyt przywiązany do Bostonu, do swojego domu i swoich studentów.

W ostatnich tygodniach zapanował jednak względny spokój. Nie zmniejszało to jego rozpacz, lecz przynajmniej czuł się uwolniony od ciężaru niepożądanego sławy. Powoli zaczynał doceniać małe przyjemności: spacer w słoneczny dzień w towarzystwie Emili, mecz futbolowy ze studentami, celny żart April...

Ale wciąż był słaby psychicznie. Cierpienie tylko czyhało, gotowe w każdej chwili chwycić go za gardło. Zadręczał się pytaniami bez odpowiedzi. Jak pogodzić się z tym, że najpiękniejsze lata życia były kłamstwem? Jak odzyskać utraconą pewność siebie, gdy człowiek dał się tak sromotnie oszukać? Jak wyjaśnić to wszystko Emili?

Matthew spocił się i serce zaczęło walić mu w piersi. Opuścił szybę w samochodzie, poszukał w kieszeni dzinsów leku uspokajającego i włożył pastylkę pod język. Lekarstwo powoli rozpuszczało się w ustach, przynosząc chemiczne ukojenie. Żeby do końca się zrelaksować, musiał zapalić. Wszedł z samochodu, zatrzasnął drzwi i ruszył chodnikiem, zapalając papierosa i zaciągając się głęboko.

Z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz na powiew jesiennego wiatru, rozkoszował się papierosem. Było zadziwiająco ciepło. Słońce przeświecało przez gałęzie drzew. Kilka chwil stał nieruchomo, po czym otworzył oczy. Na rogu ulicy zobaczył zbiegowisko. Zaciekawiony podszedł bliżej. Miał przed sobą typowy dla Nowej Anglii dom z drewnianym sidingiem, dachem jak katedra i zbyt dużą liczbą okien. Na trawniku od frontu odbywała się jakaś wyprzedaż.

Matthew dołączył do ciekawskich, którzy oglądali rzeczy wyłożone na stu metrach kwadratowych trawnika. Wyprzedaż prowadziła ładna brunetka o łagodnej, uśmiechniętej twarzy. Obok niej piaskowy shar pei ostrzył sobie zęby na lateksowej kości.

Pośród różnych przedmiotów Matthew zauważył laptop: MacBook Pro, z piętnastocalowym ekranem. Nie była to ostatnia wersja tego modelu, ale poprzednia lub jeszcze starsza. Podszedł bliżej i przyjrzał się komputerowi dokładnie. Aluminiową klapę zdobiła naklejka z winylu, przedstawiająca wystylizowaną seksowną Ewę. Na dole widniał podpis „Emma L.". Nie było wiadomo, czy to podpis artysty, czy też poprzedniej właścicielki komputera.

Dlaczego nie? - pomyślał, patrząc na etykietkę. Jego stary PowerBook wyzionął ducha pod koniec lata. Potrzebny był mu nowy laptop, ale od trzech miesięcy wciąż odkładał zakup na później.

Ten tutaj kosztował czterysta dolarów. Uznał, że to zupełnie rozsądna cena.

Podszedł do młodej kobiety, która prowadziła wyprzedaż.

- Ten laptop działa, prawda? - spytał.

- Oczywiście. To mój stary laptop. Dysk twardy został sformatowany i zainstalowano w nim nową wersję systemu operacyjnego. Jest jak nowy!

- No, nie wiem... - zawahał się.

- Myśli pan, że to jakiś przekręt? - rzuciła kobieta z uśmiechem.

Matthew też się uśmiechnął. Kobieta wręczyła mu swoją wizytówkę.

- Niech pan posłucha mojej propozycji: jeśli w ciągu pół roku laptop sprawi panu jakiegokolwiek zawód, podejmuję się naprawy. Mój najlepszy przyjaciel jest specjalistą informatykiem.

Matthew popatrzył na wizytówkę:

*Emma Lovenstein*

*Główny sommelier*

*Imperator*

*30 Rockefeller Plaza New York, NY 10020*

- Pracuje pani w restauracji Imperator?

- Tak. Był pan już u nas?

- Kiedyś, w innym życiu... - mruknął wymijająco, odpychając wspomnienie z czasów, gdy był mężem Kate.

Shar pei podszedł bliżej i otarł mu się o nogi, szczekając przyjacielsko.

- Wabi się Clovis i najwyraźniej pana polubił - ucieszyła się Emma.

Matt pogłaskał psa. Stali w migotliwym świetle przenikających przez gałęzie promieni słonecznych.

- Moja córka marzy o takim piesku jak ten - powiedział z uśmiechem.

- A ile ma lat?
- Cztery i pół. Emma kiwnęła głową.
- Ma pani dzieci? - spytał.
- Jeszcze nie.

Matthew wyczuł, że zadał zbyt osobiste pytanie, i wycofał się szybko.

- Więc mieszka pani w Nowym Jorku...

- Wracam tam zresztą za kilka godzin - oznajmiła, spoglądając na zegarek. - Przyjechałam, żeby pomóc bratu, ale muszę uważać, żeby nie spóźnić się na samolot.

Matthew wahał się jeszcze chwilę przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Zgoda, biorę go! - powiedział, wskazując na laptop.

Pogrzebał w portfelu. Miał tylko trzysta dziesięć dolarów.

Zażenowany nie śmiał się targować, ale młoda kobieta zauważyła to i sama zaproponowała: - Zgoda, niech będzie trzysta dziesięć!

- To bardzo miło z pani strony - podziękował, wręczając jej pieniądze.

Z daleka dał znak April, która właśnie nadeszła. Emma wręczyła mu komputer, zapakowany w oryginalne pudełko.

- Więc gdyby coś nie działało, dzwonię do pani - zakończył rozmowę Matthew, machając wizytówką.

- Jeśli przypadkiem miałby pan ochotę zadzwonić do mnie wcześniej, zanim laptop się zepsuje, proszę się nie wahać! - ośmieliła się dodać Emma.

Uśmiechnął się, żeby ukryć zaskoczenie, i podszedł do April.

Wrócili do samochodu. Matthew uparł się, że będzie prowadził. Gdy stali w korkach na drodze dojazdowej do Bostonu, przez cały czas myślał o Emmie Lovenstein.

\*

## **Boston**

### **Beacon Hill**

**20.00**

Matthew otulił Emily kołdrą i zgasił światło, zostawiając tylko lampkę nad łóżkiem. Zanim przymknął drzwi, pocałował córeczkę jeszcze raz, obiecując, że zaraz wpadnie April powiedzieć jej dobranoc. Potem zszedł schodami do salonu. Na parterze światło było przyćmione. Wychylił się przez okno i przez chwilę patrzył, jak na parkanie naprzeciw migoczą świąteczne girlandy.

Zamyślony poszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo, zdjął kapsel i szykował się właśnie, żeby wziąć kolejną tabletkę uspokajającą, kiedy usłyszał głos April. - Hej, przystojniaku, uważaj z tymi koktajlami, to niebezpieczne! Miała na sobie ekscentryczny, ale szykowny kostium w stylu fetyszystycznym i szpilki na bardzo wysokich obcasach. Włosy upięła w koczek, na twarz nałożyła perłowy podkład, który jeszcze bardziej podkreślał szminkę w odcieniu krwistej czerwieni.

- Nie chcesz pójść ze mną? - spytała. - Wybieram się do Gun Shota, nowego pubu w starym porcie. Podają tam salceson smażony w głębokim tłuszczu. Jest naprawdę zabójczy! A ich mojito... Teraz tam zbierają się najpiękniejsze dziewczyny w mieście!

- Proponujesz mi, żebym zostawił czteroletnią córkę samą, żeby zalewać się mojito w jakimś barze dla lesbijek satanistek!

Zirytowana April pokręciła szeroką bransoletką w purpurowe esy-floresy.

- Gun Shot to wcale nie jest lesbijski bar. A poza tym mówię zupełnie serio, przydałoby ci się wyjść z domu, przewietrzyć się, spotkać innych ludzi. Powinieneś wreszcie pozwolić sobie na flirt, a może nawet na coś więcej...

- Jak mogę się znowu zakochać? Moja żona...

- Przecież wiem, że spotkała cię straszna tragedia, Matt, ale jeśli chcesz wyjść zwycięsko z tej próby, musisz się otrząsnąć, zrobić krok do przodu, dać sobie szansę na odnalezienie smaku życia...

- Nie jestem jeszcze gotów - oświadczył Matthew.

- Dobrze, nie nalegam... - zrezygnowała April, zapinając sweter i zatraskując za sobą drzwi.

Gdy Matthew został sam, podszedł do lodówki i zajrzał do zamrażalnika. Znalazł tam pokryte szronem prostokątne pudełko. Włożył pizzę do mikrofalówki, ustawił minutnik i poszedł na kanapę. Potrzebował samotności. Nie chciał, żeby go ktoś rozumiał albo pocieszał.

Chciał cierpieć w towarzystwie wiernego opakowania lekarstw i drogiego sercu piwa Corona.

Ale gdy tylko zamknął oczy, przypomniała mu się młoda kobieta z garażowej wyprzedaży.

Jej lekko kręcone włosy, śmiejące się oczy, śliczne piegi, figlarny uśmiech, i ten buntowniczy ton, gdy rzuciła w jego kierunku: „Jeśli przypadkiem miałby pan ochotę zadzwonić do mnie wcześniej, zanim laptop się zepsuje, proszę się nie wahać!”... I nagle uświadomił sobie, że ma ogromną ochotę się z nią spotkać. Wstał i podszedł do drewnianego blatu kuchni, na którym położył portfel z jej wizytówką.

Emma Lovenstein... A gdybym tak do niej zadzwonił i zaprosił do restauracji? - przemknęło mu przez głowę. Chwilę się wahał. Pewnie Emma siedzi teraz w samolocie do Nowego Jorku, studził w myślach swój zapal. Potem jednak uświadomił sobie, że przecież może jej zostawić wiadomość. Wystukał pierwsze cyfry numeru Emmy, ale przerwał, bo ręce mu się trzęsły. Po co znów zaczynać? Wciąż dręczyły go te same wątpliwości. Nie miał się co okłamywać: nie wierzył już w życie we dwoje, we wzajemne porozumienie, we wspólne emocje. Poczul, jak rośnie w nim złość.

Cztery lata...

Przez cztery lata żył z obcą kobietą, morderczynią, która manipulowała nim jak marionetką.

Gdy dawała sygnał wynajętemu mordercy, on przygotowywał dla niej jej ulubione dania!

O nie, nie mógł się uważać za ofiarę Kate, był zwykłym frajerem, naiwniakiem, który dał się omotać jak dziecko. Nie tylko zasłużył na to, co mu się przydarzyło, ale wręcz powinien nosić krzyż tej męki aż do śmierci!

Z wściekłością rzucił telefonem o ścianę, połknął lekarstwa, popił je piwem i wrócił położyć się na kanapie.

\*

**Nowy Jork**

**21 grudnia 2011**

- Hej!

Siedząca na ławce w Washington Square Park Emma pomachała do Romualda, który podszedł do niej, przywitał się z nią serdecznie i wręczył brązową papierową torbę.

- Wpadłem do Mamoun, kupiłem falafele! Spróbuj, są świetne! Usiedli obok siebie i rozpakowali jedzenie.

W ciągu jednego roku Romuald zmienił się nie do poznania. Drobny okrągławy Francuz stał się przystojnym, eleganckim młodym człowiekiem, studentem pierwszego roku Uniwersytetu Nowojorskiego. Po niesamowitej przygodzie, którą razem przeżyli, on i Emma byli teraz wielkimi przyjaciółmi i spotykali się kilka razy w tygodniu. Emma pomogła Romualdowi urządzić się na Manhattanie i wspierała go w studiach.

- Czy zastanawiałeś się nad kierunkiem, jaki chciałbyś wybrać? - spytała, w gryzając się w chleb pita. - Bo przedwczoraj wieczorem chyba żartowałeś? - Wcale nie! Zostanę psychiatrą albo policjantem.

- Co?

- Tak. Dziś uważam, że ludzie są o wiele bardziej interesujący od komputerów. Ich romanse, zemsta, walka...

Emma uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

- Przepyszne żarełko - powiedziała z pełnymi ustami.

- Myślałem, że przyniesiesz wino - zażartował.

- To musi być świetne z kieliszkiem burgunda!

Emma w odpowiedzi mrugnęła do niego.

- Dobrze, już dość się naczekałem! - odezwał się Romuald, nie mogąc dłużej wytrzymać.

- Jak twoja podróż do Bostonu?

- Niezupełnie tak, jak się spodziewałam. - Skrzywiła się.

- Widziałaś Matthew?

- Tak, przyszedł na tę wyprzedaż, nawet kupił mój laptop. Byłam bardzo poruszona, takie wydało mi się dziwne zobaczyć go po tym długim czasie...

- Więc rozmawiałaś z nim? -- Bardzo krótko.

- Nie poznał cię?

- Nie, i tak jest lepiej! Minał już rok, odkąd mnie widział, a i tak miałam wtedy na głowie kominiarkę.

- Zostawiłaś mu wizytówkę?

- Tak, ale nie zadzwonił.

- Zadzwoni! - zapewnił ją Romuald.

- Nie wydaje mi się... Zresztą, może tak jest lepiej.

- Ale dlaczego nie powiedziałaś mu prawdy?

- Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Po pierwsze dlatego, że by mi nie uwierzył, a po drugie...

- Co po drugie?

- Czy mógłbyś się zakochać w kobiecie, która zabiła matkę twojej córki?

- Ależ Emmo, przede wszystkim uratowałaś mu życie!

Młoda kobieta wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, żeby Romuald nie zauważył łzy, która zabłysła w jej oku.

Ale wzruszenie szybko minęło. Już wypytywała przyjaciela o jego romans. Romuald codziennie posuwał się o krok w podboju serca trzy lata starszej od siebie Eriki Stewart, studentki filozofii na Harvardzie, którą spotkał miesiąc wcześniej na targu przy Union Square i w której się zakochał. Z początku dziewczyna nie zwracała na niego żadnej uwagi, gdyż za nic w świecie nie chciała się spotykać z kimś od siebie młodszym. Romualdowi udało się zdobyć

jej adres i za radą Emmy zaczął pisać do niej jeden list dziennie. Prawdziwy list, na eleganckim papierze, wiecznym piórem. Ponieważ sztuka listownego uwodzenia nie była mocną stroną młodzieńca, Emma, niczym współczesny Cyrano de Bergerac, często pisała te listy za niego. To przedsięwzięcie zdobycia ukochanej tradycyjnym sposobem przyniosło owoce. Nie dość, że Erika wciągnęła się w zabawę, to jeszcze przyjęła zaproszenie Romualda do Imperatora na kolację w następną sobotę. - Wiesz, że trzeba czekać trzy miesiące na taką rezerwację... - powiedziała Emma poważnie. - Tak, wiem - rzucił z nutą rozczarowania w głosie. - Ale myślałem, że... - No pewnie, że załatwię ci miejsce! Piękny stolik przy oknie z widokiem na Empire State Building! Podziękował jej gorąco, a ona odprowadziła go pod bramę uniwersytetu.

\*

## **Boston**

**13.00**

Matthew zakończył bieganie. Lewo mógł oddychać. Biegał ponad godzinę, zrobił trasę wzdłuż brzegów rzeki Charles i dalej przez kampus MIT, a wrócił przez Public Garden. Schyłony, z rękami wspartymi na kolanach, sapał, nie mogąc złapać oddechu. Gdy trochę się uspokoił, ruszył w powrotną drogę przez trawniki Boston Common. Jednak wciąż szedł na drżących nogach i serce się jakoś nie uspokajało. Co się z nim dzieje?

Nie miało to nic wspólnego z wysiłkiem. Odkąd rano wstał z łóżka, nieoczekiwanie ogarnęło go nowe oszałamiające uczucie... Gdziekolwiek poszedł, do czegokolwiek się zabrał, cały czas myślał o Emmie Lovenstein. Po prostu nie mógł o niej zapomnieć. Nie mógł przed nią uciec. Obecność Emmy koło niego, nawet w myślach, wszystko zmieniała: znikł gdzieś dotychczasowy obciążający go balast, mógł wreszcie robić plany. To była oczywistość, że...

Przysiadł na ławce. Popatrzył na błękitne niebo, na refleksy słońca na powierzchni jeziora i wystawił twarz na lekki wiatr.

Wokół bawiły się dzieciaki.

Zycie wróciło.

\*

Rozstawszy się z Romualdem, Emma złapała taksówkę i kazała się zawieźć do Imperatora. Wczesne popołudnie spędziła na uzgadnianiu ze swoją ekipą, jakie wina zaproponują gościom do kolacji bożonarodzeniowej i noworocznej.

O trzeciej po południu zawibrowała w kieszeni jej komórka. Dyskretnie na nią spojrzała.

**Od;** *Matthew Shapiro*

**Do;** *Emma Lovenstein*

**Temat:** *Fair play*

*Droga Emmo,*

*wysyłam ten list z Pani laptopa, który działa doskonale.*

*Szukając pretekstu, żeby się z Panią spotkać, myślałem, żeby coś w nim zepsuć, ale potem stwierdziłem, że wszystko musi się odbyć fair play. Więc oto moja propozycja:*

*Znam małą włoską restaurację w East Village - Le  
na południe od Tompkins Square Park.*

*Numero 5 -  
Prowadzą ją Vittorio*



*Bartoletti z żoną, moi przyjaciele z dzieciostwa. Jadam u nich za każdym pobytym w Nowym Jorku.*

*Nie wiem, co warta jest ich karta win, zwłaszcza dla tak doświadczonej sommelierki jak Pani, ale jeśli lubi Pani arancini po boloosku, lasagne z pieca, tagliatel e w potrawce czy sycylijskie cannoli, powinno się Pani tam spodobać.*

*Czy zgodziłaby się Pani zjeść tam ze mną kolację dziś wieczorem?*

*Ósma?*

*Matt*

Serce Emmy skoczyło w piersi. Odpowiedziała natychmiast.

*Będę zachwycona, Matthew!*

*A więc do wieczora!*

*PS; Uwielbiam lasagne i arancini.*

*I tiramisu!*

\*

- Halo, żabojadzie?
- Jestem na zajęciach, Emmo! - wyszeptał Romuald.
- Musisz mi pomóc. Wejdź na stronę Akahiko Imamury.
- Tego fryzjera? Znowu?
- Tak, załatw mi wizytę za dwie godziny.
- Postanowiłem już więcej tego nie robić, koniec z hakerstwem!
- W takim razie możesz się pożegnać z rezerwacją w Imperatorze!

\*

Emma opuściła Rockefeller Plaża w stanie euforii i natychmiast udała się na Piątą Aleję do eleganckiego domu towarowego Bergdorf Goodman.

Wydawało jej się, że jest aktorką powtarzającą nieudane ujęcie, ale że tym razem będzie mogła zmienić zakończenie filmu. Nie zwracając uwagi na sprzedawczynię, chodziła pomiędzy stoiskami wielkiego nowojorskiego sklepu. Nawet jeśli moda zmieniła się nieco od zeszłego roku, znalazła to, czego szukała, a mianowicie brokatowy jedwabny płaszcz, haftowany złotą i srebrną nitką, oraz parę szpilek z mieniącą się na liliowo wężowej skórki na bardzo wysokich obcasach.

Kupiwszy to wszystko, wyszła ze sklepu i korzystając z pięknej pogody, ruszyła pieszo do salonu Akahiko Imamury. Po dwóch godzinach miała dokładnie taką samą fryzurę jak w zeszłym roku: elegancki kok, który uwydatnił delikatne rysy jej twarzy i podkreślił głębokie spojrzenie jasnych oczu. Czowała, że emanuje kobiecością.

Złapała taksówkę i pojechała do East Village. W samochodzie zauważyła, że drżą jej dłonie.

Wyjęła kosmetyczkę i poprawiła makijaż: policzki musnęła jasnym różem, powieki delikatnym złotawym cieniem, a usta dotknęła koralową szminką.

Gdy kierowca zatrzymał się przed Le Numero 5, wróciły wątpliwości i niepokój. A gdyby Matthew znów się nie pojawił?

Przypomniała sobie wydarzenia sprzed roku i wszystko, co wydarzyło się od tego czasu. Jak długo można bezkarnie igrać z przeznaczeniem? Jaka może być cena za wyzwanie rzucone

losowi i pokrzyżowanie planów opatrności?

Już za chwilę dowie się tego wszystkiego. Zapłaciła za kurs, wysiadła z taksówki i pchnęła drzwi włoskiej restauracji.

Z bijącym sercem, nie zatrzymując się, minęła biurko recepcyjne. W restauracji panowała ciepła i intymna atmosfera, dokładnie tak, jak utrzymało się to w jej wspomnieniach. Weszła po drewnianych schodach na półpiętro ze sklepieniem sufitem. Gdy znalazła się na górze, skierowała kroki do stolika przy balustradzie, z którego roztaczał się widok na dolną salę.

I zobaczyła Matthew.

Siedział i czekał na nią.

\*\*\*